BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XX.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM ÓSMY.

ANNA.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1867.

ANNA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE NOWE, POPRAWNE, POMNOŻONE DODATKIEM PISM ULOTNYCH LUDWIKI ZE ŚNIADECKICH.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1867.

Powieść o Annie była wspomnieniem moich młodzieńczych lat, tego pół-szczęścia, które się zawsze doznaje w wiośnie wieku i na rodzinnej ziemi... Dołączam a raczej ozdabiam to nowe wydanie pismami zmarłej mi teraz żony. Są to wspomnienia szczęścia dwudziestu i trzech lat, które z nią przeżyłem.

Pół-szczęście, przeplecione tęsknotą wygnania, mogło zamienić się w szczęście i zamieniło. Ale stracone szczęście na schyłku życia, smutkiem i boleścią tęskni za innym światem i tam tylko znaleźć może koniec swej tęsknoty.

AUTOR.

SPIS RZECZY.

I.

— Kochanko, czy nasza Anusia już się ubrała?

— Mon cher, biedaczka już od dwóch godzin nie śpi; boję się, aby to niewywczasowanie się jej nie szkodziło.

— Co za niewywczasowanie się? wszak wczoraj poszła spać o dziesiątej. Mój Boże, jedenaście godzin, — Magdusiu, co ci jest? Przypomnij sobie, u świętej pamięci nieboszczki matki szłyście spać o dziewiątej punkt, a przed szóstą z rana już byłyście po pacierzach, gotowe do kawy. Dobre to były czasy!

— Ale fi donc, dziś wyśmianoby podobne rzeczy. — Mon cher, teraz wszystko postępuje naprzód, inne czasy, wiek cywilizacyi.

— Bodajby go djabli wzięli, ten wiek cywilizacyi, to prawdziwy wiek waryacyi. Nasi ojcowie tych wszystkich ceregieli nie znali, a dobrze i uczciwie, po obywatelsku żyli.

— Dajmy temu pokój, mon cher, poślij do Berdyczowa do Glücksberga po książki; oto masz karteczkę.

Wziął kartkę, pocierał czoło a wzdychał.

— Moja Magdusiu, cóż to takiego — Contes drôlatiques par de Balzac; na cóż te śmieszki dla młodej panny? sam tytuł dzieła już je potępia.

— Co ty wiesz, to l'essence du bon goût, wyrafinowanie rozumu; bez poznania tych arcydzieł ust nie można otworzyć w świecie comme il faut.

— O! o! powoli, powoli, moja kochanko! są ludzie rozumu na całą gębę przyzwoici, co nie wiedzą, czy żyje jaki de Balzac na świecie, albo kto on taki, czy kareciarz, czy pisarz paryzki.

— Les barbares!

— Mniejsza o to; a toż znowu co? Les égouts le Paris par Jules Janin — i jestże to sens, paryzkie brudy wwozić do naszego polskiego domu? — a Mościa Dobrodziejko!

— Jakiś ty dziwny, mój mężu, wszak to skarbnica najpiękniejszych, najwyszukańszych rzeczy.

— No, już jeżeli w rynsztokach piękne i wyszukane rzeczy, to i ja w pięćdziesięciu leciech muszę być jak smyczek chłopak i śliczniutki i żwawy; i Waćpani w czterdziestym roku musisz wyglądać jak pączek różany, jak z igły dziewczynka.

— Laissons-ça, nie wiedzieć, co gadasz, przekręcasz wyrazy; tam wyraźnie napisano les catacombes, nie les égouts.

— Prawda, ale w tych grobach pewnie są rynsztoki myśli; dajmy temu pokój, a patrzmy dalej. Spiridion par George Sand. Jeźli to dzieło takie jak dawniejsze tego autora pół mężczyzny, pół kobiety, tego George Sand i Madame Dudevant w jednej osobie, to przyznam się trzeba mieć wielką odwagę, aby je dawać do czytania młodej panience.

— Co za przesąd — c'est la chasteté, la moralité superfinowa.

— O, prawda, że superfinowa; w piersi się uderzę i powiem prawdę, że nie czytałem żadnej książki tej pani George Sand. Ale pan Jan powiada, że to trucizna cukrem zaprawiona i podana w dyamentowym kielichu. Kto usta do niej przytknie, to od niej ust oderwać nie może, a kto jej zakosztuje, musi wypić do końca: wtenczas rozbrat ze szczęściem.

— Oj! oj! co za kazanie, co za klątwa — quelle barbarie!

— To nie moje słowa, tylko pana Jana, a on choć młody, to roztropny, a przytem i literat.

— Śliczny mi literat; jedno i toż samo prawi, o poezyi Mickiewicza, o Bohdanie Zaleskim, o Michale Grabowskim, o Kraszewskim i tak dalej. Mon cher, śmiać się z takiego literata.

— Oj! nie śmiać się, ale naśladować.

— O! i mon cher, nie gadaj tego; gdyby to ludzie comme il faut słyszeli, coby mówili o nas?

— Mniejsza o to.

— Zapytaj pani Żelowskiej, ona powie, kto z nas ma słuszność.

— Tego utrapienia? a to mnie Pan Bóg skarał, że ta dzierlatka zanęciła się do mojego domu; ona to, ona wam wszystkim w głowach poprzewracała.

Przeszedł się po pokoju i zatarł ręce.

— Quelle imposture, ona perła naszego towarzystwa, mów, co chcesz. Vous êtes le maître.

Siadła na krześle, trochę się nadąsała i zamilkła.

— Moja Magdusiu, nie gniewaj się.

— O! ja się nie gniewam, — głowy jednak nie podniosła.

— Przepraszam, nic nie powiem o pani Żelowskiej.

Pocałował w rękę raz i drugi, i ona spojrzała dość łagodnie.

— Dziękuję, mon cher, a książki?

— Moja kochanko, ale te książki...

— Koniecznie potrzebne.

— Ależ nasza Anusia...

— Mon cher, wszak ja jestem matką, czy ty mnie nie ufasz?

— Ależ bo to...

— O! mon ami! Vous êtes le maître.

Do dąsania się zabierała.

— No, to już poślę.

— Merci, ale zaraz.

— Może jak sami pojedziemy do Berdyczowa, to zrobimy ten sprawunek.

— Mnie dziś koniecznie potrzeba tych książek, przyjadą

goście, chciałabym, żeby widzieli, że my mamy najnowsze francuzkie romanse, mon cher.

— Ależ ten pan, chciałem powiedzieć, ta pani Sand, czy nie możnaby bez niej się obejść?

— O! nie, nie. — Po chwili dodała: Tyś panem.

— Idę, idę, już poślę.

— Dziękuję, mon cher.

Taka była rozmowa między panem marszałkiem Ostrożalskim a jego żoną.

Pan Antoni Grzegorz Ostrożalski, syn niemajętnych rodziców, ale z dobrego szlacheckiego rodu, uszlachconego i uherbowanego za któregoś tam Jagiellona czy Piasta, jak o tem Paprocki, Okolski i Niesiecki pisali, urodził się w Sokołówce, w powiecie zwiahelskim. Ojciec go oddał do palestry; ale pan Antoni, choć wyszedł ze szkół jezuickich z pod boćkowskiego kańczuka, nie smakował nigdy ani w alwarskiej, ani w konstytucyjnej łacinie. W tysiącznym ośmsetnym roku rzucił prawa magdeburskie, korektury pruskie, konstytucye, litewski statut i uczreżdenia, a drapnął do legionów. Wojaczył po Włoszech, po Niemczech i po Hiszpanii pod jenerałami Dąbrowskim, Kniaziewiczem i Chłopickim, a w ośmset dziewiątym na polskiej ziemi pod wodzą Józefa Poniatowskiego. Po ukończeniu wojny z Austryakami przyjechał na urlop do rodziny.

Ojca już zastał w grobie, trzech braci wykierowało się, jak to mówią, na ludzi, po dzierżawach chodzili na Ukrainie. Siostra jedna została mniszką, a druga sposobiła się na starą pannę i bawiła przy matce, siedzącej na dożywociu w Sokołówce. Pan Antoni, kapitan Tolińskiego pułku huzarów, ozdobiony krzyżem zasługi wojskowej i honorowej legii, znalazł wszędzie grzeczne i uprzejme przyjęcie.

Pan podkomorzy Starolacki, dawny przyjaciel i towarzysz szkolny pana Antoniego, zawiózł go do pana Trechmirskiego, kasztelanica kijowskiego, i tam go wyswatał z panną Magdaleną, kasztelanowiczówną. Pan kapitan Ostrożalski dostawszy w posagu trzykroć sto tysięcy w gotówce i wieś Syngury, o sto czterdziestu chatach chłopskich, o sto ośmdziesięciu włokach ziemi ornej i lasu, odrzekł się rozkoszy

i honorów wojaczki, uzyskał dymisyę i osiadł na gospodarstwie.

Na wyborach od razu z prostego szlachcica został marszałkiem, i to jednogłośnie obrany. Uczciwy i sumienny człowiek, w podradowe konszachty się nie wdawał, z powszechnej opieki do swojej kabzy groszy nie grypsał, a dobra obywatelskiego bronił i braci obywateli szczerze po staropolsku podejmował w gościnie. Język miał nie w pantoflu, jak to mówią, a rękę w kieszeni, kiedy przyszło rozprawiać się z różnemi urzędnikami. Panowie szlachta chcieli go na drugie trzechlecie przy marszałkostwie zostawić, ale on nie dał się zwabić. Powrócił do domu, do wioski i tam żył spokojnie, szczęśliwie, jak to gminna gadka powiada: niby u Boga za drzwiami.

Bóg pobłogosławił go córeczką jedynaczką i wszystko mu się wiodło doskonale, oprócz jednej malutkiej rzeczy, że nie był samowładnym panem w domu. Chłopi i służba kochali go i bali się, sąsiedzi szanowali, — a on kochał, szanował i bał się swojej żony. Dawnemu wojakowi nie zbywało na woli, i rozsądek miał niepospolity, ale wewnętrzne przekonanie: ona mi przyniosła dostatek i bogactwa, ona panią wszystkiego, kładło hamulec na wolę i nie dawało rozsądkowi sprawiać się po swojemu. Zawsze jednak odgrażał się w myśli i to kiedy był sam na sam z sobą: «Trzeba temu położyć koniec.» Nabrał serca, poszedł, trochę się poszprzeczał, podupadł na woli; zrobił, jak żona chciała, i pomyślał: «Jutro postawię się inaczej,» — jutro tak przeszło, jak dzisiaj, i tak ciągle było.

Pani Ostrożalska, przed latami panna Trechmirska, pobożnie i przykładnie wychowana, z początku była potulna i posłuszna mężowi, ale w czasie marszałkowania męża, żyjąc w gubernialnem mieście Żytomierzu, tak się pokochała w modzie, iż ta stała się dla niej bożyszczem czci, artykułem wiary. Sama przystrajała się w szyniony, turniury i Bóg wie, jakie dziwolągi mody. Męża zniewoliła do ogolenia mazurskiego wąsa i noszenia się w pończochach, trzewikach; w ręku chapeau claque, rankami w rajtfrakach, a w mieście na ulicy w paletot, choć nieborak

huzar drżał od zimna i wolałby lisiurkę albo niedźwiedzią szubą. Dom przybrała w zagraniczne meble: w miejscu starodawnych kanap jakieś causeuse boudeuse i tym podobne djabelstwa. Na gierydonach żurnale mód, romanse, karykatury, nowe muzyki, choć Jejmość czytywać nie lubiła i muzyce wcale się nie oddawała; tylko po całych dniach przyglądała się figurkom mody i karykaturom.

Herbaty tańcujące, rauty, muzykalne śniadania, śniadania obiadowe często u pani marszałkowej bywały, i to jakby pana marszałka nie było na tym Bożym świecie, na listach zaprosin pisano: Pani marszałkowa ma honor prosić pana lub panią na obiadowe śniadanie, albo na co innego.

Byłby pewnie pan marszałek musiał dalej urzędować, gdyby pani Żelowska, która kwitnęła wdziękami i zalotnością kiedyś tam za Stanisława Augusta, dzisiaj doświadczona ochmistrzyni mody, nie była doradziła pani Ostrożalskiej powrotu na wieś, — a to z tej przyczyny, że jej, pani Żelowskiej, brakowało pieniędzy do mieszkania w mieście, a miała wioskę blizko Syngur. Pani marszałkowa poszła za jej radą, a pan marszałek mocno się tem cieszył.

To wszystko byłoby nic, ale dla mody pannę Annę wychowywano zupełnie na strych cudzoziemski: miała guwernantkę Francuzkę i Angielkę, wiedziała powiastki o «niebieskiej brodzie» (barbe bleue), o sentymentalnych andronach, a nie uczono jej nauki chrześciańskiej, polskiej historyi, nie dawano do czytania «Pielgrzyma z Dobromila» i «Pamiątki po dobrej matce». Miała nauczycieli muzyki, tańców i śpiewu, a nigdy jej nie wskazywano, czego trzeba, żeby być rządną gospodynią, dobrą panią; to, to bolało pana Ostrożalskiego.

Pani Ostrożalska, obdarzona jasnem widzeniem kobiety, wiedziała, że wręcz opierając się woli mężczyzny, nie można rachować na uzyskanie, czego się zachce, że wojując na otwarte, najczęściej można się narazić na szwank; chwyciła się właściwszej broni. Dla mody nauczyła się udawać smutną, zadumaną; wprawdzie nie po mistrzowsku to wykonywała, ale dla poczciwego szlachcica i to było zadosyć; dokazywała z nim, co chciała, tem bardziej, że nigdy słówka o swoim posagu nie rzekła, nie zrobiła ni cienia wyrzutu.

Odrzuciwszy służebnictwo modzie i malutkie narowy, pani Ostrożalska nie wiele miała złego i mogła być wyśmienitą żoną i matką. Z ukradka była bogobojną, a jawnie litościwą.

Tacy byli państwo Ostrożalscy.

A panna Anna? — Ośmnasty roczek poczynała.

II.

W syngurskim dworze wszystko było pięknie i modnie; niewiadomo dla jakiej przyczyny zostawiono jeszcze nazwy: sypialny pokój, jadalny, przedpokój, kobiecy i garderoba; ale za to już ochrzczono bawialne komnaty mianami salonami, a dwa niewielkie pokoje, wymuskane jak cacko, pani Ostrożalska zwała boudoirs. Chłopi zaś powystrajani na lokajów, nim się wyuczyli modnego języka, po prostu nazywali je budarami, a czasem nawet budami, i myśleli sobie: «Pewnie to te budy nie na psy.» Jeden z tych buduarów był Jejmości, a drugi panny Anny.

W buduarze panny marszałkównej obicie z blado-różowego papieru narzucane srebrnemi mirtami i bluszczami, przy oknach puszyły się firanki z blado-różowego muślinu; na ścianach dwa ogromne zwierciadła naprzeciw siebie, widać na to zawieszone, aby w ich odblasku odpoczywało dumanie młodej dziewicy. Wszystko tam poustawiane niby bezładnie a symetrycznie: pod jednem zwierciadłem miękka otomanka, pod drugiem rozkoszna psyche. W kąt jak dla cienia od światła wsunięte poręczaste krzesło, jedwabnym złotogłowem wybite, które pani marszałkowa nazywa une penseuse. Krzesła i taburety różnego kształtu i różnej wielkości, starożytne i nowomodne, ociągnięte haftowaną kanwą albo malowanym aksamitem, stały jakby z niechcenia,

obrzucone w koło hebanowego gierydonu, wykładanego w złociste floresy, i przy nizkim kantorku z palisandru. W jednym rogu buduaru, za zieloną kitajką, mahoniowa szafka, a w niej na pułkach ramoty: Janinowe, Dumasowe, Balzacowe, pani Sand-Dudevant, pani Armand Reybaud i całej moralno-romansowej francuzkiej szkoły, a na samem czele dramata Wiktora Hugo. Biedaczek Walter-Scott, z nim Cooper, Moor, a nawet i Byron, poszli do papinej albo maminej biblioteczki, bo to stare i niezabawne rzeczy. A co polska książka, nigdy na tych mahoniach nie leżała. Pani Żelowska, a z nią moda, zachowały budoir dziewicy od tego świętokradzkiego barbarzyństwa. Na kantorku białe, błyszczące papeterie, złotem, srebrem i pstremi kolory połyskujące, na ochędóztwo od atramentu ametystowe i bursztynowe kałamarze z różnokolorowym atramentem, papiery jak pieścidełka, że aż żal i strach na nich pisać; pióra z dziwnemi ozdobami, a tyle tam złotych, srebrnych i kryształowych cacek, z piaskiem, z opłatkami, z lakiem do pieczętowania listów, do gładzenia i rozdzierania papieru, jak w norymberskim sklepie.

Na wszystkich meblach jakby z przypadku rzucone książki, niby na znak, że w buduarze czytają; ale nie widać tam żadnej robótki, coby świadczyła, że to jest niewieści przybytek, — a jednak tam była niewiasta, i to piękna dziewica.

Zdaje się, że bogini narodzona z piany morskiej spoczywa po kąpieli, tak ona cudnie i uroczo na pół leżała na otomance; niby srebrzyste potoki wody po ulotnej kibici spływały fałdy śnieżnego peniuaru na malutkie nóżki, ociśnięte w pantofle z papuziego safianu, jak pani Żelowska zwała, maroquin peruche. Na drobnej rączce strojnej w siatkową rękawiczkę, wsparła głowę, taką kształtną, taką wspaniałą, że zda się oku, iż twórcza siła wyrwała ją Madonnie pędzla Rafaela i ożywiła życiem. Lice, czoło białe, a tak przezroczyste, że żyłki na nich się cienią; rumieniec jak niepewna krasa wschodzącej jutrzenki lękliwie obarwiał lice; błękit oka za mgłą łzy lśknił się, jak wygładzony turkus, jak lazur nieba, a taka jego oprawa, jak kształt rozłupanej pestki migdału. Rzęsa niby puch jedwabiu, majaczeje

nad okiem, a brew mszy się, jak czarny aksamit; bujne pierścienie kruczych włosów, umuskane na skroniach, kryły się za ucho; resztę polotnych warkoczy zawistna moda skryła pod batystowy czepeczek, obrzucony drogiemi koronkami. W koło dziewicy przepływało różowe światło i czarodziejskim urokiem olśkniło tę czarodziejkę oczów ludzkich, tę czarodziejkę ludzkich serc.

Przed nią rozłożona książka, a ona czyta; łzy perłą z oczu padają, a westchnienia z piersi się cisną: wyobraźnia dziewicy twory pióra w życie odziewa, troska się, cierpi, rozpacza nad przygodami, nad losem bohaterki czy bohatera książki. Stronicę po stronicy chciwie połyka okiem, myślą; ani na chwilkę uwagi nie oderwie, w stronę nie spojrzy, — tylko papier książki przewracany drobną rączką zlekka zaszeleści, tylko pierś z cicha westchnie i łza na papier z głucha padnie. Już ku końcowi, niebawem braknie stronic; twarz dziewicy to się rumieni, to blednie. Skończyła, odsunęła książkę jak napój trucizny, którego dalszą część już się połknęło i czuje się w łonie; podniosła się. «Okrutny», — palcami ręce splotła, — «biedna Leoni» — skryła oczy w dłonie i odsunęła się na otomankę. Nie widać, czy płacze, może gwałtowne uczucie łzy zatamowało, ale krasa z lica uciekła, usta przed chwilą jak koral rumiane, teraz pobladły; cierpi, dręczy się, uczuciem się zmogła i jakby w omdlenie wpadła. — Tu weszła pani marszałkowa.

— Anna, mon ange, co ci jest takiego? — i sama nie wiedziała, czy ma naprzód postąpić, czy wyjść z buduaru, kiedy nadbiegła Dorotka, pokojowa panny Anny.

— Niech pani się nie lęka, panna tak zawsze robi po każdej skończonej książce.

— Idź mi przynieś z mojej gotowalni flaszeczkę z eterem, a prędzej.

Dorotka wyszła, mrucząc pod nosem: — To skaranie Boże z temi książkami.

Marszałkowa usiadła na otomance, rękami wzięła za głowę córkę: — Moje kochanie, ma mignonne, co ci się stało?

Dziewica otworzyła oczy: — O! mamo, ta biedna Leoni,

jak ona kochała a jaka nieszczęśliwa, a ten okrutny! — łzy popłynęły z oczu i zatamowały mowę.

— Ależ mon ange, to zwyczajnie romans, zapewne tego nigdy nie było na świecie.

— Mamo, co ty mówisz, to było, to być musiało, czytaj — i wskazała książkę. — O! oni tacy okrutni, a my takie biedne! — Westchnęła i batystową chustką, cienką jak tkanka pajęczyny, ocierała łzy.

— Uspokój się, weź kapelusz, przejdziemy się po ogrodzie; dziś mamy piękny czas, a pani Żelowska mówi: Le meilleur remède pour l'émotion est de prendre l'air; to ci ulży, spokój wleje do duszy; dziś mamy gości.

— Nie mogę, mamo, mnie się nic nie chce, — pozwól. Ona taka biedna, ta Leoni, — i znowu łzy ocierała.

— Mój aniołku, na miłość Boga, uspokój się! wiesz, papa posłał po książki.

Dziewica podniosła oczy. — I Spirydiona będziemy miały?

— Będziemy.

— Ach! jakaś ty dobra, moja mamo.

Dorotka przybiegła z flaszeczką, a widząc pannę już siedzącą, postawiła ją na gierydonie: — Chwała Bogu, nie potrzeba, ale pan tu idzie z panem podkomorzycem.

Anna skoczyła z otomanki, spłonęła rumieńcem, jak żurachwiny jagoda:

— Mamo, a ja nie ubrana. Co ten papa wyrabia, wprowadzać tu pana Jana, — i chciała wyskoczyć z buduaru.

Tu podedrzwiami dały się słyszeć głosy:

— Ale chodź, panie Janie, wszak nie z pierwszą wizytą przyjechałeś.

— Panie marszałku, może przeszkodzimy w czytaniu pannie Annie; niech pan marszałek pozwoli, ja zaczekam.

— Niech lepiej nie czyta, chodź, ja ojciec prowadzę, — i otworzył drzwi.

Te ostatnie wyrazy zachmurzyły trochę panią marszałkową, a panna Anna ułożyła twarz i postawę do przyjęcia gościa; jednak nie mogła spędzić żywego rumieńca z lica i zetrzeć zupełnie łezki z oka.

Pan Jan Starolacki, podkomorzyc żytomierski, miał lat

dwadzieścia pięć; czarny wąsik czernił się na wardze, twarz ściągła trochę, śniada, zdobna lekkim rumieńcem, nos orli, oko siwe, ciemne włosy, gęste, krótko przystrzyżone i zaczesane gładko; nie nosił ani faworytów, ani żydowskiego naszyjnika; wzrostem mały, kibicią składny, szykowny, rączka mała, to znamiona wyższego rodu, szlacheckiej krwi, wedle słów króla poezyi, dzikiego Byrona. Przybrany był w polską czamarkę; po stroju chędogim, zgrabnym, ale nie wyszukanym widać, że jako blizki sąsiad konno przyjechał. Panią marszałkową w rękę pocałował, pannie Annie się pokłonił.

Pani marszałkowa prosiła siedzieć, a Anna jeszcze bardziej się zrumieniła i oczy spuściła ku podłodze.

Podkomorzycowi oko zabłyszczało i rumieniec żywszej krasy nabrał.

Szczęśliwym trafem pan Ostrożalski nie dał się rozpocząć zapytaniom o pogodzie i o drodze, zwyczajnemu przedwstępowi rozmowy na wsi, czy to w modnym, czy w staroobywatelskim domu; — spojrzał na córkę:

— Moja Anno, co znaczą te łezki w oczach? czy znowu szlochy po jakimś francuzkim andronie?

— Papie tak się zdaje, ja nie płaczę, — i półuśmiech, czy prawdy, czy musu, poigrał po ślicznej twarzy i osiadł na ustach.

— Patrz panie Janie, przedemną chce udawać, że nie płakała, na świadka biorę ciebie, czy nie widać w oczach łzy.

Marszałkowa spostrzegłszy zafrasowanie się córki, przyszła jej w pomoc:

— Mais mon cher, dajże jej pokój, nie można obwiniać, a nie trzeba prześladować une grande sensibilité; to skutek czułego serca, ucywilizowanej imaginacyi.

— Daj mi czysty pokój z waszą wycywilizowaną imaginacyą, — czy też kto kiedy słyszał co podobnego?

— Mais mon cher, une imagination civilisé to fraza à la mode w Paryżu, wszak prawda Anno, ma mignonne, dites donc, powiedz.

— Nie wiem, mamo, — i zamilkła.

Pan podkomorzyc, chcąc z kłopotu wyprowadzić marszałkową, przystąpił do panny Anny.

— Czy wolno zapytać, co to za niegodziwa książka dała pani powód do łez?

— Czytałam romans pani Sand Leon Leoni.

— Leon Leoni, — powtórzył podkomorzyc i mimowolnie czoło się jego zasępiło.

— Leon Leoni, — rzekła dziewica i westchnęła, a potem oboje milczeli.

Marszałek spojrzał na córkę i podkomorzyca, spojrzał na żonę:

— Moja Magdusiu, coś i oni, jak my, zagrzęźli w rozmowie, i ani weź dalej. Chodźmy do ogrodu, może tam nabierzemy świeżej imaginacyi w miejsce tej waszej francuzkiej wycywilizowanej.

I poszli wszyscy do ogrodu, a marszałek sobie w myśli powiedział: — «Zwyciężyłem, tak się stało, jak ja chcę,» — i poczciwy szlachcic zapomniał o książkach, po które posłał; z chełpliwością szedł do ogrodu, zwyczajnie pan domu, przynajmniej z imienia, jeźli nie z czynu.

III.

Tegoż samego wieczora w przepysznym salonie na posadzce tak woskowanej, że o ledwie w niej wszystko nie odbłyska jak w zwierciadle; o suficie zdobnym w sztukaterye, gzymsiki, a pośrodku w wieniec z rozetkami, o ścianach stiukowanych na wzór mozaiki, perłowej barwy, służba przygotowywała do herbaty. Czterech sążnistych lokajów, przybranych w piaskowego koloru liberyą, z malinowemi kołnierzami i malinowemi wypustkami, z srebrzystemi herbowemi guzikami, na ich czele podstarzały kamerdyner w czarnym fraku, w czarnych opiętych spodeńkach, w trzewikach, w pończochach, wyżabotowany, wyfryzowany, porało się koło herbacianych przyborów. Hożym i hardym postawom lokai jakoś nie do twarzy w tym niemieckim kroju; i oni się z siebie śmieją, i ludzie się z nich śmieją, ale cóż robić, tak pani kazała.

Już okrągły stół mahoniowy, filigranowej roboty Jansona, pierwszego stolarza czyli ebenisty i fortepianisty berdyczowskiego, zastawiono srebrnemi tacami; w miejscu starożytnych galeryek albo perełek dokoła, brzegi wyginane i uszy do trzymania w mat wyrabiane. Na jednej pod kształtnym samowarem płonie błękitnawy płomień i stoi bombiasta pomywalniczka; na drugiej dwa imbryki, jeden płaskawy, drugi wysoki, na czarną i zieloną herbatę, gar-

nuszeczki z warzoną śmietaną i cukiernica, a wszystkie te naczynia z czystego i jasnego srebra, nie berdyczowskiej, ale paryzkiej roboty. Na trzeciej tacy same rznięte kryształy, flaszki, czyli jak pani Żelowska powiada flakony, z najwyśmienitszą chińską herbatą, z rumem, z arakiem, garnuszki z surową śmietanką, maselniczki dokoła obłożone łodem, i nawet solniczki. Na czwartej w srebrnych koszach ciasta i ciastka zwane modnie: flûtes, croquignoles, baisers, nonettes i t. d., chlebiki pszenne i żytnie cieniutko pokrajane, smarowane masłem, przekładane szynką albo solonym łososiem, zwane angielskiemi sandwich, i po prostu pulchne bułeczki na jajach, którym nie pozwolono zostać bułeczkami, ale nakazano mianować się brioches. Dokoła stołu, na wytwornych lakierowanych w bohomazy podkładkach, modnie zwanych sous-tasses, stały filiżanki z saskiej porcelany, z złocistemi herbami i cyframi państwa Ostrożalskich; przy każdej łyżeczka, nóż i serwetka tak malutka, że i na śmiech najmniejszej rączki nie byłoby w czem obetrzeć. Holenderskiego obrusu nie było widać, bo tak kazała moda, a stokroć razy biada! biada! ktoby się śmiał jej przeciwić.

Mnodzy goście weszli do salonu i zasiedli dokoła stołu na pięknych mahoniowych krzesłach, obitych błękitną sztywną materyą, zdobnych haftem rozmaitych a rozmaitych kwiatów.

Ci goście oprócz pana podkomorzyca Jana Starolackiego byli: Pani Żelowska, wdowa już trzecim nawrotem, naprzód warszawska mieszczka, córka jakiegoś piwowara, wyszła za mąż za drugiego piwowara; wymodliwszy zapewne u djabła śmierć mężulka, wyszła powtórnie za Kościuszkowskiego jenerała. Oj, co dała, to dała temu, aż nieborak nie mógł unieść na sercu ciężaru i powędrował na tamten świat. Pani, ponętą wioski, zapisanej przez męża, złowiła młodego podsędka, a że jej w niesmak był tytuł pani podsędkowej, postarała się dla męża o urząd deputata w sądzie głównym i zwała go monsieur le député, homme parlementaire. Pan deputat nie przeparlamentował żonki, choć na przeżycie się żenił; zmarł przed czasem, — a sześćdziesiątletnia wdówka, jak sama utrzymuje, została jeszcze na wydaniu.

Garderobiana jej pod wielką tajemnicą opowiada, że kiedy przyjdzie panią z rana ubierać, to aż ją strach przejmie, taka żółtość ciała, a zmarszczków co nie miara. Ale kiedy skórę na twarzy naciągnie i u góry siwe włosy ściśnie jedwabnym sznurkiem, a na szyi zapnie naszyjnik z pereł, nałoży papierowe piersi, wywatuje kłęby i tak dalej, wymaluje bielidłem i różem lica, czoło i szyję, natrefi jasno-włosą perukę, wysznuruje i zakropi pachnidłami, przystroi w najmodniejsze stroje, to jeszcze Jejmość szasta się, gdyby młodziutka wdówka, zdaleka łudzi oko, jak szych, co go żydzi ludziom Bożym za złoto sprzedają.

Panna Aniela Starościńska, rodzoniuteńka siostrzenica nieboszczyka deputata Żelowskiego, nie ładne, ale dobre stworzenie, skromnie po szlachecku wychowane, byłoby przyniosło jeźli nie szczęście, to przynajmniej swobodny byt jakiemu dzierżawcy albo adwokatowi powiatowemu. Ale na nieszczęście przy ciotuni nabrała jakiegoś małpiarstwa pańskiego, nauczyła się krygów, podskoków, że ludzie, co na nią patrzą, i śmiech i żal zarazem bierze.

Z temi dwiema paniami był pan Bronisław Groźnicki, z jakiejś tam bocznej gałęzi kuzynek pani Żelowskiej. Kapitan z gwardyi ułanów Napoleona, ze wstążeczką czerwoną u fraka, sążnisty, wąsaty, krótko i ucinkowo mówił, i to najczęściej o hiszpańskiej wojnie. Twarzą i postawą zawsze umiał udawać: «Nie zaczepiaj mnie, bo ci dam.» Ale w sercu nie było tej zuchwałości, — musiała się ona gdzieś utopić w Tagu albo w Ebrze, bo od dawien dawna ani nosa nie wyścibił z domu kuzyneczki; choć junaczył, od pojedynku zawsze się wywinął albo przeprosinami, albo zemknięciem, powiadając po skończonej rzeczy swoim zwolennikom: «Dla człowieka jak ja byłoby niedorzecznie w takie dziecińśtwa się wdawać; moją odwagę zna świat.» A pani Żelowska po francuzku dodawała: «Mon Bronislas c'est le brave des braves, c'est un héros — il a assez fait pour la patrie, la gloire et l'honneur.» Nie jeden poczciwiec temu uwierzył, ale ludzie, co lepiej rozumieli powinność i honor, zwali go: zagadywacz, udawacz, zawali-droga.

Pani Karszyńska z dwiema córeczkami już dorosłemi

i synem niedawno wyszłym z kijowskiego uniwersytetu; pani chorążyna poczciwa, roztropna i rządna niewiasta. Panna Marya poczynała dziewiętnasty rok, a panna Konstancya kończyła siedemnasty; obiedwie zgrabniutkie i śliczniutkie dziewczynki, starsza jasno-włosa i ciemno-oka, a młodsza ciemno-oka i czarno-brewa i czarno-włosa. Władysław dwudziesty i drugi rok rozpoczął; siostry go z krasy okradły, ale myśl i nauka ogniem życia rozpłomieniły jego oczy i twarz ociągnęły barwą życia.

Ignacy Nowosiołkowski, dawny i dobry przyjaciel pana Ostrożalskiego, zawsze wesół, zawsze miał co powiedzieć, — czy żart, czy prawdę, to tylko jemu samemu i Bogu wiadomo; on klął się, że prawda, a ludziom wolno wierzyć albo nie, jak się komu podoba.

I dwaj panowie Krasnopolscy, Jan i Antoni, obydwaj już przeszli trzydziestkę, a jeszcze bezżenni, choć majętni; wszystkie panny harbuzami ich karmiły. Nie byli to źli ludzie, — modlili się, nie kradli, nie rozbijali, ale brakło im jednego niepospolitego przymiotu — odwagi. Przed kilku laty wieść się rozeszła po okolicy, że narażeni na danie próby swojej odwagi, woleli przyjąć napomnienie niedobre, jak wziąźć się do szabli i do konia, — to zdarzenie przeklęte zrobiło, że panowie Krasnopolscy są kandydatami w prostej linii na starych kawalerów, bo kobiety polskie przebaczą wiele rzeczy, ale nie przebaczą nigdy i nikomu braku męztwa.

Dawniej wszędzie, i teraz jeszcze po czysto szlacheckich domach piękne rączki młodej gospodyni albo gospodarskich córek przyrządzały i nalewały herbatę, i tym urokiem zaprawiały czarodziejskim smakiem chiński napój. Dziś w domach pańskich albo w tych, co na pańskie pną się jak mogą, łapy kamerdynerów i lokai parzą i rozlewają pekińskie ziele, — a że pani marszałkowa na wielkie państwo choruje, więc Albrecht kamerdyner, przed laty Wojtaszek, przywieziony z Mazowsza przez pana Ostrożalskiego, wyręczył pannę Annę, a cztery drągale: Hawryło, Kiryło, Opanas i Chwedko, wszyscy chłopi rodem z Syngur, nie na bierzmowaniu, ale w szale mody pani marszałkowej, niepomnej, że ludziom

chrześciańskim każe się zapierać swoich świętych patronów, przemienieni na Lorenza, Alfreda, Batysta i Hektora, pomagali w herbacianej służbie Albertowi, nie Magnusowi, ale Wojtaszkowi. Goście pili, jedli i rozmawiali.

— O! ma bonne amie, — rzekła pani Żelowska, mizdrząc się i kręcąc głową, niby przez zalotność, a w istocie, że już od podeszłego wieku, tak się to działo, — wszystko wybornie, c'est magnifique — mais imaginez vous, ta biedna sędzina chce udawać la grande dame. O! que je la plains; imaginez vous, wczoraj byliśmy na herbacie u niej, — que c'est drôle, le premier valet w surducie z pana sędziego, et un cosaque w pestrowej kurcie et puis quelle gaucherie, quel galimatias, nie chcę już więcej mówić.

— Ma chère, powiedz au nom de Dieu, to prawdziwy brak cywilizacyi.

Podkomorzyc się uśmiechnął, a marszałek spojrzał na niego i mruknął z cicha: — No, chwała Bogu, będziemy mieli ucywilizowaną herbatę.

Pani marszałkowa zarumieniła się, ale twarzy nie skrzywiła, bo to nie było jej zwyczajem:

— Eh bien, ma chère dame, i jakże to było? bo to musi być śmieszne.

— Imaginez vous, podano okrągłe chose de craquelins, pan sędzia powiada, że to obwarzanki od obwarzanego ciasta, a pan porucznik Grabski, że obwarzanki, et il a prononcé un diable de mot, dites donc, Angelique.

Panna Aniela zesznurowała usta na modny półuśmiech, — od oberemków, ponieważ żydzi powieszawszy je na nitki, noszą na plecach, co po ukraińsku się nazywa na oberemku:

— O! que c'est drôle, une pareille conversation w towarzystwie comme il faut.

Starszy Krasnopolski poprawił włosy: — U naszej matki robią doskonale obwarzanki do czekolady.

Groźnicki pokręcił wąsa: — W Hiszpanii tylko prawdziwa czekolada — kiedyśmy byli pod Somo-Sierra avec le grand homme du siècle — zatrzymał się i chrząknął.

Pan Nowosiołkowski podchwycił: — Tam panów traktowano czekoladą.

Groźnicki spojrzał w oczy Nowosiołkowskiemu:

— Hem, daliśmy im czekolady, — i brząknął filiżanką, aż pani Karszyńska zlękła się, żeby jakiej zwady nie było.

— Ależ my zaczęliśmy od obwarzanków czy obarzanków, a zaszliśmy do czekolady.

Kapitan spokojnie popijał herbatę, a Nowosiołkowski zażył tabaki: — Bezzawodnie zowią się obwarzanki; nasz Kopczyński płacił warszawskim przekupkom po złotówce, żeby krzyczały obwarzanki.

— Permettez — zawołała pani Żelowska, — qui était donc ce Kopczyński?

Pan Władysław trochę się zapłonił: — Ten co pierwszy nadał pewne formy gramatyce polskiej.

— Imaginez vous un grammairien en Pologne, c'est drôle.

Marszałek posunął krzesło: — To prawda, że gramatyk w Polsce, to śmieszniejszy, jak obwarzanki u pani sędziny.

— Vous êtes malin — i trąciła go po ręce.

Przed końcem tej rozmowy panny wstały i poszły do fortepianu. Panna Marya grała poloneza Ogińskiego; pan podkomorzyc rozmawiał z panną Anną, po twarzach i po oczach widać, że oboje dość radzi z siebie — a Starolacki zapomniał o pani Sand, pisarce, której dzieła lubił czytać, a trapił się i odchodził od siebie, kiedy je widział w ręku kobiety, a szczególniej młodej panienki. Panna Konstancya kiedy niekiedy wtrąciła się słówkiem do rozmowy, a młodszy Krasnopolski stał koło fortepianu i miał w ręku chustkę.

Marya skończyła poloneza, a Konstancya rzekła:

— Marysiu, zagraj nam tego nowego mazurka, cośmy tańczyli na balu w Oczeretnej.

Anna przerwała rozmowę z podkomorzycem:

— Toście były na tym balu?

Podkomorzyc dodał: — Zapewne panie musiały widzieć nowego hrabiego Barowicza, co to niedawno przyjechał z Wiednia.

— Widziałyśmy.

— I jakże się on paniom wydał?

— Bardzo dobrze.

— To za krótka pochwała.

— Ja długiej robić nie umiem, kiedy kogo tak mało znam, jak pana Barowicza.

— Ale przez Boga żywego, niech pani doda hrabiego, inaczej cały ród Barowiczów oburzysz pani na siebie.

Panna Anna spojrzała mu w oczy: — Jaki pan złośliwy, tak się nie godzi. Czy pan znasz tego pana hrabiego?

— Kiedyś go widziałem, ale przyznam się, że nie mam nabożeństwa do szlachty wyhrabiającej się za pieniądze za granicą Polski; zresztą ledwie przypominam sobie tego hrabiego Barowicza.

Pani Żelowska rzuciła herbaciany stolik i przystąpiła do fortepianu: — A! vous parlez de monsieur le comte Adalbert; o! qu'il est aimable, charmant, galant, c'est un jeune homme accompli; gdyby cała nasza młodzież mogła być comme lui.

Podkomorzyc się skłonił: — Dziękujemy pani deputatowej za grzeczność.

— Vraiment, vous êtes piqué, proszę mi darować, monsieur Jean, nous sommes des anciennes connaissances.

— Prawda, że dawno mam przyjemność znać panią, kiedy pani owdowiała po panu jenerale.

— O! ce pauvre Sigismond; vous étiez bien jeune alors.

— Przy niańce byłem.

Pani Żelowska odwróciła się od pana podkomorzyca; darmoby śledzić rumieńca złości na jej twarzy, ale za to oczami zamigotała jak kot: — Ma chère Anna, spodziewam się dziś ci prezentować le comte Adalbert; imaginez vous qu'il croit, że u was comme za granicą dans le beau monde on dine o szóstej, dla tego tak spóźnia pierwszą wizytę; zobaczysz, — i coś szepnęła na ucho, a podkomorzyc przygryzł usta.

Tu wszedł stary Albert z paką w ręku i złożył ją na stoliku przed kanapą — książki z Berdyczowa.

Marszałkowa z radością rzuciła się na nie:

— Vite! vite! rozcinać! Anna! ma chère, mamy wszystko.

Pani Żelowska wzięła do rąk książkę: — O! bonheur! Spiridion de George Sand.

Anna nie spieszyła się do książek, oczy jej spotkały się z oczami podkomorzyca, ona zapłoniła lice żywym rumieńcem i lekkim uśmiechem umiliła usta, on skinął głową na znak podziękowania — a tak prędko i zgrabnie tą niemą mową z sobą się rozmówili, że nikt a nikt tego nie uważał. Marszałek wziął mały rachuneczek załączony do paczki, podrapał się w głowę, pokazał Nowosiołkowskiemu i rzekł półgębkiem:

— Patrz, za te androny trzeba pięćset złotych zapłacić.

Nowosiołkowski poczęstował go tabaką:

— Lepiej było węgrzyna sprowadzić albo w wiseczka z przyjaciołmi się zabawić.

— Zapewne; a to poradźcie z kobietami, kiedy się im czego zachce.

— Panie Antoni, trzeba być panem w domu.

— To sęk.

— Zatknąć uszy, zamknąć oczy i powiedzieć: ja chcę.

— Oj, panie Ignacy, snadniej to powiedzieć, jak zrobić.

IV.

Już dobrze zmierzchało, chociaż to było ku końcowi maja, już nawet miano zapraszać do wieczerzy, kiedy przyjechał pan hrabia Adalbert Barowicz.

Pan hrabia był wzrostu bardzo miernego, ale zgrabny; twarz jego, choć nie nosiła na sobie piętna żadnego wyższego uczucia, była dość ładna, przystojny według najsurowszego rozkazu mody. Spodeńki z perłowego kaźmirku tak obciśnięte, że pan marszałek obawiał się, żeby lada chwilę nie pękły i dziwował się, jak hrabia tak uwięziony mógł się szastać w podrygach; trzewiki lakierowane, a pończochy z cielistego jedwabiu. Pan Nowosiołkowski w całej dobroduszności myślał, że hrabia dla mody włożył bosą nogę w trzewik, — ruszył ramionami i zażył tabaki; frak ciemnozielony, à la legitimiste, kamizelka barwy girafy, na piersiach rozchrystana, wprost przywieziona z Paryża od sławnego Szwarca; wąziutki złoty łańcuszek, jak cień przewijał się po kamizelce. Pani Żelowska powiedziała: «Que j'aime ce soupçon de chaine.» Na czarnej wstążce wisiało szkiełko do przyglądania się pięknym paniom; żaboty, krawatka biała atłasowa, rękawiczki paliowe i w ręku kapelusz, a wyfryzowany à la Cherubin. Kiedy wysiadł z powozu, stróż dworski gębę otworzył, a zawąchawszy pachnidła, mruknął: «To jakieś cudo.»

Leciutko na palcach a posuwisto wszedł do salonu, przymrużając oczy; przypomniał się marszałkowi, przedstawił się marszałkowej i marszałkównie. Jakiś madrygał po francuzku wyciął do pani Żelowskiej; wszystkim paniom się skłonił, Groźnickiemu ścisnął rękę, powitał mężczyzn i zbliżył się do Starolackiego z modnym krygiem:

— Monsieur Starolacki, je suis charmé de vous rencontrer.

Starolacki go odwitał, ale dostrzegłszy, że oko Anny z ukradka pozierało na hrabiego, pochmurzył czoło:

— I mnie bardżo miło spotkać się z panem Barowiczem.

— Jeźli mnie pamięć nie myli, monsieur a fait ses études avec mon frère, le comte Apoléon.

— Tak jest, byliśmy razem w pijarskim konwikcie z panem Apolinarym Barowiczem, — i na rodowite nazwisko hrabiego przycisnął głos, widać chciał je dobitniej wyrazić.

— C'est ça, — wykręcił się zgrabnie hrabia i usiadł na krześle przy kobietach; zaczął prawić o zagranicy dla roztargnienia się, a przytem dla popisywania się z małą rączką i piękną rękawiczką, bawił się ze swojem szkiełkiem.

Pani marszałkowa, widząc tak modnego gościa, wymknęła się z salonu, żeby wydać kucharzowi rozkazy do przyrobienia jakiej nowej, modnej potrawy na wieczerzę.

Hrabia spojrzał na książki i zawołał z modną przesadą:

— Mesdames, je vous apprends une grande nouvelle: Polska ma poetę.

Podkomorzyc uśmiechnął się: — I nie jednego.

— Oh un seul qui vaut tous les Shakspeares, Goethes, Dantes, les Byrons, et un tas de pareils noms.

Pani Żelowska pokręciła głową: — Imaginez vous donc, un poète en Pologne, zapewnie nie Bohdan Zaleski, avec ses hop! hop! que monsieur Jean admire tant.

— Zapewne i nie wielki Mickiewicz, co nam tak doskonale dał poznać modną Telimenę.

— Oh non! quelle idée; c'est monsieur S. G. z dwudziestu ośmiu punkcikami.

— Que c'est beau, la lettre initiale, imię przybrane, tajemnica, ach! to już wielka poezya.

Pan Władysław zbliżył się i zapytał: — Cóż to jest takiego? epopea, dramat, poezya liryczna? — byłby wyrzucił całą nomenklaturę, ale hrabia mu przerwał:

— Je n'en sais rien, podobno dramat tragiczny; jest tam wiele a wiele rzeczy, très-historiques.

— Ale czy autor bezimienny zna historyę, czy się przejął wiekiem, o którym pisze?

— O sans doute; w przedmowie mówi, że zwiedził Włochy, Egipt, Arabią i Syryą, pour puiser des inspirations en Orient.

— Jeźli tym sposobem uczył się historyi, to wątpię, aby praca jego być mogła arcydziełem.

Marszałek, który polskim obyczajem krytyki bał się, nie tylko dla siebie, ale i dla drugich, pokręcił głową:

— To, to mu da nasz pan Stanisław.

— Skrytykuje i nic więcej, — powiedział podkomorzyc i dodał: — świat czytający osądzi, czyja prawda, czy pisarza, czy krytyka.

Nowosiołkowski zażył tabaki: — Ponieważ mowa o krytyce, muszę powiedzieć, że chociaż nie jestem tego zdania, że łatwiej jest krytykować, jak pisać, zdaje mi się jednak, że kiedy poeta krytykuje poetę, albo powieściarz powieściarza, to tak się z nimi dzieje, jak z owym wojskowym, o którym opowiem.

W młodym wieku przejeżdżałem przez Krasnostaw, gdzie podówczas stał na leżach drugi pułk ułanów. Kapitan Kasper B. dowodził szwadronem służbowym. Był to dawny i dzielny Napoleoński żołnierz, znał doskonale wojnę i służbę obozową, jednak nie dobrze pasował do wymagań służby, zwłaszcza, że miał nogi krzywe i jedną krótszą od drugiej; sztykurlał maszerując, na koniu zaś tak nieskładnie siedział, iż wszyscy żołnierze pomiędzy sobą mówili: «Nasz kapitan jak pies na płocie siedzi.» Panu Kasprowi przecież wyobraziło się, że i najpiękniej siedzi na koniu i najlepiej maszeruje. Dla tego na musztrach wrzeszczał na ułanów, maszerujących jak czwartaki na placu Saskim: «Nie tak, tak maszeruj jak ja», —

maszerował sam i sztykurlał. Na jeźdzców, co wzorowo siedzieli, jak książę Poniatowski, wołał: «Źle, tak siedź, jak ja», — a sam garbił się kabłąkiem.

Otóż tak i ci krytycy wrzeszczą nie dobrze; piszą i sami napiszą ogromną księgę i zatytułują na przykład: «Kozacy», a w całej książce o włoskich malowidłach, o herbacie w modnym salonie i podobne rzeczy, i chybaby można wytłómaczyć sobie, że jeden kozak zawiesił malowidła, a drugi posługiwał do herbaty; i dla tego książka ochrzczona «Kozacy».

Pani Żelowska zawołała: — Grâce! grâce! messieurs, imaginez vous, o polskiej książce tak długo mówić.

Władysław zarumienił się, ale obudziwszy w sobie szkolny bodziec do dysputy, nie bardzo przyjaźnie spojrzał na starą deputatową i już zabierał się do głosu, kiedy dano znać, że wieczerza.

Tu dopiero pani Żelowska zaczęła rej wodzić; najprzód ułożyła, że zwyczajem francuzkim przy stole mężczyzni przesiędą między kobietami; potem taki dała obrót w szykowaniu par, że pan hrabia znalazł się obok panny marszałkównej, a w końcu rzekła do Starolackiego: N'est ce pas, vous vous placerez à côté de moi, en qualité d'ancienne connaissance.

Starolacki nic nie odpowiedział, zębem tylko zgrzytnął, ale usiadł przy deputatowej.

U stołu hrabia z panną Anną więcej rozmawiali, jak jedli. Biedny podkomorzyc oka z nich nie spuścił; widział, jak błyszczało piękne oko, kraśniało gładkie lice dziewicy; widział uśmiech przymilenia się hrabiego, ciekawie nadstawiał ucha i słówka usłyszeć nie mógł, a pani Żelowska pokoju mu nie dała zapytaniami:

— Mais à quoi pensez vous? o ubiegłych czasach? fi donc!

— Proszę mi co mówić, je suis votre ancienne connaissance. Je vous avoue que vous étiez plus aimable przy niańce.

Podkomorzyc chciał odpowiadać, a słów mu brakło, chciał się uśmiechać, a twarz się krzywiła; gorąco mu,

duszno i nudno, lice jednak się nie rumienią, tylko pobladły. Marszałkowa parę razy rzekła:

— Pan nic nie je; c'est léger, to nie zaszkodzi. — Marszałek powiedział: — Pan[illegible]anie, czyś nie chory? napij się węgierskiego, nasi ojcowie węgrzynem się leczyli. — On dziękował za napój, za jadło, a patrzył na Annę. Ona o nic go nie zapytała, ani nawet spojrzała na niego. Liczba potraw zdała mu się bez końca; na krześle jak na szpilkach siedział, złościł się i dręczył, a w duszy klął deputatową i hrabiego, nawet sarkał na Annę i złorzeczył francuzkim romansom.

Po wieczerzy Starolacki zbliżył się do Anny i kilka słów do niej przemówił: w oczach, w twarzy widać, że błagając, robił jej jakiś wyrzut; ona z roztargnieniem obojętnie mu odpowiedziała: — Tak się panu zdaje, — i odeszła do stolika, gdzie hrabia opowiadał o stroju księżniczki Metternich na balu u tureckiego posła.

Są chwile w życiu ludzkiem, w których kilka słów same przez się nic nie znaczących zakrwawi, rozedrze serce; są chwile, w których potępiamy, złorzeczymy temu, co kochamy. O! takie chwile stokroć gorsze, jak nieszczęścia już objawione, pewne; w nich niepewność targa uczuciami serca i nie powiada, kiedy im będzie koniec i jaki koniec. Tak się działo ze Starolackim: ów uśmiech, grzeczność Anny dla hrabiego, może puste, nic nie znaczące w istocie, brał za zalotność, za miłość, a odpowiedź sobie zrobioną za obojętność albo i więcej; serce go zabolało, postał trochę, nie mógł dłużej wytrzymać, wyszedł z salonu, wyjechał, a nikt tego nie spostrzegł.

Marszałek, kapitan, Nowosiołkowski i starszy Krasnopolski grali w wista. Hrabia opowiadaniami różnych, dziwnych przygód bawił kobiety; młodszy Krasnopolski słuchał, jak to mówią, z na pół otwartemi ustami, w głowie układał, jak on te same rzeczy w innych domach sprzeda za swoje; a pan Władysław mszcząc się za psotę zrobioną sobie przez panią Żelowską, zasunął krzesłem w kącie pannę Anielę i perorował jej o poezyi, o literaturze i o sztukach pięknych; panna Aniela rada nie rada musiała pokutować za ciotunię.

Po dobrej godzinie Anna powiodła okiem po salonie, jakby kogoś szukała, wstała z miejsca i zbliżyła się do pana Władysława. Pan Władysław myśląc, że to jego wymowa ściągnęła piękną dziewicę, podniósł głos: — Kiedy czytam poezye Bohdana Zaleskiego, inny świat dla mnie, żyję innem yciem, czwałuję koniem z Kosińskim, z Mazepą palę ogniem, siekę mieczem, a Rusałki —

— Gdzie jest pan Starolacki? — zapytała prozaicznym językiem marszałkówna.

Władysław zamilkł, zdziwionym wzrokiem rzucił dokoła, a widząc piękną Rusałkę przed sobą, chciał powiedzieć: — Przypłyń, przypłyń, czarodziejko, — kiedy dziewica z przymileniem się poprosiła:

— Proszę pana Władysława zobaczyć, gdzie on jest.

Władysław skoczył żywo spełnić rozkaz, a panna Aniela błogosławiąc niespodziewanemu trafowi, prędko wyniosła się ze swego miejsca i usadowiła się przy ciotuni.

Wrócił Władysław i powiedział z cicha Annie: — Wyjechał! — Ona powtórzyła: — Wyjechał? — i obłoczek zadumania zamglił piękne czoło, nawet westchnęła z ukradka; ale hrabia grzecznemi słówkami ją osypał. Pani Żelowska zachęcała do fortepianu, — zagrała, zaśpiewała, lekki smutek uciekł z twarzy, a może i z serca, i tak się bawiono aż do północy.

Mimo zaprosin marszałka hrabia z panem Groźnickim w nocy odjechali z Syngur.

Noc była jasna, księżyc świecił; cztery gniadosze z karemi ogonami, jak dla zabawki ciągnęły wiedeński kocz szlakiem do Berdyczowa. Hrabia i kapitan owinięci w letnie płaszcze, palili cygary. Hrabia parę razy:

— Marszałkostwo oryginały wierutne.

— Mają sześć wiosek i kapitały.

— Ale panna niczego.

— Ma dwa miliony posagu.

Hrabia rzucił cygaro: — Kapitanie, te dwa tysiące dukaów, o którycheś mi mówił, są na twoje rozkazy; jutro ci wyliczy Mansor.

— Moja ciotka wypłaci dług na kontrakty.

— Kiedy zechce.

— Moja ciotka będzie wdzięczną.

— Ja to jestem wdzięczny tobie, Bronisławie, że mogę przysłużyć się pani deputatowej; ale dajmy pokój, nie warto gadać o takiej drobnostce. — Ruszaj!

Woźnica świsnął biczem i konie pomknęły raźnym kłusem, a po drodze zatętniało i zaturkotało.

V.

Ledwie trzy tygodnie upłynęły od tego wieczora, a już sześć razy odwiedził hrabia państwo marszałkostwo w Syngurach; dwa razy był u pani Żelowskiej i tam, czy przez ślepy traf, częstokroć przyjazny starającym się kawalerom, czy też z rozumnego ukartowania starej deputatowej, zastawał państwo marszałkostwo z córką.

Hrabia wypakował na jaw coraz nowsze a nowsze przymioty i znajomości mody, i pani Żelowska przywołała na pomoc swój spryt mieszczki i długie doświadczenie, aby rozchwalać nieocenioną wartość jego osoby, a kapitan Groźnicki junakował postawą, oczami Marsa stawiał, wąsami groził tym wszystkim, którymby słówko wypisnęło się przeciw hrabiemu; ale to tam tylko, gdzie naprzód wyrachował, że ani czynem żadnego guza nie oberwie, bo inaczej udał, że nie dosłyszy, zwalając winę głuchoty na przeklętą kulę, co mu przeleciała koło uszów w pamiętnej bitwie pod Saragosą.

Marszałkowa widziała w osobie hrabiego uosobnioną modę, a jako prawowierna jej zwolenniczka przez ortodoksyą, jak ewangelii, na ślepo wierzyła słowom pani Żelowskiej; wierzyć zaś temu, co inni mówili, albo przeglądać postępowanie hrabiego, albo chcieć rozumieć wartość cnoty i rozumu jego, byłoby to grzechem śmiertelnym przeciw modzie, godnym potępienia.

Marszałek nie przystawał i przystawał do hrabiego: nie przystawał, że hrabia miał nazwisko Barowicz, co bardzo pachnie lisią czapką i sarafanem i ciągle przywodzi do uszów niekoniecznie dla Lacha harmonijne brzmienie: z naszych, — że ojciec hrabiego nie dorobił się wielkiego majątku nie z soli, ani z roli, ani z tego, co go bolało, tylko z tego, co bolało drugich, a o sposobach dorobku takie rzeczy ludzie rozgadywali, iż ojciec pana hrabiego nie powinien był swoją śmiercią, i to nie na miękkiem łożu umierać, ani też się liczyć do grona obywatelstwa; że sam młody hrabia lubił miłostki i karteczki, i z tego miewał rozmaite przygody. Poczciwa szlachta nie bardzo lubiła te modne obyczaje, chociaż pani Żelowska często powtarzała: «C'est le chevalier de Lauzun de la Pologne.» I marszałkowi te przymioty Lozenowskie nie zdawały się być arcy-potrzebnemi dla przyszłego zięcia. Nakoniec, że przyjacielowi swojemu podkomorzemu Starolackiemu przyrzekł, iż jego syn będzie mężem Anny, a nie dotrzymać przyjacielowi, i to zmarłemu, to nie po szlachecku.

Przystawał zaś do hrabiego dla tego, że hrabia miał w dziedzicznem posiadaniu czternaście wiosek ukraińskich i resztki ojcowskich kapitałów.

Pan marszałek nieraz po rozmowie przeplatanej kieliszkiem z którymś z sąsiadów, przypomniawszy sobie nieboszczyka Starolackiego i obietnicę jemu zrobioną, kiedy przyszedł do żony i zastał, jak ona obsypywała pochwałami hrabiego Adalberta, nie pomny, że to przy córce, często gęsto wyjechał na harc z opowiadaniem o zbałamuconej pannie albo mężatce sprowadzonej z drogi powinności przez hrabiego; albo o jakimś pojedynku lub karcianej przygodzie, gdzie hrabia grał główną rolę. Pani marszałkowej zaraz słabo się zrobiło, a Anna prawie zawsze pomyślała sobie: «Jak on podobny do Tremora, do Leona», — westchnęła, zapłoniła się i uczuła mocniejsze bicie serca.

Podkomorzyc Starolacki, syn jedynak zamożnych rodziców, pieszczony i chuchany przez matkę, pobłażany przez ojca, że niespapinkowaciał, nie zmodniał i nie zcudzoziemczał, to winien był tej krwi owruckiego szlachcica, co

płynęła w jego żyłach, tej krwi, która Bożą łaską przechowuje się w rodach Owruczanów, nie zmałpieje, nie skojarzy się z tem, co nie polskie, i prędzej czy później, ale zawsze zagra po swojemu. Nadarmo od niemowlęcych lat guwernera Francuza przy nim trzymano, nadarmo na nauki wożono po Dreznach, Wiedniach i Berlinach: nauczył się paplać po francuzku, po niemiecku, ale nie myśleć, ale nie czuć, — i czuł, i myślał, i robił, po polsku. Powszednim obyczajem polskiej szlachty z każdej nauki wiele rzeczy posiadał, ale żadnej arcydokładnie; zwyczajnie pan za pieniądze, ludzi tak zwanych specyalnymi znajdzie na swoje usługi, a że go niekiedy oszukają, to mniejsza o to — trochę dochodów nadszarpią i koniec, a szlachcicowi polskiemu nie być ani niemieckim zbierajgroszem, ani francuzkim wydrzyjgroszem. Starolacki ojcowskiego mienia nie trwonił, ale też i kapitałów nie zbierał. Lubił bywać na świecie, tańczyć, hulać, a przedewszystkiem lubił towarzystwo kobiet, utrzymując, że z ich ust można się nauczyć więcej rzeczy, jak z ksiąg łacińskich, greckich i tegoczesnych. Czytywał książki polskie i obce, a nawet powiadają, że pisywał wiersze, ale z temi tylko popisywał się przed starym rządzcą i wiernym kozakiem. Rządzca mocno je pochwalał i obstawał, aby je natychmiast wydrukować w drukarni księży karmelitów bosych w Berdyczowie; kozak zaś powiadał: «Pokin pane, czy wże to Jasne Wielmożnemu panu pisarom buty.» Czasami objeżdżał łany i zwiedzał gospodarstwo, a często polował; przyjaciół i gości podejmował w domu szczerze i hojnie, a rzecz dziwna, że choć gospodyni nie było w domu, wszystko tam było składnie i ładnie. Młodzież dawnego kijowskiego województwa, i sercem i obyczajem polska, uznawała go za naczelnika, zwłaszcza w sporach przeciw tej schyrlałej i zcudzoziemczałej młodzieży, co nie bawi się, tylko spekulacyami i bankructwem. Podkomorzyc jednak miał swoje ale: często kapryśny, porywczy, a prawie zawsze namiętny, nie poczuwał się do wielkiej pokory, i jeźli jednym kamieniem kto na niego cisnął, to on natychmiast dwoma odrzucił; zgoła, że żywił w sobie wiele nałogów i przywar szlachcica polskiego.

Starolacki kilku laty starszy od Anny, znał ją dzieciną w pieluszkach; matka mu ciągle powtarzała: «To twoja żona.» Po śmierci matki ojciec już przed młodzieńcem wyraźnie mówił o swoich układach z państwem Ostrożalskimi, i pan Jan przywykł uważać marszałkównę jako narzeczoną, jako przyszłą żonę. Oczyma podziwiał krasę pięknej dziewicy, duszą wielbił przymioty jej duszy; ale to ciągłe powtarzanie przez siebie i przez ludzi: Ja do niej należę, ona do mnie należy, — robiło, że serce nie pałało tem namiętnem uczuciem miłości, które żyje i wzrasta w moc i w siłę niepewnością i przeciwnościami. Zdało mu się, że Bóg przeznaczył go do czuwania nad tym drogim skarbem, dawał przeto rady i przestrogi; dziewica choć nie zawsze to robiła, co jemu się chciało, ale zawsze go cierpliwie słuchała, i on stał się raczej jej mentorem, niż kochankiem.

Trafiało się to często, iż gniewał się w duszy na panią Żelowską, sarkał na marszałkową i przeklinał francuzkie romanse, że mu przyszłą żonę psują; ale po raz pierwszy w serce tknęła go zazdrość, po raz pierwszy obojętne słówko Anny i uśmiech lekki, którym dziewice tak dobrze umieją objawiać samowolę, pokazały mu, że nie dość jest być narzeczonym, aby być panem, że inne tajemnice ma miłość, któremi kochanek swoje chcenia narzuca za prawa chceniom kochanki; po raz pierwszy dusza przejrzała, że na szatę miłości snuła tkankę obłędu; serce zawołało o swoje prawo i poczęło kochać.

Z tego wieczora cierpkiego dla duszy a lubego dla serca, powrócił podkomorzyc innym, jakim był dawniej. Tylko półtorej mili drogi z Syngur do Lachowiec; księżyc jasno świecił, chłód nocy rzeźwił powietrze, koń dziarski dziarsko stępał, nie marudził w drodze, nie zmitrężył czasu, prędko zaniósł pana pod rodzinną strzechę. Jednak Starolacki przez tę krótką chwilę tak wiele przemarzył myślą, tyle uczuł sercem, że innemu, zwyczajnemu człowiekowi i wiek na to zdałby się za krótki; nie rozpaczał on z Kropińskim:

Po co wschodzisz księżycu, niemasz świecić komu,
Sam jeden bez kochanki ja wracam do domu.

Ale do myśli przyplątała mu się święta prawda Mickiewicza: «Jak mi od niej odjeżdżać nudno», — i zaraz wtenczas jeszcze powiedział sobie: «Jak mi do niej będzie jechać trudno.»

Wrócił do domu, ale jaki? — nie gniewny, lecz zadumany, lecz tkliwy; łagodnem słowem kozaka spać odesłał, a sam spać się nie położył. Przeglądał najdrobniejsze pamiątki po ojcu, po matce, łzami zrosił oczy, serce rozczulił, i to mu przyniosło ulgę na sercu. Potem czytał «Dziady» i Wertera «Karolinę i Gustawa», i cały świat poezyi stworzony przez wielkich mistrzów; uszom jego zdawało się, że słyszy wszystkie a wszystkie rozmowy, błogie wdziękami miłości, lubo mu słodko i smutno na sercu, ale nie gniewno. Dniem białym wyszedł na dziedziniec; psy gończe, charty, legawe skakały na niego swoim obyczajem, ale on ich dawnym obyczajem nie odganiał, tylko każdego pogłaskał, popieścił. Dla roztargnienia po gospodarstwie chodził, a wszystko i wszystko chwalił, niczego i nikogo nie zganił. Siadł na konia i koń chimeryczył, on ani ostrogą, ani prętem go nie skarcił, tylko poklepał, pogładził po szyi. Wieczorem, czego nigdy nie bywało, całą godzinę grał w maryasza ze starym rządzcą, choć nie widział, jaka kozera świeci i jak pan rządzca szachruje; dziwnem jakiemś uczuciem chciał się wszystkim przypodobać, od wszystkich być kochanym — bo kochał.

Nazajutrz chciał jechać do Syngur, ale w nocy mu się śniły perły i pies wściekły, — zła wróżba, nie pojechał. Na trzeci dzień już wyjechał, ale w kołowrocie koń licowy zaszłapał, a w sołotwińskim lesie zając drogę przebiegł: złowieszcze znaki; powrócił do domu. Piątego dnia był już pod samemi Syngurami, kiedy zdybał babę niosącą na koromyśle próżne wiadra. Pomyślał sobie: «Nie będą mi radzi» zwrócił koniem i zajechał do Wertekijówki do pani Karszyńskiej; z człowieka nauki stał się przesądnym prostaczkiem, ze śmiałego szlachcica stał się wahającym młodzieniaszkiem — bo kochał.

U pani Karszyńskiej czy umyślnie, czy z przypadku, powiedziano mu o zabawach u pani Żelowskiej, na których

była Anna i hrabia Adalbert. Starolacki nie wypytywał o nic, oczyma tylko zaiskrzył, twarzą pobladł, a po chwili parę niezgrabnych grzeczności wypalił do panny Konstancyi i do panny Maryi; z panem Władysławem dysputował, ale od rzeczy. Chorążynie powiedział, że kazał u siebie zacząć żniwo, choć jeszcze żyto nie przekwitło; udawał wesołego, śmiał się, ale takim uśmiechem, co to na płacz zarywa; do fortepianu usiadł, chciał zabrzdąkać skocznego mazura, a wygrał na klawiszach całą zawiść i wściekłość Otella. Nie wytrzymał udawania, wyszedł, wskoczył na konia i kopnął czwałem.

Chorążyna pyta córek, czy nie zrobiły jakiej psoty Starolackiemu? panny rozmyślają nad tem, co mu się stało, a pan Władysław przepatrzywszy książki, rzekł: «On się kocha.» Stary rządzca i wierny kozak Starolackiego, zobaczywszy, jak pan nie kontent ze wszystkiego, na wszystko zły, i bez rozumu książek powiedzieli toż samo, co powiedział pan Władysław.

W parę dni potem kilku przyjaciół przyjechało do podkomorzyca i rozpowiadali, jak się bawili u pani Żelowskiej, rozpowiadali, jak hrabia przysuwał się do panny Anny; radzili Starolackiemu, aby prędzej się żenił, jeźli nie chce dostać grochowego wianeczka, albo żeby się nie żenił a szukał innej, powiadając: «Nie tyle tylko światła, co w oknie.»

Starolacki słuchał rady i pociechy, ale na nic nie odpowiadał; jeździł konno, polował, jadł, pił, baraszkował z przyjaciołmi, a po ich wyjeździe dostał gorączki i położył się w łóżko.

Szmit, berdyczowski doktor, jak to mówią, zna konstytucyę podkomorzyca, a nic pomódz nie może. Już pan rządzca chciał posyłać po Colleta, kiedy przybiegł kozak z Syngur z listem. Starolacki kazał sobie przynieść list, odpieczętował i czyta:

«Kochany panie Janie! Pojutrze imieniny pani prezesowej Żywulskiej; jedziemy do Żytomierza jutro, kazałem zająć dom Strużewskiego na Pilipońskiej ulicy dla nas i dla ciebie; przyjeżdżaj koniecznie, o to cię prosi twój przyjaciel i sługa Antoni Ostrożalski.»

«Moja żona i Anna zdrowe, kłaniają ci się; gniewają się, czemu o nas zapominasz, i proszą, abyś tym razem przyjechał do Żytomierza, gdzie czekamy na ciebie z niecierpliwością.»

Rumieniec wstąpił na blade lice Starolackiego, żywo porwał się z łóżka, na ziemię postrącał proszki, pigułki, dekokt wywrócił, wziął szlafrok, siadł przy stoliku i zaraz odpisał, potem rzekł do starego rządzcy Strzemeckiego:

— Strzemesiu, każ Iwanowi, żeby konie były na jutro rano gotowe do warszawskiego kocza, ale nowego, — a potem do kozaka: — Dymitro, popakować dziś suknie na bal, jutro jedziemy, na kilka dni się wybrać, rozumiesz? a to list, oddaj syngurskiemu posłańcowi.

Rządzca i Dmytro wyszli; pierwszy mruknął pod nosem: — Panna Anna lepszy doktor, jak Szmit i Collet.

A drugi pokręcił wąsa: — To aż dywo, jak pan ozdrowił, — syngurska panna to nie czarownycia a czarownycia.

VI.

Niebo wygładziło się, wyjaśniało się, jak czoło dziewicy, co nigdy nie czuła troski serca, a już zaczyna przeczuwać jego rozkosz. Słońce ogniście świeci, jak oko młodzieńca, co ciska promienie wzroku na lice ukochanej dziewicy, a świat martwy i żyjący uśmiecha się i weseli, jak dobrzy ludzie, co patrzą na szczęśliwych i kochających się kochanków.

Leszczyńskim stepem, gładkim szlakiem jak po stole, toczy się warszawski koczyk; piątka karoszów wyciąga dziarskim kłusem a poprychuje. Woźnica kiedy niekiedy huknie po swojemu i z bicza klaśnie. Kozak na koźle husda się i drzemie, we śnie marzy o weczernicach, kozackich sprawkach, a podkomorzyc w koczu nie drzemie, nie wodzi okiem po stepie i po niebie, tylko duma.

Zdrowo mu na ciele, hożo, wesoło na myśli i lubo na sercu; ale od czasu do czasu tęskne lękanie się, jak naprzykrzony gość go nawiedza. Im bliżej Żytomierza, tem mu dziwniej: i smutno i wesoło, i nudno i lubo, a wszystko jedno przy drugim razem.

Już na promie przeprawił kozaczy Teterów i konie kopały się piaskiem. Podkomorzycowi chciałoby się lecieć ptakiem, to znowu gdyby mógł, toby odsunął od siebie miasto.

Na Żytomierskiej ulicy spotkał koło teatru kamerdynera Alberta; ten bez pytania zawołał:

— Państwo czekają.

Dalszych słów Starolacki nie słyszał, a woźnica świsnął biczem i konie z kopyta zwróciły w Piliponską ulicę.

Wysiadając z powozu, już ułożony w głowie cały świat szczęścia; we drzwiach powitał go marszałek serdecznemi wymówkami i jeszcze serdeczniejszemi uściskami. Marszałkowa przyjęła go choć modnie, ale uprzejmie, ale Anna była trochę zadumana, a bardziej zafrasowana; z jej pięknych ust nie wyszła ani jedna wymówka dla Starolackiego, ani jedno zapytanie, co porabiał tak długi czas? Starolacki widział na stole romans pani Sand, i także słowa nie powiedział; i to było pierwsze spotkanie narzeczonych, nie takie, jak dawniejsze.

Kilka znanych osób weszło. Starolacki usiadł koło Anny, rozmawiali z sobą, uśmiechali się do siebie, ale w tej rozmowie było tyle rozumnego a nic znaczącego, w tym uśmiechu tyle pozoru i przymusu, że oboje radziby temu położyć koniec, a nie umieją, nie mogą.

Między marszałkostwem a gośćmi była taka rozmowa:

— Cóż znowu za powód kłótni i pojedynku między baronem Czerepackim a pułkownikiem Złotkowskim? wszak to dawni przyjaciele, a podobno nawet krewni.

— O! tej kłótni to dziwne powody; chcąc ją zrozumieć, trzebaby o dawniejszych czasach coś powiedzieć.

— Niech pan powie.

— Powiedziałbym, ale boję się, aby mi nie było obmową.

— Mais quelle idée, my nikomu nie powiemy; proszę mówić.

— Słowo pani marszałkowej jest dla mnie rozkazem. Otóż rzeczy tak się miały: Przeszłego roku u wód w Karlsbadzie pułkownikowa Złotkowska uchodziła za najpiękniejszą między najpiękniejszemi; hrabia Adalbert umiał pozyskać przyjaźń pułkownika, a jeszcze większą i serdeczniejszą pułkownikowej. Francuzi to zowią une adroite gentillesse.

Marszałek chrząknął: — Piękna mi gentillesse! to jak kto komu konia ukradnie, mówią na niego po prostu złodziej, — a jak kto cudze serce zbałamuci, to to dobrze.

— Mais mon cher, daj pokój morałom. Panie majorze, proszę dalej mówić.

— Ostatnich zapust w Warszawie hrabia Adalbert podobną gentillesse zrobił baronowi Czerepackiemu.

— Ha! ha! — zaśmiał się marszałek. — Pan hrabia, widzę, uwziął się gentillessami obdzielać swoich przyjaciół.

— Otóż wczorajszego wieczora u pani prezesowej, hrabianki Stalskiej z domu...

— Czemuż nie u pani Ronikowej?

— Ach prawda, u żony tego adwokackiego syna, — ale mniejsza o to, pani baronowa i pani pułkownikowa były na tym wieczorze. Hrabia Adalbert się zjawił; obiedwie czekały na jego hołd i każda była pewna, że jej się dostanie. Hrabia od pewnego czasu nie taki, jakim był dawniej, usiadł do gry, ale mimochodem przemówił słówko do pułkownikowej. Baronowa nie posiadając się ze złości, zaczęła prześmiewać pułkownikową. Stary pułkownik ujął się za żoną, baron także się wdał; od słówka do słówka przyszło do wyzwania i obydwaj prosili hrabiego na sekundanta.

— A to wyśmienicie; i jakże, to oni nie domyślili się tych gentillessów, co im wypłatał hrabia?

— Panie marszałku, w podobnych wypadkach, kiedy wszyscy ludzie jasno widzą, najbliżsi są zawsze ślepi, — ale wracając do pojedynku, sądzę, że wszystko dobrze się skończy; hrabia i kapitan Groźnicki udali się sekundować zapaśnikom.

Przez czas tej rozmowy panna Anna z podkomorzycem oddalili się do okna, patrzyli na ulicę i zdało się, że nie słyszeli żadnego słowa, ale kiedy się zakończyła, Anna jakby sama do siebie rzekła:

— O! nie można uchronić się od przeznaczenia, i to, co ludzie zowią złem albo dobrem, to niczem nie jest, jak fatalizmem.

Starolacki smutnie spojrzał jej w oczy, a nawet wzdrygnął się — najwyśmienitszy sposób uniewinnienia występku.

Wtem drzwi się otworzyły i oznajmiono przybycie hrabiego Barowicza i kapitana Groźnickiego, — oznajmiono, bo pani

marszałkowa kazała, aby stary Albert okrzykiwał wszystkie imiona, jak woźny trybunalski. Wojtaszek aż chrypki dostawał, a owrzaskiwał na całe gardło, chrzcił po swojemu imiona i nazwiska. Cóż robić, tak pani kazała jemu, a pani moda.

Po powitaniach, hrabia z podkomorzycem oczyma się zmierzyli, i w tem jednem spojrzeniu zagrało kilka odmiennych uczuć na raz. Hrabia zbliżył się do marszałkównej i zaczął ją bawić temi grzecznościami świata, wyszukanemi wprawdzie, ale zgrabnemi, zawsze i wszędzie łechcącemi ucho kobiety. Panna Anna słucha z łaskawem okiem, z przypłonionem licem, z uśmiechem na ustach, co zda się igrać połotnie, drażnić oko i serce. Podkomorzyc stał przy oknie i tęsknił za rojonem szczęściem i smucił się z tego, co widział.

Hrabia może i kocha piękną Annę, a może tylko mu się zdało, że ją kocha; próżnoby kto myślał, że on dla pieniędzy poszukiwał serca marszałkówny, — o nie! Pozwolił w ten domysł wierzyć Groźnickiemu, bo wiedział, że ta pozorna blichtra w oczach świata da mu wstęp do domu marszałka i pokryje jego zamiary i cele. On pieniędzy ani cenił, ani rozrzucał, a miał ich zadosyć. Mężczyzna, co trzydziestu lat nie doliczył, a nie rzucił jeszcze świata miłości i rozkoszy, ani w nim zestarzał, o zbiorze skarbów nie myśli. Chciałże ręki marszałkównej, żeby dobrem szlacheckiem Ostrożalskich imieniem niejako uszlachcić nie starosławne miano Barowicza? O nie, on sądził i dobrze sądził, że hrabiowski tytuł w oczach cudzoziemców, a włoście i złoto w oczach krajowców zatarły do szczętu pamięć pochodzenia i olśniły szlacheckim blaskiem rodzinne jego imię.

Dla czegóż hrabia tak gorąco pragnął, czy serca, czy ręki panny Anny? może przez czystą, szlachetną miłość? — może, a może i nie. Na nieszczęście hrabia tej szlachetnej, czystej, niebiańskiej miłości nigdy nie czuł. Może to współczucie dziwne, niepojęte, co ciągnie ludzi ku ludziom, a którego przyczyny, siły i przeznaczenia świat mądrości nie pojął, nie zrozumiał i nie wytłómaczył światu uczucia. Powiedział poeta i mędrzec perski: «Twórca słońca, nieba i ziemi, tego, co widzimy, i tego, co nie widzimy, rzucając na świat parami

nowych ludzi, dawał Peryi jabłka pół-rubinowe, pół-bursztynowe. Ona złotym ostrzem przeznaczenia rozcinała je na dwoje, mówiąc: «To niewiasta, to mężczyzna», i rzucała na świat razem, albo jedne po drugich, kładąc między nie przeciąg lat; lata mijały, a choć szeroki był przestwór świata, połówka do połówki biegły do siebie i zawsze się znalazły z sobą, bo Twórca je jednem jabłkiem stworzył, a Perya na dwoje rozcięła; co Twórca zrobił, tego Perya nie odrobiła.»

Prawdę powiedział poeta, że co Twórca zrobił, tego Perya nie odrobiła; ale te połówki ludzkiego jabłka nim się z sobą zejdą, najczęściej jedną albo robak stoczy, albo zje rdza przeżycia, kiedy druga zachowa czerstwe, niepokalane zdrowie.

Hrabia Adalbert za młodo żyć zaczął miłością i rozkoszą, ale nie tą duchową miłością, do której skacze serce w wiosennych latach życia i przez którą Bóg nas kocha, bo my kochamy; nie tą miłością wyssaną z poezyi świata, albo z poezyi stworzonej wielkimi ludźmi, co imaginacyą ciska do kochania, do wielkości, do sławy, do wszystkiego, co piękne, co dobre, co wielkie. Ani nawet tą miłością rozhukanej duszy, rozpłomienionego serca, co czasem dobrem, człowieka stawia obok aniołów, a czasem złem szatanów rumieni, że w zbrodni niższymi są od ludzi. On żył miłością zwyczajną zepsutego świata, miłością, co ludzi spycha do kału i w kale ich kąpie. Nie żył on tą rozkoszą, co lubem, uroczem chceniem ku sobie pociąga, co lube, słodkie, urocze wspomnienie po sobie zostawia. Rozkosz, w jakiej żył, była nałogowa, nie serca, nie duszy; łaknął jej bez czci zmięszanej z obawą, napawał się nią bez ubóstwienia i szału, porzucał bez wstrętu, ale i bez żalu.

Hrabia dawniej młodzieńcem może byłby kochał i po prawdzie, ale na nieszczęście kochał kobiety, które przychodziły na nim mścić się uwiedzionej młodości, zdradzonego uczucia przez innych. Widział, jak te kochanki naigrawszy się z nim, jak z błahem cackiem, zmarnowawszy to wszystko, co było dobrego w jego duszy, zdeptawszy pośmiewiskiem i lekkoważeniem młode uczucia jego serca, opuszczały go dla młodszego, ładniejszego, bogatszego, albo więcej wziętego w wielkim świecie. Był kochanym od niewiast, co dla

niego zdradzały swoje dawne uczucia i nowym uczuciom zapowiadały zdradę. Prędko, prędko trucizna zepsucia upoiła całe jego jestestwo, nie długo szamotał się z cierpieniem, z żalem albo z rozpaczą; z suchem okiem patrzał, jak współzalotnik uwodził serce, które przed godziną przysięgało mu wieczną miłość, nie zarumienił się gniewem, nawet się nie zaśmiał z tego; kłamał, oszukiwał, zdradzał, czuł, że jemu mogą nie wierzyć, ale on nikomu nie wierzył.

W dwudziestym dziewiątym roku życia swoje uczucia zbezcześcił, zwarzył. W miłości nie widział tego Bożego pierwiastku, tego świętego skarbu dla serca i duszy. A jednak jego serce nie zestarzało się ze szczętem, jego dusza nie upadła zupełnie; bo nie pragnął spoczynku, nie wpadł w odrętwienie, rzucał się w wir życia i szukał młodego serca, niekalanego uczucia. Czy dla tego, żeby swoje serce odmłodzić, żeby swoją duszę podnieść z upadku, czy dla tego, żeby pomścić się za winy drugich, tak jak nad nim się mszczono, nie za jego winy?

VII.

Uczta u prezesa Żywulskiego była świetna; ryczałtem złote światło potokami lało się po salonach, muzyka brzmiała. Piękne niewiasty, piękne dziewice, strojne w powiewne szaty, jak huryski siódmego nieba Islamity, gładko chodziły, skocznie pląsały, a blask ich oczów gasi rodzime dyamenty, a ich lice kraśnieją barwą maliny i ich usta uśmiechem się wdzięczą, a ich oddech rozkoszą wionie, a ich kibicie polotnie pływają w złotem świetle, serca łechcą, oczy nęcą do miłości, do szczęścia. Młodzież raźna, ochocza, w zaloty się puszcza, hula w tańcu. A starzy patrzą i cieszą się nowem pokoleniem, dawnemi wspomnieniami do siebie mówią: «Tak kiedyś i z nami bywało», a to wspomnienie tem milsze, że uosobnione w ich dzieciach, w ich własnej krwi.

I jakaż urocza tego wieczora była panna Anna! Po dziewiczem czole przewijało się marzenie, oczy błyskały uciechą, ale nie z samego tańca, widać, serce rosło lubem chceniem kochania, a dusza poiła się chlubą niewieścią; i jakże nie miała się poić? Podkomorzyc stał się niewolnikiem jej; skinienia, dawne rady, przestrogi, gdzieś precz uciekły z jego myśli. Och! już on nie pragnie być przewodnikiem ulubionej dziewicy; słowami, oczyma, twarzą, woła na nią: «Rządź mną, panuj nademną, tyś moja pani.»

Hrabia oprócz grzecznego ukłonu niczem więcej nie

obdarzył pułkownikowej i baronowej, nawet półokiem nie rzucił na piękne panie, co biegły do niego oczyma, z sercami; on wzrokiem szukał wzroku marszałkównej, a ustami niósł jej swoje serce w poddaństwo. Rad z siebie, mniemał, że jest Napoleonem w szrankach miłości, chełpił się przed znajomą młodzieżą, pokazując na dwie panie, których mężowie wczoraj się poważnili, a których on pogodził: — To Marengo, to Jena, mnie trzeba innych.

Jeden z młodzieży widząc pannę Annę tańcującą ze Starolackim, odpowiedział: — Hrabio, pilnuj się, żeby nie była Moskwa.

Groźnicki pokręcił wąsa: — Hem, pod Somo-Sierra gorąco było, a jednak pobiliśmy; mon comte, du courage.

Hrabiemu nie potrzeba było tej zachęty; on spostrzegł, że piękna dziewica rzuciła wzrokiem na niego, wtenczas, kiedy mówiła ze Starolackim; ścisnął za rękę Groźnickiego:

— Capitaine, en avant et nous aurons un Wagram.

Drugiego mazurka już tańczył z panną Anną; słodkiemi słówkami ją bawił, a ona szczęśliwa, radośna, ani popatrzyła na Starolackiego.

Czegóż tak nagle pobladł hrabia, zaniemiał? panna Anna uśmiecha się ustami do niego szczerze, on roztargniony, ku drzwiom wzrok zwrócił i patrzy; trzeba mu było przypomnieć, że na niego kolej do tańcowania; zmylił figurkę, nagle zakończył, właśnie w chwili, kiedy dziewica w polotnym pląsie jak jaskółka pławiła się po nad posadzką, i stanął nie na swojem miejscu.

Przy drzwiach nic nadzwyczajnego się nie stało: wszedł młody Karszyński z jakimś obcym człowiekiem, którego przedstawił prezesowi. Ten obcy człowiek, młody, blady na twarzy, z jasnym włosem, spadającym na kołnierz fraka, szczupłej i wiotkiej kibici, oka łagodnego i trwożliwego zarazem, co zdawało się wołać o pomoc ludzką i przed czasem dziękować za nią, nie zdawał się być cieniem przychodzącym z zemstą za zniewagę, ani kochankiem dopominającym się o uwiedzione serce. Nie miał postawy współbiesiadnika wyuzdanych pohulanek, w których gra i bez-

prawie, oswoiwszy człowieka z występkiem, w czwał wiodą do zbrodni.

Ciepło w salonie, taniec krew rozgrzewa, a jednak hrabia kilka razy zadrżał, jak gdyby mróz po za plecami mu się przesunął. Obcy gość, kiedy dostrzegł hrabiego, zbladł, zasępił czoło, a po chwili boleśnym pół-uśmiechem chciał pokryć uczucie pierwszego wrażenia.

Po mazurku hrabia zbliżył się do przybyłego gościa, powitali się z sobą i rozmówili się kilkoma słowy; ale w tem powitaniu, w tej rozmowie było coś podobnego do powitania, do rozmowy przestępcy już skazanego na kaźń z sędzią, który przychodzi jeszcze wybadywać sumienie i wyciągać na jaw całą nagość przekroczenia.

Hrabia wrócił do grona kobiet, rozmawiał, śmiał się, tańcował nawet; puste rzeczy i najmniej biegłe oko umiało rozróżnić, że te blichtry musu dalekiemi były od szczerej uciechy. Obcy człowiek, mimo bardzo młodego wieku, miał twarz poważną, myślącą; czasami odpowiadał na zapytania gospodarza domu albo Karszyńskiego, a najczęściej przypatrywał się zgromadzeniu, jakby umyślnie wzrokiem spędzał z hrabiego lica nawet ten uśmiech musu, tę udaną wesołość.

Wszyscy to widzieli, wszyscy byli ciekawi, a panny Anny nie prosta ciekawość, ale imaginacya, spajająca książkowe natchnienia z tem, co widzi w tej chwili, sprowadzała i rumieniec i bladość na lice, i blask i łezkę do oka. Usiadła przy pannach Karszyńskich, spojrzała na Starolackiego i zadumała się trochę, spojrzała na hrabiego i nabrała odwagi:

— Moja Marysiu, kto jest ten pan co przybył z panem Władysławem?

— Nazywa się pan Ferdynand Szwarcwald, przybył z Niemiec.

— Zkądże się zna z panem Władysławem?

— Tadeusz Porajski, nasz brat cioteczny, dał mu list do Władysława.

— Gdzież go pan Porajski poznał?

— W Monachium zapewne.

— Jak dawno do was przyjechał?

— Wczoraj.

— Czyście go namówiły, żeby tu przybył?

— Nie, Władysław miał z nim zostać, ale on oświadczył, że z nami pojedzie.

— Czy więcej tu nikogo nie zna, oprócz pana Władysława?

— Zdaje mi się.

— A mnie się zdało, że witał pana hrabiego Adalberta.

— Może być, — nie uważałam.

Marszałkównę widać, że nie bardzo zadowolniły te odpowiedzi, bo obróciła się do drugiej panny Karszyńskiej.

— Kostusiu, czy pan Władysław dziś nie tańcuje?

— Zapewne dla tego, że nie chce samego zostawić pana Szwarcwalda.

— Moja Kostusiu, poproś go i powiedz, że chcę z nim tańcować.

Panna Konstancya skinęła na brata i ten przyszedł właśnie w chwili, kiedy podkomorzyc i hrabia biegli prosić pannę Annę do tańca; ona się im wymówiła i stanęła do mazurka z Władysławem. Ta łaska nie wznieciła zadrości ani w Starolackim, ani w hrabiu, ale Władysław był nią szczęśliwym.

Już młody akademik po mazurkowym hołubcu zabierał się na poetycką rozprawę, a przynajmniej na grzeczność zaprawną porównaniem albo metaforycznym obrazem, kiedy panna Anna zapytała:

— Proszę pana, kto jest ten pan Szwarcwald?

— Uczeń uniwersytetu Monachium, przyjaciel mojego przyjaciela, człowiek, którego dusza przy pierwszem poznaniu zrozumiała się z moją. Jest jakiś pociąg niepojęty między ludźmi, i tak dwóch ludzi...

— Panie Władysławie, na nas kolej tańczyć.

— Przepraszam.

Przetańczyli, — Władysław chustką obtarł czoło.

— I tak dwóch ludzi różnego szczepu, odmiennego kraju...

— Panie Władysławie, pan musisz coś wiedzieć o jego rodzinie.

— O! pani, ja nigdy nikogo nie pytam o jego ród; my-

śmy wszyscy jednego rodu, wszyscyśmy ludzie jednego Boga, prawo ludzkie i prawo Boże.

Marszałkówna ruszyła ramionami: — Mnie się zdaje, że ten pan rozmawiał z panem hrabią Adalbertem, — i zarumieniła się.

— Gdzieś w Niemczech musieli się znać; mnie się pytał Szwarcwald o pana Barowicza. Często ludzie wcale innemi drogami chodząc, mogą się zdybać z sobą na tym świecie; zechcą się zrozumieć, ale te obrzęki dwóch różnorodnych instrumentów nie wydadzą harmonii jedności, — te uczucia płynące z innej zasady, do innego celu, nie zespoją się z sobą. O! nie będzie między nimi braterstwa.

— Ale dla czegóż on pana pytał o pana hrabiego?

Taniec rozmowę przerwał; później to Starolacki, to hrabia się zbliżali. Kołem zakończył się mazurek i panna Anna nic więcej nie wiedziała, jak to, co wiedziała przed mazurkiem. W myśli szczerze nie sprzyjała tej namiętności akademickiej, rozumowania o każdej rzeczy i w każdym wypadku. Władysław zaś był bardzo rad z siebie, że i w mazurku mógł choć potrochę objawić pięknej dziewicy swój sposób widzenia i pojmowania rzeczy; potem wrócił do Szwarcwalda, i widać, że obydwaj rozmawiali o pannie Annie, bo obydwóch oczy bezustannie zwracały się ku niej.

Tańczono do białego dnia; już jarzące światła poczęły blednieć, jakby przedwczesnym wstydem przed zbliżającem się słońcem; już granie muzyki nie tak śpiewa, nie tak częste, nie tak raźne, jak było przed chwilami. Już nawet taniec nie tak skoczny, nie tak ochoczy; wszystko zwiastuje coraz bliższe a bliższe konanie szału uciechy.

Pobladły krasiwe lica niewiast i dziewic, oczy mgliły się utrudzeniem ciała, a może i serca; w składach kibici, w ruchach ciała jakieś lube opuszczenie się, jakaś urocza samowola, co spoczynku pragnie... O! one były, jak te kwiaty z wieczora jaśniejące blaskiem ozdoby, rankiem leciuchne, przywiędnione przymrozkiem, a ołzawione rosą, piękne jeszcze, a może piękniejsze jak wprzódy, bo wtenczas blaskiem krasy zmusiły oczy do podziwienia, a teraz półniemocą krasy wabiły serca do kochania.

Przy wyjezdnem państwa marszałkostwa hrabia żegnając pannę Annę, musiał mówić jakieś bardzo grzeczne słówka, bo ona tak miło się uśmiechała, tak słodko spojrzała, że na nią aż lubo patrzeć wszystkim, oprócz Starolackiego i oprócz tego cudzoziemca Szwarcwalda; bo ten spojrzał wzrokiem nie dzikim, nie groźnym, ale smutnym i przenikliwym. Hrabia zaniemiał i nawet do powozu nie odprowadził pięknej dziewicy. Ona uczuła jakieś mimowolne złowieszcze ściśnienie serca, siadła do powozu, słowa nie rzekła do Starolackiego i w oczy, czy nie chciała, czy nie śmiała mu spojrzeć.

Wróciwszy do domu, na tysiąc pytań dobrej Dorotki ani słowa nie odpowiedziała, a jednak to choć zakazywana, ale miła rzecz, rozpowiadać pokojówce, tej służebnej przyjaciółce, wszystkie swe zwycięztwa, odniesione na niewieściem polu sławy, te drobnostki puste dla drugich, a takie drogie, takie znaczące dla dziewczęcego serca... Porównywać swoich wielbicieli i słuchać zdania pokojówki o nich, czasem z nią sporzyć dla wywiedzenia się pożądanej prawdy, czasem przystawać na jej słowo dla ukrycia tajemnicy serca, a czasem też na pół ją powierzyć. Dorotka, rówiennica marszałkównej, razem z sobą wzrosły; dawniej przy rozbieraniu się i przy ubieraniu się często bywały te pogadanki; teraz pokojówka jak z bezwładnej zdejmowała stroje i powtarzała ciągle: «Czyż można tak się męczyć? niech panna się kładzie, trzeba spocząć.»

Marszałkówna skinęła ręką na Dorotkę, aby odeszła; ta odchodząc, łzy miała w oczach i pomyślała sobie: «No, już te książki, to pół-biedy, ale tańce to nieszczęście, — panna zachoruje; dalibóg, że powiem o tem pani i panu.» Tem postanowieniem pocieszyła się trochę.

Anna klęknęła przed łożem, jak do modlitwy, ale nie modliła się, — dumała: «On umie kochać, on mnie kocha, — ale ten człowiek, kto on taki?» — zadrżała, — «ta tajemnica, jak on na mnie spojrzał!» Po raz pierwszy dziewica odważyła się pomyśleć: «Adalbert, jaki on był piękny, ile powabów go otaczało z tajemnicą! O! bohaterowie książek, wyście nie puste utwory imaginacyi, i Albert bohater. Może jakie nieszczęście mu grozi,» — i parę łez czystych, jak perły,

serdecznych, jak samo serce, spadło; a do tej myśli jakby gwałtem wcisnął się obraz Starolackiego. «On mnie lubi, jak brat siostrę, jak przyjaciel przyjaciółkę, — on mnie nigdy nie kochał i kochać nie umie, — ja go nigdy nie kochałam, ale lubiłam jak brata, jak przyjaciela, i teraz tak lubię.» Wstała z klęczek, nie pomodliwszy się pacierzem, tylko miłością, oddawszy cześć miłości Bożej.

Położyła się w łoże, dumała i w dumaniu zwarły się powieki i pierś poczęła lekko wzdymać się i spadać oddechami snu. Nie długo trwał ten cichy spoczynek spokoju; we śnie przymarzyło się dziewicy, że hrabia piękny, kochający, prowadził ją za rękę po kwiecistej łące; on śpiewał miłości słowa, ona była szczęśliwą. Wtem, jakby widmo jakie, blady, z siniałemi ustami, z włosem rozczochranym, stanął przed nimi Szwarcwald i ostrem żelazem rozciął ich ręce. Ona krzyknęła, zbudziła się i siadła na łożu, załamała dłonie, zawołała: «Boże zlituj się nademną!» i zapłakała.

VIII.

Cóż to znowu stało się panu marszałkowi Ostrożalskiemu? Wczoraj jeszcze poobiecywał kilku wysokim urzędnikom: u jednego być na obiedzie, u drugiego na wieczorze; sam nawet do siebie pozapraszał na obiad, na wieczór, zgoła, że miał bawić w Żytomierzu przynajmniej tydzień. A teraz jakaś nagła zmiana zaszła, popisał listy przepraszające i odpraszające, kazał rzeczy pakować, konie ubierać i zaraz zajeżdżać.

Darmo pani marszałkowa smuciła się i nadąsała się nawet, swoim zwyczajem ledwie nie kopę razy powiedziała z pewnym przygryzkiem: — Mon cher, vous êtes le maître.

On na to nie zważał i odpowiadał:

— Rzecz oczywista, że ja jestem panem i tak zrobię, jak mnie się zdaje, moja kochanko; pojedziemy.

Z podkomorzycem coś rozmawiał na stronie, ale po cichu, a kiedy zobaczył przez okno, jak w odkrytym powozie hrabia z Groźnickim zajeżdżali przed dom, mimo, że Anna stała w oknie i marszałkowa już krygowała się do przyjęcia modnego panicza, groźnie ofuknął na Alberta:

— Powiedzieć, że państwa nie masz w domu.

— Mais mon cher, cóż o nas powiedzą?

— Powiedzą, co zechcą, moja kochanko, ale tym razem niech tak się stanie, jak mnie się zdaje.

Albert nie czekał na powtórzenie rozkazu, i powóz odjechał.

Marszałkowa usiadła w krześle:

— Ah! mon cher, nous sommes perdus, już teraz nam nie pokazywać się na świecie.

— Uspokój się, moja duszko; prawda, że to tak nie po polsku odpędzać gości, ale taka to była potrzeba.

Anna zbladła i oparła się o ścianę. Podkomorzyc zbliżył się do niej:

— Co pani jest? pani chora, — i wziął ją za rękę.

Ona z lekka wysunęła swoją rękę z jego ręki:

— Nic mi nie jest; dziękuję panu za troskliwość. — Zamilkła, a oko łzą zaszło.

Starolacki odwrócił się do okna, nie chcąc Annie pokazywać swojej twarzy, aby po jej wyrazie nie poznała, co się dzieje w jego duszy. On odgadł, co się działo w sercu dziewicy.

Przy wsiadaniu do pojazdu, marszałek mówił do Starolackiego:

— Panie Janie, wszak z nami jedziesz?

— Nie mogę, panie marszałku, muszę tu parę dni zabawić, a potem wrócić do siebie. — Mówiąc to, ani nie spojrzał nawet na Annę.

Marszałek spostrzegł piątkę karoszów już zaprzężonych:

— A twoje konie przecie zaprzęgli?

Starolacki trochę się zatrzymał:

— Z Karszyńskim mieliśmy jechać na przejażdżkę.

— A tłumok?

— Niewiem, dla czego go uwiązali.

Marszałek popatrzył na niego wzrokiem, co jawnie mówił: «Wiem, dla czego nie jedziesz.» Popatrzył na córkę; ona na wspomnienie Karszyńskiego zadrżała, a potem znowu wpadła w poprzednie zadumanie się; obojętnie wsiadła do powozu, — pojechali, — a Starolacki zawołał suchym i ucinkowym głosem:

— Dmytro! wyprząść konie.

W drodze marszałek pokilkakrotnie usiłował rozpocząć rozmowę, ale matka się dąsała, a córka choć z poszanowaniem, odpowiadała krótko. Z ich rozmową było, jak z tym teorbanem, którego struny za każdem podrumkaniem rwą się; teorbanista rzuci precz teorban, założy ręce i dumaniem wygrywa, co miał zadrumkać na strunach. Wszyscy troje milczeli i dumali, każda innym sposobem, a o tej samej rzeczy.

Marszałkowa łamała myśl w głowie, zkąd ta wola niezłomna męża, zkąd ten obcesowy wyjazd; chciała zgadnąć, dla czego to? — dla czego?

Anna marzyła o hrabiu Adalbercie, o niemieckim gościu, o wyjeździe; nie jedną łezkę smutku połknęła okiem, a imaginacyą snuła długie i szerokie pasmo domniemań: «Zkąd to wszystko i dla czego?»

Marszałek sam jeden pewnie wiedział, dla czego tak nagle wyjechał: ale w tem wiedzeniu jeszcze było do myślenia, to przeklęte: «Zkąd i dla czego?»

Dopiero w Syngurach kamerdyner Albert powiedział pokojówce Dorotce, a ta pani i pannie, że w Żytomierzu w kilka godzin po powrocie z uczty od prezesa Żywulskiego przyszedł jakiś żyd z listem do pana marszałka; nie chciał go nikomu oddać, tylko w ręce samemu panu. Musiano tedy pana zbudzić, bo żyd gadał, że bardzo gwałtowna potrzeba, chodzi o gardło. Pan kilka razy list odczytywał, wypytywał o coś żyda; wyraźnie Albert widział, jak mu dał karbowanego rubla w nagrodę, a potem wydał rozkaz do pakowania w drogę. Zdało się Albertowi, że pan schował list do szkatułki i do kryjówki, gdzie powszechnie kładzie złoto albo ważne papiery. Albert prosił Dorotkę o tajemnicę, a Dorotka u pani, u panny uzyskała także przyrzeczenie tajemnicy, Marszałkowa smutna, pieszczot i dąsania się na przemiany używała, aby się dowiedzieć od męża o tym liście; ale że mu nic wręcz nie mówiła, więc on ją zbywał uśmiechem albo pustemi słowami, i za każdym razem zdało mu się, iż się zbył kobiecej ciekawości, chociaż wiedział dobrze, że to nie zawsze łatwa rzecz do zrobienia. Chcąc, aby zapomniano o tym wyjeździe z Żytomierza, poczciwy Ostrożalski ulegał

4*

żonie jak dawniej, ale to nawet bez najmniejszego odswarzania się, wyszukiwał rozrywki dla żony; pani przyjmowała to bardzo dobrze, mając ciągle na myśli: «O! muszę ja się koniecznie dowiedzieć, co to za list.»

Anna już nie czytała francuzkich romansów bezustannie, czasami tylko stronicę przerzuci i w tych urokach zachwycającego pióra widzi podobieństwo do swego dzisiejszego życia. Jej imaginacya bogata teraz w tysiąc a tysiąc rojeń, ona kocha i marzy, szuka samotności i tam swoje uczucie albo barwi złotem i dyamentami miłości, albo pali cierpieniem i nieszczęściem, gotowa na poświęcenia się i ofiary. W oddali widzi występki, zbrodnie, a jeszcze dalej, dalej szczęście jakieś namiętne, niepojęte... Zgoła o tem wszystkiem marzy, to wszystko w życie ubiera, czego naczytała się w książkach, czem nasiąkło serce, czem się dusza napoiła.

Dziewica dobra, skromna, piękna ciałem, a najpiękniejsza jeszcze duszą, gdyby była nie nassała słodkiej trucizny, co żywi niekorną namiętność i głaszcze rozpasaną imginacyę, byłaby padła na kolana przed Bogiem i szukała z nieba łaski dla swojego kochania, byłaby matce, ojcu nawet otworzyła serce i u nich szukała pociechy; snadniejby jej było znaleźć przyjaciółkę, coby zrozumiała jej uczucie; po szale szczęścia przyjaźń miła na odpoczynek... a cierpienie, o! bardzo cierpkie bez pomocy przyjaźni.

U Anny pierwotne wyobrażenia o Bogu, o rodzicach, o przyjaźni, o dobrem pokrzyżowały się i przemięszały z natchnieniami smutnemi z książek; lubiła myślą plątać się po tem dziwnem wiciu. Często powtarzała: «Oniby mnie nie zrozumieli.» Wszystko zdawała na ślepy traf, na przeznaczenie, a jednak wierzyła.

Takie kilkodniowe życie bardzo zmieniło Annę; twarz jej ociągnęła się bladością uroczego życia, oczy nowego blasku nabrały. Często była smutna, zadumana, ale w tem zadumaniu, w tym smutku nie było cienia rozpaczy, tylko nadzieja... zwyczajna oznaka zawiązku pokochania się.

Tak było w Syngurach, kiedy przyjechała pani Żelowska, sama jedna, bez Bronisia, bez Anielki. Marszałek chcąc zaskarbić łaskę żony, przyjął ją z oznakami największej grzecz-

ności. Pani Żelowska nie była w Żytomierzu na owej świetnej uczcie; marszałkowa tedy jej opowiadała wszystkie przygody tego dnia, a tak sumiennie, jak na spowiedzi przed księdzem. Pani Żelowska nawzajem jakąś tajemnicę powierzyła marszałkowej; to zwierzanie się i te narady odbywały się w buduarze samej pani, i prócz ich dwóch nikogo tam nie było. W końcu przywołano Annę; matka ją uściskała, nic nie mówiąc, a pani Żelowska wzięła za rękę:

— Ma mignonne, nie trap się, le comte Adalbert vous aime, i bardzo, ja będę swachą, n'est ce pas, czy zgoda?

Anna uścisnęła rękę pani Żelowskiej, a matkę ucałowała, nic nie rzekła; ale to milczenie było jawnem powodzeniem, że kocha hrabiego.

Marszałkowa uśmiechała się: — Mais, ma bonne dame, mój mąż?

— Je m'en charge, wszystko dobrze pójdzie.

Przy obiedzie pani Żelowska opisywała zalety i majątek hrabiego Adalberta; marszałek słuchał, nie przeczył, ale zachmurzył twarz. Pod koniec obiadu pani deputatowa, jakby ot tak sobie z przypadku, zaczęła opowiadać, iż słyszała od pewnej osoby, jakoby pani Karszyńska usiłowała podkomorzyca Starolackiego zaprosić w konkury do jednej ze swoich córek:

— Niestały, bałamut, mówią, że się zajął mocno de mademoiselle Marya.

Marszałek rzekł krótko: — To być nie może, — i na tem rozmowa się zakończyła.

Po obiedzie, po czarnej kawie, jakby umyślnie matka z córką jedna po drugiej wyszły z salonu, a marszałek został sam na sam z panią Żelowską.

Pani Żelowska pokręciła głową, przysunęła się z krzesłem:

— Mon cher monsieur Antoine, mam ważne rzeczy do powiedzenia.

— Słucham pani.

— Vous savez, ile kocham notre petite Anna.

— Bardzo pani dziękuję.

— O! vraiment elle m'intéresse, jakby to było moje własne dziecko; quel bonheur d'avoir un tel enfant.

— Zapewne.

— Elle est jolie, charmante, tak urosła.

— Tak mówią wszyscy.

— Eh bien, trzeba ją za mąż wydać.

— To też ją wydam.

— Mais mon cher Antoine, za kogo? — i rękę swoją oparła ną ramieniu marszałku.

— A jużcić za Starolackiego; to dawne układy.

— A jeźli zrobi un faux bond i do panny Maryi się uda?

— Temu nie wierzę; ale gdyby i tak było to znajdę mojej córce męża.

— Écoutez, monsieur Antoine; wiadomo, że jestem przyjaciółką de votre famille.

— Bardzo pani dziękuję.

— Anna zasługuje na zamęźcie le plus brillant.

— Dla niej dość syna uczciwej rodziny, Polaka.

— Ale z nim znaczny majątek, un rang dans la société, to nie zawadzi, n'est ce pas?

— To się znajdzie, zresztą moja córka majątek ma, a o tytuły mniejsza, byle była szczęśliwą.

Wzięła go za rękę: — Mówmy szczerze i otwarcie, chciałam oznajmić un prétendant.

Marszałek milczał.

— Saves vous, kogo?

— Niewiem.

— C'est le comte Adalbert, — i patrzyła marszałkowi w oczy.

On nie zmienił twarzy: — Przepraszam panią, nieprzyjąłbym.

— Ale dla czego nie? on tak dobrze wychowany.

— Może być.

— Enfin ma ogromny majątek.

— O tem wiem.

— Jest hrabią.

— Tem lepiej dla niego.

— A jeźli zyskał serce Anny...

Marszałek mimowolnie brwi zmarszczył: — To niepodobna.

— Mon cher monsieur Antoine, podobna; dziś bez pozwolenia rodziców kochają i kochają się.

— To źle.

— Źle czy dobrze, ale tak jest. Anna kocha hrabiego Adalberta; nie będziesz miał tak okrutnego serca, panie marszałku, żebyś się przeciwił ich szczęściu.

— Nie pozwoliłbym nigdy na to małżeństwo.

— Byłbyś tyle barbare?

Marszałek znowu milczał. Pani Żelowska to milczenie brała za wahanie się:

— Vous êtes najlepszy ojciec, kochasz Annę.

— Pewnie, że ją kocham. Pani deputatowo, przestańmy o tem mówić. — I podniósł się z krzesła.

Ona zatrzymała go za rękę:

— Jeszcze jedno słowo. Anna kocha hrabiego, ja to wiem, j'en suis convaincue, hrabia Adalbert kocha Annę, panie marszałku; w twojej mocy ich szczęście. Vous n'êtes pas cruel, vous êtes bon.

Ona mówiła, a on stał jakby piorunem rażony; nareszcie twarz mu się zaczerwieniła i na czole sprężyły się żyły:

— Nie! nie! — Otworzył dłoń szerokiej ręki. — Słuchaj pani: wprzódy włosy porosną na mej dłoni, nim moja córka wyjdzie za jakiego Barowicza.

Te słowa wymówił uroczyście, z zapałem i głośno. Pani Żelowska zaniemiała, a w drugim pokoju dał się słyszeć boleśny dźwięk głosu:

— O! mamo! mamo!

IX.

I jakaż to była noc dla Anny! Snem oka nie zmrużyła, chwilki spoczynku nie dała skołatanej duszy, od grobowych smutniejszemi myślami dręczyła swe serce, rzewnemi łzami się spłakała, ale nie umarła, nie zachorowała nawet, — tylko z tej febry rozpaczy wysnuła z siebie wolę Lelii, chcenie Leoni. A wola i chcenie dziewicy, co już ma siebie za bohaterkę miłości, ze znaną sobie rozkoszą igrają z przeciwnościami; w smutku, w rozpaczy szukają pożywienia i niemi rosną w siłę. Jeźli one powiedzą: «Stań się», rzadko kiedy tak się nie stanie.

Dziewica, w której duszy zagra wola, a w serce wślizgnie się chcenie, jakby jakim cudem niepojętym przeobraża się w jednej chwili. Ta lękliwość dziewicza, co za lada słówkiem rumieni się i drży, jak mgła wiosenna przed okiem słońca, tak ona rozpierzcha się i niknie przed postanowieniem woli, przed popędem chcenia. Wtenczas nowe słońce przyświeca życiu dziewicy; śmiałość, wytrwałość, upór nawet, wszystko się znajdzie, — słodko to być bohaterką miłości, słodko i zostać jej męczenniczką. Namiętność, to wielkie słowo duszy... kiedy zagada, wszystko a wszystko precz ustępować musi.

Rankiem równo ze świtaniem Anna z łoża wstała, otworzyła okna. Jeszcze nie jasno na niebiosach, ale na wscho-

dzie od dołu mdłym rumieńcem rumienią się obłoki; jeszcze urocza cichość w powietrzu, ale już szemrzące pogwary ptasząt gdzie niegdzie się odzywały, rosa z pereł w łzy się zbiera, czeka słonecznego promyka, aby zalśnieć blaskiem rozkoszy.

Jak z wieczorem każdego dnia jakaś posępność gwałtem leje się do człowieczej duszy, jeźli tylko na chwilkę sam z sobą zostanie, albo o sobie poduma, tak z rankiem nadzieja, otucha ciśnie się do serca każdego; a cóż dopiero do serca dziewicy, która po raz pierwszy kocha, a kocha namiętnie?

Anna długo na świat patrzała oczyma, a myślą marzyła o kochaniu; potem usiadła przy stoliku i pisała jakiś list. Prędko pióro ślizgało się po papierze, drobna rączka ani razu się nie zawahała; widać, że tak musiało być i w duszy; łezki tylko umiliły piękne oczy, nie odczytywała listu, tylko złożyła go, podpisała i zadzwoniła na pokojówkę.

Widoczne wzruszenie na twarzy, — list obracała w ręku, a nie śmiała go otworzyć, nie śmiała położyć go na stoliku. Myśli po myślach przesuwały się w głowie, nim nadeszła Dorotka; ale widać, że już postanowiła, bo zaledwie otworzyły się drzwi, rzekła choć cichym, ale pewnym głosem:

— Dorotko, zapal mi świecę.

Bez żadnego wzdrygnienia ręki zapieczętowała ten list:

— Dorotko, czy twój brat jeszcze leśniczym w Lachowcach?

— Jeszcze pani; ale dla czego pani chce o tem wiedzieć? — i zacięła się w mowie, jakby na ukaranie siebie za przebraną miarkę ciekawości.

— Tak, chciałam wiedzieć.

— Pan Starolacki 'z niego kontent i on rad ze swojej służby, bo też to pan podkomorzyc tak dobry pan,

Zarumieniła się Anna i żywo przerwała słowa pokojówce:

— Czy dawno widziałaś swego brata?

— Przed pięciu dniami, zaraz po powrocie z żytomierskiej uczty.

— Czy to dziś nie imieniny twojej bratowej?

— O nie, pani, dziś Reginy, a moja bratowa Zuzanna.

— Mnie się zdało.

— O nie, to niczyje, ani imieniny, ani urodziny. Ale pani tak rano wstała! — i zbliżyła się do stolika. Anna milczała i zadumała się. Pokojówka nie słysząc odpowiedzi, rzekła głośniej:

— Czy pani nie ma nic do rozkazywania? — i chciała odejść.

Anna ocknęła się jakby ze snu, zerwała się z krzesła i wzięła za rękę pokojówkę:

— Moja Dorotko, zrób mi jedną rzecz.

— Co pani każe?

— Pojedź do Lachowiec.

— Do kogo?

— Do twojego brata i oddaj ten list.

— Komu? mojemu bratu?

— Panu Janowi, — spuściła oczy na dół i krótko ucięła mowę.

Dorotka, Bóg wie, co sobie pomyślała, bo sprytnie okiem powiodła po swojej pani:

— Możeby posłać list przez kozaka? ja pójdę do koniuszego.

— O nie, moja Dorotko, sama pojedź, sama go oddaj.

— Można powiedzieć Jejmości?

— Nikomu a nikomu o tem nie mów.

— A jak się Jejmość o tem dowie?

— Nie bój się, ja za wszystko odpowiem.

Dorotka wzięła list w rękę, twarzą udawała namyślanie się nad odpowiedzią, rękę przyłożyła do czoła i głową skinęła.

Anna to dobrze widziała; jakby z przypadku wzięła szal z francuzkiego tyftyku:

— Dorotko, weź to dla siebie.

— Czy Jejmość nie będzie się gniewała? — Szal wzięła: — Dziękuję pani.

— Zdaje mi się, że twoja bratowa tego samego wzrostu, co ja. Weź dla niej mój szlafroczek ze stambulszczyzny.

— Ależ on jeszcze nowy.

— To nic nie szkodzi; a to dla twego synowca na jabłka, — i dała jej dwa dukaty złotem.

— Dziękuję pani, — schowała list za napiersie sukni: — Teraz trzeba prosić o pozwolenie Jejmości; jak to powiedzieć?

— Ja pójdę; czy mama już nie śpi?

— Zdaje się, że nie.

Anna wyszła, a Dorotka szeptała sama do siebie: — Otóż to czytać te francuzkie książki! Państwo już oddawna pana podkomorzyca uważają za przyszłego zięcia; nie lepiejżeby to było kochać się jawnie, pójść za mąż, ale nie, koniecznie trzeba zachodów, książkowych dodatków. W Żytomierzu pogniewali się z sobą, a to dla kogo? dla tego pana hrabiego Barowicza; przyznam się, że ja prosta szlachcianka, a z zawiązanemi oczami wolałabym Starolackiego od Barowicza; Bóg to święty wie, czy on jest prawdziwy szlachcic. Teraz liścikiem trzeba godzić te kłótnie po książkowemu, ale mniejsza o to. Żeby to nie do pana podkomorzyca ten liścik, dalibóg, że za nic w świecie nie podjęłabym się dowozić. Pan podkomorzyc, to nasz przyszły pan... i jakże on się uraduje, — da mi piękny gościniec. — Tak się biedziła ze skrupułami sumienna panna Dorotka, póki panna Anna nie przybiegła:

— Mama pozwala; idź do pana Szreterowskiego, niech ci każe zaraz zaprzęgać konie, tylko pamiętaj Dorotko, żebyś list sama oddała i to jak najprędzej.

— Niech pani będzie spokojną.

Czegoż tak Anna wzdrygnęła się, wymawiając ostatnie słowa? pobladła, chciałaby może zawrócić pokojówkę dopieroco odeszłą; ale ust nie otworzyła na rozkaz, kroku ku drzwiom nie zrobiła, — stała w miejscu i milczała.

Przy pożegnaniu pani Żelowskiej, Anna nie miała w oczach rozpaczy, ani na licach smutku, tylko jakiś niepokój ją dręczył, jakieś roztargnienie ją opanowało, kiedy pani Żelowska do ucha jej rzekła: «Ma mignonne, nie trać nadziei, Adalbert kocha, wszystko dobrze pójdzie.» Ona uściskała rękę i ucałowała ramię starej deputatowej. Błękitne oczy zatliły blaskiem nadziei; białe lice nadziei rumieńcem zapłonęły.

Poczciwemu marszałkowi ani przyszło na myśl zbadać przyczyny nagłej zmiany w córce; po swojemu myślał: «Zwyczajnie kobieta, wczoraj fochy robiła, dziś się opamiętała, — dobre dziecko widzę; ani pani Żelowska, ani te francuzkie

androny nie tak bardzo jej w głowie przewróciły, ale nie trzeba zasypiać rzeczy. — Zawołał:

— Hej! Kiryło, niech Jakow zaprząga siwki do koczobryka i to zaraz.

Pani marszałkowa siedziała na kanapie zasępiona, ani słówka nie powiedziała, że Kiryło nie Kiryło, tylko Ewaryst, chociaż takowe poprawianie męża było jej powszednim obyczajem.

Anna zapytała ojca, dokąd jedzie? On ją pogłaskał po twarzy:

— Moje dziecko, twoja matka się dąsa, trzeba, abym wyjechał na jakiś czas.

Marszałkowa wstała z kanapy: — Vous êtes le maître — i wyszła z salonu.

Panu Ostrożalskiemu przykro te słowa po sercu zapruły; pocałował w czoło córkę:

— Dla twojego szczęścia będę panem.

X.

Przed lachowieckim dworem, na ganku, na ławie, siedział pan rządzca Strzemecki, a przed nim stał kozak Dmytro; pan rządzca wąs pokręcał:

— Mospanie, cóż tam znowu za licho zrobiliście w Żytomierzu?

— A Bóg że to święty wie, co tam się zrobiło.

— Nie będzie temu wszystkiemu końca, póki się pan nie ożeni.

— Taże i ja tak mówię; jak sikora w samotrzasku, wtenczas można powiedzieć, że nasza, inaczej...

— Cóż to Waść myślisz, że marszałkówna mogłaby w kim innym, jak w naszym panu upodobać?

— Ja tego nie mówię, ale panowie gadają; pogoda jesieni, łaska pańska, upodobanie kobiet, to wszystko niepewne.

— Niewiedzieć co mówią, mospanie.

— Może oni i dobrze mówią; ja coś wiem.

— No, cóż Waść wiesz?

Dmytro pokręcił głową i zbliżył się do pana rządzcy:

— Ot prawdę trzeba powiedzieć, ten Barowicz z Machnowieckiego, co to go ludzie zowią hrabią, do panny dojeżdża; był w Żytomierzu.

— Co też to Waści w głowie się plecie, pana Barowicza obok naszego pana stawić.

— Taże to prawda, że ten Barowicz jak chrząszcz; nasz pan poborukałby go jak muchę, ale on ma pieniądze.

Wtem zaturkotały koła powozu, Dmytro poznał bryczkę z Syngur:

— Oho! panna Dorota jedzie, — a to co?

Rządzca pokręcił wąsa: — Nie mówiłem Waści, że nasz pan...

I szedł wysadzać pannę Dorotę, ale ona jednym susem wyskoczyła z bryczki i fertycznie się skręciła:

— A jest pan podkomorzyc w domu?

— Jest na usługi panny Doroty; ale czy godzi się tak skakać, można nóżki połamać, — i wziął ją za rękę.

— Proszę mnie puszczać, a kazać powiedzieć panu podkomorzycowi, że mam pilną potrzebę widzenia się z nim.

Dmytro żywo skoczył do pana, a Strzemecki wprowadzając Dorotkę, poskakiwał nogą:

— Nasz pan zawsze rad z odwiedzin tak pięknych buziaczków, jak Waćpanna Dobrodziejka.

Panna Dorota była uśmiechająca się, napuszona sama sobą i myślała: «Niosę drogi podarek.» Podkomorzyc nie mógł zgadnąć, co znaczą te odwiedziny; powitał, prosił siedzieć i zapytał:

— Państwo marszałkostwo czy zdrowi?

— Zdrowi i państwo i panna Anna; wszyscy panu ukłony zasyłają; — mrugnęła oczkiem: — pan tak dawno nie był u nas!

— Wczoraj dopiero wróciłem do domu; ale czemże mogę służyć pannie Dorotce?

— Bardzo dziękuję, ja do pana z ważną rzeczą przyjechałam.

— Co rozkaże panna Dorota?

— O nie, ja nic nie mam do rozkazania, ja przywiozłam panu liścik.

Sięgnęła ręką za napiersie sukni.

Podkomorzyc patrzył na nią i uśmiech przelotny igrał z jego twarzą.

Dała mu w rękę list.

— Od pana marszałka?

— Niech pan czyta, — i przymiliła się złośliwie.

Starolacki zarumienił się w pierwszej chwili, ale nagle tak zbladł, jakby krew z twarzy precz uciekła; usta sinieją, czyta i we wzroku nie widać pobłyskiwania, ani chmurnego zasępienia się, tych oznak chwilowego i niespodzianego starcia się uczucia z przeciwnością. Źrenica sucha, a w samem oku wyraz dziwnej, niepojętej boleści; kilkakrotnie odczytywał to pismo kochanej od siebie dziewicy, — widać, że boleje, cierpi, ale widać takoż, że dusza jeszcze obrachować się ze swojem uczuciem i pojąć go nie może, nie umie. Jakby piorunem rażony, całem jestestwem zabolał, a nie poskarżył się; on niewie, gdzie ten ból i jakim sposobem spadł na niego.

Pokojówka zabawnie poglądała; straciła trochę z owej partesowej postawy; ona spodziewała się dziękczynień, wypytywań, podarków, i to natychmiast, a tu z tego wszystkiego nic. Z nią było, jak z tem dzieckiem rozpieszczonem, co to po dobrze odbytej pracy spodziewa się dostać łakocie i cacka: przybieży radośnie, nie zastanie, nawet nie widzi najmniejszego przygotowania do nagrody rojonej w swojej głowie; jednak nadzieja ciągle poszeptuje: «Może dadzą.» I Dorotkę nadzieja nie odbiegła, myśli: «Zbytek szczęścia go otrętwił, ale przyjdzie do siebie, to to mi będzie dziękował.» Nawet się obawiała, żeby ta radość szczęścia nie zaszkodziła podkomorzycowi.

Kilka razy z cicha kaszlnęła w chustkę, kilka razy nogą zaszurowała po posadzce, — a Starolacki wzroku od papieru nie odrywał. Nareszcie wstała z miejsca, a nadstawiając się do dygu i sznurując usteczka do uśmiechu, półgłosikiem świegotnęła:

— Proszę pana podkomorzyca.

Ocknął się Starolacki i spojrzał na nią takim dzikim wzrokiem, że aż zadrżała.

— Bardzo dziękuję, proszę siedzieć.

— Ja panu nie chcę zabierać czasu, tymczasem pojadę do brata.

— Będzie czas, proszę siadać, — i gwałtem ją posadził.

— Czy pan nie chory?

— O nie, nic mi nie jest, zdrów jestem, w Syngurach wszyscy zdrowi, weseli.

— Ale jaki pan blady!

— Ha! ha! co pannie Dorocie jest? — ja blady? czuję, żem rumiany, jak upiór! — jeździłem dziś dużo na koniu — ha! ha! ależ bo to i zając był gracz, — z przed konia mi się pomknął, strzepnął skokami, aż w uszach zaklaskało.

Dorotka z zalęknieniem spoglądała:

— Proszę pana, czy mam czekać na odpis, czy potem przyjść?

— Bardzo dziękuję, co za odpis?

— Na ten list, co panu przywiozłam od panny Anny.

Na imię Anny skinął głową:

— A! prawda, czytałem.

— Cóż ja mam pannie powiedzieć?

— Że czytałem.

— Może pan odpisze?

Potrząsł głową: — Pisać nie umiem, nie.

— Wracając od brata, zajadę, może się pan namyśli.

— Darmo — darmo, — ja czytałem, — darmo; — machnął ręką i papier w dłoni ścisnął, jak gdyby chciał go tam wcisnąć.

Pokojówka cofała się w tył ku drzwiom i gęsto dygała:

— Upadam do nóg pana.

— Upadam do nóg, upadam do nóg, — ku drzwiom ją odprowadził, a potem przechadzał się po komnacie, powtarzając: — Czytałem, czytałem, — i cóż z tego.

Widać panna Dorota musiała coś nagadać staremu rządzcy, bo on niebawem wszedł do komnaty, stanął przy drzwiach, prawą nogę naprzód posunął, pokręcał wąs i milczał.

Podkomorzyc go spostrzegł, zmiął papier i włożył do kieszeni czamarki:

— Strzemesiu, wara mówić przed kim, by to nie było, że na nasz dom panny najeżdżają, proszę cię.

Strzemecki z podełba spojrzał po komnacie; przygryzł wąsa:

— Niech pan będzie spokojny, my to znamy, że takie rzeczy nie otrąbiają się po świecie; ale to to dzierlatka dziewczyna, a niczego...

— O, prawdziwa dzierlatka! — chciał się uśmiechnąć, a nie mógł.

— Strzemesiu, każ konie posiodłać, pojedziemy na polowanie.

— Tażeż to pojechać nie zawadzi, ale nie godzi się po zbożach polować; psy się ponajadały i ja miałem jechać do robocizny.

— Mniejsza o to, trochę się przejeźdźmy.

— A na jakim pan koniu pojedzie?

— Na kasztanowatym.

Pan rządzca wychodząc, uśmiechał się i pomrukiwał sobie pod nosem: «To dzierlatka dziewczyna! Ktoby to powiedział, że mnie starego w pole jakby jakiego chłystka wyprowadzi! A tu nic nie stało się nadzwyczajnego; co młodość, to nie starość. Tak mnie przestraszyła, aż mi łytki drżą. No, poczekajno, Wasindziejka, nie będziesz się przechwalała, żeś starego wróbla, i to mazura, złapała w sidełka.»

Starolacki pozbywszy się starego sługi, długo przechadzał się po komnacie; z początku krok gnał szybko za krokiem, a nierówną miarą, jakby zgodnym wtórem odpowiadał szamotaniu się duszy, potem kroki wolniały i nabierały już jednostajnej miary; widno począł rozmyślać. Nareszcie szerszy krok stawiał i dobitniej go wybijał, jakby w sobie poczynał wyrabiać postanowienie; w końcu stanął, podniósł czoło w górę, zatarł dłoń o dłoń:

— Stało się! zrobię, — i znowu splotł ręce na piersiach i wnurzył czoło ku podłodze.

XI.

Już przed gankiem konie grzebały kopytami, charty skomlały z radości i w wyskokach w kółka uganiając się, hulały po dziedzińcu. Pan Strzemecki donośnym głosem wołał: «Porwa, tu, Ścinaj, dosyć szaleć, a harapem Waść Doskacza, niech pod konia nie lezie; a mój stary Dolocie, tu pójdź do mnie, patrz, Dmytro, Chwatka się przewraca, będzie zając, to pewny znak.

Już Starolacki wyszedł na ganek, kiedy zajechał pan marszałek Ostrożalski. Ledwie wysiadł z powozu, rzekł:

— Panie Janie, cóż ci się stało o tej porze polować?

— Nie miałem co robić, chciałem się przejechać; proszę pana marszałka, — okiem wskazał Strzemeckiemu, aby konie odprowadzono.

— Ja ci nie przeszkadzam; żeby nie przeklęta podagra, sambym z wami pojechał.

— Niech pan marszałek pozwoli konie wyprząść.

— Hawryło, wyprząść konie, ale nie rozbierać, bo na noc musimy wrócić do domu.

Weszli do komnat, a Strzemecki szepnął Dmytrowi: — Tylko cyt, o Dorotce nikomu nie mówić, że tu była. Ja zaraz kopnę do leśniczego, żeby czasem licho nie skorciło ją tu znowu powrócić; toby było pięknie, żeby pan teść zdybał pokojówkę córki u przyszłego swojego zięcia.

Marszałek i podkomorzyc zasiedli na kanapie; mały kozaczek Nieczaj podał fajki. Palą sułtański tytuń, dym puszczają; muszą się bawić tym dymkiem, bo milczą. W podkomorzyca oczach widać, jak sili się twarz przybrać w barwę wspaczną duszy; czy nie śmie, czy nie może zwyczajnemi zapytaniami rozpocząć rozmowy? a co się w jego sercu działo, to tylko Bogu i jemu wiadomo.

Marszałek z ust puszczał kłęby dymu i przypatrywał się dziwnym kształtom, w jakie się one rozpływały. Dwojakiego rodzaju ludzie taką zabawkę lubią: albo próżniacy, co nawet myślą się brzydzą, albo ci, co rozmyślają, od czego to rozpocząć już ukartowaną rzecz. Po długiem milczeniu marszałek odchrząknął:

— Panie Janie, musi cię często napadać nuda w samotności.

— Odpędzam nudę zatrudnieniem.

— Ale cóż robisz?

— Czytam, poluję, gospodaruję.

— Ba, ba! czytanie, gospodarstwo, to stare rzeczy, a polowanie ciągłe, to się uszami przeleje. Niemasz żywej duszy, żeby z kim pomówić; twój stary Strzemecki choć dobry łgarz, ale to nie towarzysz dla ciebie.

— Często wyjeżdżam, a często mam u siebie kogoś z łaskawych.

— I ciągle goście, to nie na rękę, a jeździć rzemiennym dyszlem od domu do domu, to się uprzykrzy; bo jak to mówią: Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.

— Zapewne.

— Tak, panie Janie, trzeba mieć coś w domu, żeby nas do niego przywiązywało.

— Pamiątki.

— Ha, pamiątki zapewne mają swoje znaczenie, ale same pamiątki, to rzecz za martwa na całe życie. Żeby życie było znośne, wesołe, trzeba go ozdobić życiem.

— Może.

— Nie może, ale tak jest; kochajże się w portrecie albo w pięknej dziewczynie, a wszak to pamiątki.

— Tak jest.

— Kochajże się w nich, żyjże z niemi.

Marszałek zamyślił się, parę razy pociągnął z cybucha:

— Ot widzisz panie Janie, dom taki piękny, obszerny, z tylu wygodami i porządkami pustką stoi.

— Ja go utrzymuję, jak mogę.

— Rób, co chcesz, a nie potrafisz go utrzymać, wierz mnie staremu, że gdzie niemasz gospodyni w domu, tam wszystko bez składu i bez ładu; prędzej czy później musi pójść w poniewierkę.

— Cóż robić?

— Zaradzić złemu.

Podkomorzyc nie odpowiedział, tylko smutnie westchnął, — ale jakby sobie coś przypomniał, obrócił się do marszałka:

— Muszę się przed panem marszałkiem pochwalić z czerkieskim ogierem, kupionym na ostatnim jarmarku w Berdyczowie, — i powstał z kanapy.

— Panie Janie, potem go zobaczymy, a teraz niech skończę to, co chciałem powiedzieć. Wiesz, że nieraz myślę sobie, jaka to szkoda, że dom lachowiecki jeszcze pusty, że poczciwa Starolackich rodzina może upaść; wszak jesteś jej ostatnią latoroślą.

— Mam stryjecznych braci.

— Co to ci stryjeczni; jeden hulaka, dobry człowiek, ale i życie i majątek przehula, a pewnie się nie ożeni. Drugi jurysta wydrwigrosz, odziera ludzi ze skóry; to też i Bóg mu nie błogosławi, dzieci się nie chowają; a trzeci jeszcze smarkacz. A tak panie Janie, na tobie ciąży odpowiedzialność, żebyś nam przechował poczciwy ród Starolackich.

Podkomorzyc nic nie odpowiedział.

— Słuchaj, panie Janie, co tu rzecz w bawełnę obwijać, to tak po huzarsku, szczerze i otwarcie pogadajmy. Nieboszczyk twój ojciec umierając, powiedział: «Antoni, bądź ojcem mojemu Jasiowi», i ja przyrzekłem; — załzawiły się oczy marszałka, i Starolackiemu w oczach łzy stanęły; — co przyrzekłem, to dotrzymam. Jasiu, ja twój drugi ojciec, — i ściskał go za rękę.

— Panie marszałku, pan wiesz, że go szanuję, kocham, jak drugiego ojca.

Głos Starolackiego drżał ze wzruszenia i wysiłku. Marszałek dłonią otarł oczy:

— To dobrze, mój chłopcze, tak być powinno; ale na tem nie koniec, trzeba, abym ja miał prawo do tego imienia. Ot, panie Janie, trzeba, żebyś się żenił.

Starolacki z zająkaniem się wymówił: — Panie marszałku, ja nie myślę się żenić.

— Cóżto ci się stało? czy księdzem myślisz zostać?

Zasępiło się czoło marszałka:

— Słuchaj, panie Janie, boleśnieby to bardzo mi było, ale jeźli moja Anna nie zyskała twojego serca, ja nie przestanę dla tego zastępować ci ojca; żeń się z inną, będę swatem.

Starolacki wziął za rękę marszałka i rzekł takim głosem, jak brzmi głos skazanego na śmierć, kiedy przed ludźmi opowiada ostatnią swoją wolę:

— Panie marszałku, ja szanuję pannę Annę, i jeźlim kochał, to żadną inną kobietę, tylko ją, ale żenić się ani myślę, ani chcę, ani mogę.

Po tych słowach obydwaj zamilkli, i jednemu i drugiemu nie przyszła chęć przerywania tego milczenia, a jednak z niem nie dobrze im było.

Ślepy traf wyrwał ich z przykrego kłopotu: przyjechał pan Nowosiołkowski. O! jakże on w tej chwili był pożądanym gościem dla Starolackiego; o! jakże on miłym był towarzyszem dla marszałka!

Przy obiedzie gadano to o tem, to o owem, ale nie o małżeństwie; po obiedzie zagrano w wiseczka z dziadkiem. Marszałek i podkomorzyc często gęsto robili renonsa, nie odpowiadali na inwity, nie znaczyli wziątków, nie zapisywali partyi. Nowosiołkowski zrzędził za każdym bąkiem, przytaczał ustawy Choila, i choć ze trzydzieści razy rzucił kartami o stół, powtarzając: «Wolałbym iskać starego żyda, jak z wami grać», jednak grał i zapisywał wygrane robry; bo chociaż to dla zabicia czasu, dla zabawki grano, punkt był po grzywience, a dziesięć grzywienek, to rubel srebrny.

Ludzie mówią: «Kto ma ruble w kieszeni, piechotą nie chodzi.»

Przez cały czas ani gospodarz, ani goście nie wspomnieli o czerkieskim ogierze, widać, żeby nie przypomnieć owej rozmowy, do której wzmianka o nim wmięszała się, nie wiedzieć po jakiemu i nie wiedzieć dla czego.

Nowosiołkowski postanowił odprowadzić marszałka do Syngur. Przy pożegnaniu Starolacki tak czule, tak serdecznie uściskał marszałka, jak gdyby go żegnał na zawsze, albo na bardzo długo; ale nic nie powiedział.

I marszałkowi tęskno, rzewnie na sercu; oddając uścisk za uścisk, odwrócił oczy od Starolackiego, ale sercem odpowiedział jego sercu, jak synowi najlepszego swego przyjaciela, jak gdyby swemu własnemu dziecięciu. Starolackiemu z duszy spadł wielki ciężar, ale teraz już dobrze widział w około siebie głuchą, nagą samotność. Patrzał za odjeżdżającym powozem, westchnął, jakby to westchnienie z nim słał do Syngur; smutnie potrząsł głową: «O! prawda, sam jeden jestem na świecie!»

W drodze marszałek opowiadał Nowosiołkowskiemu całą swoją przygodę z panią Żelowską; sięgnął nawet do swojej bytności w Żytomierzu; ale słówka nie rzekł o owym liście odebranym przez żyda faktora; opowiadał o rozmowie ze Starolackim, bo przed przyjacielem nie lubił taić tego, co było tylko jego tajemnicą, i tak kończył:

— Widzisz, ja lubię szczerze i otwarcie po staropolsku; nie narzucam się z moją córką, wiem, że starą panną nie zostanie; kto ma posag, urodę i dobre szlacheckie imię, męża znajdzie. Ale wolałbym za zięcia Starolackiego, jak kogo innego; cóż robić, kiedy nie można. Może która z Karszyńskich przypadła mu do serduszka, i to dobry ród; żal mi, że nie z Anną. Ale niech się żeni, niech będzie szczęśliwy; dalibóg, że ja go kocham, jak własne dziecię.

Nowosiołkowski spozierał na wzruszoną twarz marszałka zażył tabaki: — Panie Antoni, ja kawał świata zjeździłem, znam cokolwiek ludzi; ręczę ci, że Jan kocha Annę; te wszystkie ceregiele pochodzą ztąd, iż obawia się, czy czasem Annie nie podobał się Barowicz.

Zachmurzyło się czoło marszałka, policzki się zarumieniły; silnie ujął za rękę Nowosiołkowskiego: — Panie Ignacy, jak Bóg Bogiem, tak ja ci to powiadam, że wprzódy włosy porosną na mojej dłoni, niż moja córka wyjdzie za Barowicza.

Nowosiołkowski nic nie rzekł; konie kłusowały, a powóz toczył się dalej a dalej.

XII.

Jest opieka Opatrzności nad ludźmi, co przez swoją wielmożną łaskę nie zostawi na długo człowieka samego ze smutkiem, z rozpaczą; przyśle mu na towarzysza nie owego natrętnego pocieszyciela, co po całym świecie i dla całego świata obnosi pociechy, zasobnego w wyuczone a nic nieznaczące słowa, chcąc, aby wszyscy wierzyli, że czarne to białe, że dzień to noc, że smutek to radość; który wtenczas jest najznośniejszym, kiedy zużywszy swoje rady, swoje napomnienia, ucieka się do pewnika: że niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, — ale człowieka, co nie sadzi się na pociechy, nie umie nawet onych gadać, ale czuje smutek bliźniego i sam się zasmuci; Opatrzność tu przyśle takiego człowieka, co ma serce i serce zrozumie.

Jeszcze mrok nocy nie zupełnie zaciemnił szarą półjaśnią wieczora, kiedy Władysław Karszyński nadjechał do Lachowiec.

Władysław, choć dwoma lat młodszy od Starolackiego, był jednak jego ścisłym przyjacielem. Wprawdzie nie na jedną nutę grali swojemi upodobaniami: Jan lubił ruch życia; jak przeczytał Farysa, to zaraz siadał na konia i latał po stepach jak szalony, bo on sam wtenczas był Farysem w życiu, nie w samej myśli, ale na koniu; był Litaworem, Mazepą, Wallenrodem nawet. Czuł miłość, przyjaźń, podziwiał

poświęcenie się, wyrzeknięcie się swojego dobra, zwykł był zaraz w życie odziewać, co wyssał z książek i z przykładów ludzkich; co mu przypadło do serca, to przerabiał na życie, i tem żył. Był człowiekiem czynu, i dla tego polowanie, pohulanki porywały go swym urokiem i nie pojmował rozkoszy tego życia, gdzie sama dusza uciechą się napawa, a ciało drzemie.

Władysław zaś kochał marzenia życia, o każdem wielkiem uczuciu, o każdym wielkim czynie marzył, uwielbiał go, ale nigdy go nie brał na swoją własność; pojmował myśl poety, rozumowanie mędrca. Mocne wrażenie na nim robił czyn człowieka; gorąco pragnął, aby to wszystko było zrozumianem przez ludzi i poszło na ich dobro; ale nigdy nie powiedział: Ja to robię, ja to zrobię. Rój pomysłów zawsze mu się snuł po myśli, ale tylko się snuł; żadnego marzenia nie umiał, a może nie lubił przerabiać na życie, ale z każdego czynu, czy swojego, czy drugich, wysnuwał tysiące marzeń.

Nie było między nimi tej sprzeczności w usposobieniach umysłów, która wedle niektórych zdań kojarzy ludzi, aby dowieść owej gadki, że dwie ostateczności stykają się z sobą. Władysław nie był bez gwałtownego czucia; Jan nie miał owych wybuchów gniewu, podobnych do wybuchów prochu. Jeden nie był żywem srebrem, a drugi stojącą wodą; obydwaj kochali namiętnie dobre, rodzime rzeczy, zwyczajnie dzieci zacnych ojców; byli przyjaciołmi i to serdecznymi.

Władysław ledwie powitał Starolackiego, zaraz spostrzegł zmianę na jego twarzy; uściskał go powtórnie:

— Janie, tyś smutny?

Starolacki na całą odpowiedź wydobył list i dał go Karszyńskiemu: — Czytaj, — a sam jął przechadzać się po komnacie.

Władysław siadł przy lampie i czytał zcicha te wyrazy:

«Panie!

«Daruj, że nie proszona zwierzam się przed nim, przebacz, że mojem wyznaniem mogę mu przykrość zrobić; ale tak powinnam była uczynić, tak zrobić musiałam. Mój ojciec przyrzekł ojcu pańskiemu moją rękę i przy-

rzeczenia swego nie odstąpi. Sercu memu rozkazać nie umiem; wyznaję, że kocham hrabiego Adalberta. Znam pańskie szlachetne uczucia; nie chciałbyś posiadać mojej ręki musem, nie chciałbyś, abym była jego niewolnicą, i jabym nią nigdy nie była. Boleśnie, okropnieby mi było być nieposłuszną woli ojca, ale serce moje nigdy nie zdradzi raz powziętego uczucia; wolę umrzeć. Panie! ty mnie ratuj i przebacz.

Anna.»

Zadumał się Władysław, a po chwili rzekł półgłosem:

— Ona kocha.

To słowo posłyszał Starolacki, bo zatrzymał się:

— O, tak Władysławie, kocha i namiętnie kocha; dziewica, co jednym pociągiem pióra mogła to napisać, czuje miłość i ma wolę.

— A ty, Janie, co myślisz zrobić?

— Zrobiłem; powiedziałem ojcu, że nie chcę, nie myślę, nie mogę się żenić; niech będzie szczęśliwą, — i przygryzł wargę.

— Biedny Janie!

— O, prawda, że biedny, a ona mogła mnie kochać.

— Ja myślałem, że ona ciebie kochała.

— Nie, nigdy, ale mogła.

— Jakto?

— Władysławie, ona czytała romanse pani Sand, a ja z niej chciałem zrobić staropolską podstolinę.

— Jakto? nie rozumiem.

— Ona potrzebowała kochać i być kochaną, a ja chciałem, żeby szanowała i żeby ją szanowano tylko.

— Prawda.

— O, i wielka prawda. Władysławie, tyś młody, ucz się mojem doświadczeniem, — gorzko westchnął. — Jeżeli pokochasz anioła, dziewicę, jak ona, serca używaj, nie rozumu; do serca jej gadaj, namiętności podchlebiaj nawet, przez namiętność daj jej pokochać dobro. Wywyż ją nad ludzi, nad nią samą, a wtenczas wszystkiego dokażesz, bo wtenczas spoisz się nierozerwanym węzłem z jej namiętnością; inaczej

biada tobie, będziesz musiał, jak ja, swoją winę odkupywać ofiarą siebie.

Władysław powstał z krzesła i wziął rękę Starolackiego: — O Janie, tyś szlachetny, ale nieszczęśliwy, — i rzucił mu się na szyję.

Starolacki go uściskał: — Przynajmniej, żeby ona była szczęśliwą, — i obydwom łzy w oczach stanęły, zapłakali trochę.

Starolacki pierwszy przerwał milczenie:

— Powiedz mi, co się zrobiło z Szwarcwaldem?

— Zrana go odwiozłem do Berdyczowa, przy mnie siadł na pocztę i pojechał do Odessy, a ztamtąd może się uda z wód na Kaukaz.

— Co on porabia w naszym kraju?

— Zapewne chce zwiedzić go, poznać stan mieszkańców, ich potrzeby, szukać środków ulepszenia tego, co jest złem, a przyswojenia tego, co jest dobrem; to prawdziwy miłośnik ludzkości, człowiek nauki.

Jan nie bardzo tego słuchał, o czemś innem musiał myśleć, bo nagle przerwał mu mowę: — Władysławie, on zna Barowicza, — i głos mu zadygotał, — mnie o jej szczęście teraz idzie; powiedz mi, co to za znajomość i zkąd ona się poczęła?

Karszyński pomyślał: — Wiesz, jak się zastanawiam, to w tem wszystkiem widzę jakąś tajemnicę; ja go nie śmiałem wypytywać.

— Mów, co wiesz tylko, — i obydwaj usiedli obok siebie.

— Jak tylko przyjechał do mnie, natychmiast pytał mnie o Adalberta Barowicza; w żaden sposób nie chciał jechać do jego wioski, tylko życzył sobie widzieć go gdzie w obcym domu; dla tego pojechaliśmy do Żytomierza.

— Tyś go nie pytał, gdzie oni się znali?

— Nie, ale zapewne w Niemczech.

— No, mów, co dalej w Żytomierzu?

— Widziałeś, co było u pana prezesa. Nazajutrz rano Barowicz przyjechał do Szwarcwalda; ja wyszedłem do drugiego pokoju; długo z sobą rozmawiali.

— Słyszałeśże co ich rozmowy?

— Nie, ale przypadkiem przez szparę źle zamkniętych drzwi zobaczyłem.

— Co? mów.

— Jak Barowicz klęczał przed Szwarcwaldem. Szwarcwald zazwyczaj taki łagodny, miał twarz zagniewaną i groził. Natychmiast umknąłem się w inny kąt pokoju, żeby ich nie podpatrywać.

— A potem co?

— Barowicz odszedł, a Szwarcwald wypytywał mnie o pannę Annę: kto ona? kto jej rodzice? i zdaje mi się, że napisał jakiś list i posłał faktorem do pana marszałka.

— Tak ci się zdaje?

— Tak mi się zdaje, nie jestem pewny.

— No, a potem co?

— Szwarcwald ku zdziwieniu mojemu ponabijał kieszonkowe pistolety i razem ze sztyletem włożył w kieszenie swojego fraka; nareszcie chciał wyjechać z Żytomierza. Nie mówiłem nic o tem ani mamie, ani siostrom, i wyjechaliśmy do Wertekijówki. Na drugi czy na trzeci dzień po naszym powrocie, Barowicz zajechał do karczmy i przysłał aręndarza z proźbą do Szwarcwalda, aby mógł się z nim widzieć. Szwarcwald nie chciał pójść do niego, a nawet nie pozwalał, abym go zaprosił do dworu; napisał tylko list. Zapomniałem opowiedzieć, że Szwarcwald miał podróżować swojemi końmi dla lepszego poznania kraju; jużem mu odstąpił moje konie i bryczkę, kiedy te odwiedziny Barowicza zmieniły cały zamiar.

— Jakim sposobem?

— Znasz porucznika Skarszyckiego?

— Znam.

— Wracając do swego pułku do Anapy, zajechał na parę dni do Wertekijówki i oświadczył, że jedzie na Odessę, zapytując, czy nie mamy jakich sprawunków. Szwarcwald natychmiast prosił, aby mu pozwolił jechać z sobą razem; zgodzono się bez trudności i dziś wyjechali pocztą z Berdyczowa.

— Czemużeś tu nie zajechał z tym Szwarcwaldem?

— Alboż ja wiedziałem, że on tobie na co będzie potrzebnym?

— Cóż ci więcej mówił?

— Nic, — pomyślał — a prawda, prosił, żebym przed wszystkimi mówił, że on pojechał do Moskwy, a szczególniej, żeby to doszło do Barowicza.

— To dziwna rzecz, klęczał Barowicz przed nim, a on się go obawia; w tem jest jakaś tajemnica, i to ważna. — Wstał i przeszedł się po komnacie: — Trzeba jej dojść, — ręką potarł czoło, — gdybym pojechał do marszałka..., ten list, ale to tylko zdaje się jemu, zresztą toby wszystko popsuło; nie, nie pojadę. — Przeszedł się jeszcze raz i stanął:

— Władysławie, zrób dla mnie jedną przyjaźń.

— Co każesz wszystko zrobię.

— Jedź ze mną do Odessy.

— A moja matka?

— Zajedziemy jutro do Wertekijówki na pożegnanie.

— Zgoda.

— Nie, jedźmy dziś zaraz, w Żytomierzu weźmiemy podorożnę i dalej w drogę.

— Zgoda i na to.

— Hej, Nieczaj, prosić pana Strzemeckiego, wołać Dmytra... — I Starolacki z pewnym rodzajem uciechy kazał do podróży pakować, konie zaprzęgać, bo to wszystko robił nie dla siebie, ale dla niej.

XIII.

W kilka dni po odjeździe młodych przyjaciół do Odessy, w syngurskim dworze po śniadaniu w błękitnym salonie, w koło okrągłego stolika, siedziała jeszcze zadąsana pani marszałkowa i przeglądała żurnale mody, tylkoco przywiezione z poczty z Berdyczowa. Anna zadumana, smutna nawet, ale zawsze piękna, nie czytała romansu, ani szukała historyjki w dzienniku mód, tylko obracała w ręku list od Maryi Karszyńskiej, z którego dowiedziała się o wyjeździe Władysława ze Starolackim:

Dorotka swojem opowiadaniem nie powróciła spokojności pani, a przynajmniej nie odpowiedziała jej życzeniu.

Marszałek nie nadmienił nawet żonie i córce o swojej rozmowie ze Starolackim, ale o ulubionej rzeczy, o przyszłem małżeństwie Anny z Janem, ani słowa także nie mówił. Od czasu odjazdu pani Żelowskiej, o Barowiczu ani słyszano w Syngurach. Biedna dziewica sama nie wie, domyślić się nie może, co w koło niej się dzieje; przeczuwa, że Starolacki poświęcił się dla niej, widzi to w postępowaniu Nowosiołkowskiego, — ani razu jej nie prześladował panem Janem. Boleje, żal jej przyjaciela lat dziecinnych, tego, którego nawykła uważać za swojego narzeczonego, którego kochała trochę, a możeby kochała więcej, gdyby hrabia nie umiał podchwycić tej rozwijającej się miłości, nie potrafił owładnąć tego serca, po-

trzebującego kochania; dokazał on tego nie kochaniem, nie zapałem duszy, ani czynem lub czuciem, co wzbudza podziw i uwielbienie, ale sposobami zwyczajnemi, wyszukanemi, pochlebstwem i pustą grzecznością i zręcznem udawaniem. Jakaś stara gadka mówi: że miłość ślepo się rodzi, ślepo żyje, tylko po śmierci przeziera, — i dobrze mówi. Piękna Anna kochała hrabiego i on był dla niej urokiem doskonałości, bóstwem jej serca; nie zadrżała przed tą świętokradzką myślą. Ona przez miłość stworzenia kochała Stworzyciela, i wtenczas przy tej myśli miłości zmniejszało się użalenie nad losem Starolackiego, bo miłość jest samolubną, i dziewica nią była; ale jeszcze resztki dawnego uczucia odzywały się w jej sercu i wzbudzały żal, choć na drobną chwilkę. Jednak ten żal nie studził, nie zachwiał miłości, to niepodobna w dziewicy, co w Lelii i w Leoni widzi męczennice kochania, święte miłości; za uczuciem «kocham», zaraz bieży wola «tak chcę» i następstwo «tak być musi.»

W tymże samym salonie przy oknie siedział Nowosiołkowski i przepatrywał jakieś pisemko drukowane, a koło drugiego okna marszałek był zajęty czytaniem listów. Wszystko to odbywało się cicho, tylko czasem zaszeleściał papier między palcami, albo oderwana pieczątka z głucha stuknęła o posadzkę.

Nowosiołkowski zaśmiał się i zażył tabaki.

— A toż to niesłychana rzecz, żeby w dzisiejszym oświeconym wieku tak pisać po polsku; dalibóg, że ani słowa nie rozumiem, niech też państwo słuchają, — i zaczął w głos czytać:

ARTYKUŁ PIERWSZY.

Indywidualizm uniwersalizować, jest to lub jedność swą nieść na ofiarę powszechności, albo też jedność podnieść do równoważenia się z powszechnością, zarówno w przyzwoitej, jak w przebranej albo w niedobranej mierze, zarówno w złym, jak w dobrym kierunku, i to jest demokratyzm w najogólniejszem pojęciu. Uniwersalizm indywidualizować, jestto albo powszechności nadawać sumienie wirtualności w charakterze

całkowitości i mocy, albo też powszechności nieść na ofiarę jedności, zniżając ją do równoważenia się z jednością. Zarówno w przyzwoitej, jak w przebranej lub niedobranej mierze, zarówno w złym, jak w dobrym kierunku, i to jest arystokratyzm w najogólniejszem pojęciu.

— No, już teraz naszego wielkiego Krasickiego: «Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów korab mądrości chwieje się», za nic u naszych pisarzy; korab mądrości już przebujał, jak się to pani zdaje? — obrócił mowę do marszałkowej, która sama jedna tylko słuchała czytania.

— En verité, to bardzo głębokie, proszę mi pozwolić.

Nowosiołkowski podając pisemko, dziwnie spojrzał na marszałkową. Ona odczytała parę razy: — Doprawdy, jakie piękne wyrazy: indywidualizm, uniwersalizować, wirtualność, c'est magnifique! jeszcze nic w polskim języku nie czytałam napisanego avec une imagination si civilisée.

Marszałek przerwał na chwilę czytanie listów, a Nowosiołkowski nie mógł wytrzymać: — A pani marszałkowo dobrodziejko, tażeż to samobójstwo języka polskiego! Przed niewielu laty znalazł się jakiś mędrek; nastawał na to, żeby ipsylona wypędzić z polskiego języka, i jużem rozpaczał nad tem, jakto przyjdzie się nazywać Ignac czy Ignaci, a teraz po niemiecku myślą, a Bóg wie, jakim językiem piszą. Niechże to i Polak zrozumie; to istna kara Boża na nasz biedny naród!

— Mais monsieur Nowosiołkowski, quelle jérémiade, cóż to trudnego do zrozumienia, indywidualność c'est l'individualité, c'est une poésie philosophique.

— Ależ pani dobrodziejko, gdzież tam tę poezyę nawet filozoficzną wygrzebać można w tej wirtualności? Chyba, ja nie chcę poezyi, ja chcę zrozumiałej prozy, a tu ani Arystoteles, ani nasz poczciwy Baka, ani nawet pan Jacek Przybylski tegoby nie zrozumiał.

— Mais mon Dieu, o jakich imionach pan gadasz? ja wszystko rozumiem, et toi Anna?

Anna ocknęła się z dumania: — Przepraszam, mamo, ja nie słyszałam.

— I nic na tem panna Anna nie straciła, — rzekł Nowosiołkowski, całując w rękę panią marszałkowę, — sprzeczać się nie będę z panią dobrodziejką, ale zdajmy się na sąd pana marszałka, — i obrócił się do niego: — Panie Antoni, posłuchaj, czy zrozumiesz choć słówko?

— Dajcie mi pokój z waszemi pismami, mam ja o czem innem myśleć; ot trzeba jechać.

— Mais dokąd, mon cher? — zawołała marszałkowa, już bez dąsania się.

— Do Petersburga, kochanko.

— Po co?

— Wiesz, duszko, ta sprawa z Trojanowem o las poszła do senatu, za piętnaście dni mają ją osądzić; jak nie dopilnuję, to przepadnie parę kroć sto tysięcy złotych polskich, a to nie żarty.

— Mais mon cher, gdyby posłać pana Przesmyckiego?

— Trudno, — przeciwna strona już od miesiąca pilnuje sprawy, trzeba samemu jechać, a szczerze mi się nie chce.

— Écoutez, mon ami, zabierz nas z sobą.

— Jabym chciał, ale taka daleka droga, Anna trochę nie zdrowa, a trzeba jechać spiesznie pocztą; jabym bardzo tego chciał.

Na tem skończyła się ranna rozmowa; zostawiono czas do namyślenia się, a tymczasem marszałek kazał pomaleńku sposobić się do drogi, ale dla siebie tylko.

Nie wiadomo, co za narada była między panną Anną a panią marszałkową; dość, że po tej naradzie pani marszałkowa nie napierała się do podróży, a Anna skarżyła się na ból piersi i nawet pokaszliwała niekiedy. Marszałek nie śmiał zachęcać, aby mu towarzyszyły, nawet rozsądnie rozważając, widział, iż to lepiej, że zostają w domu; jednak przez cały dzień był smutny.

Nowosiołkowski tylko powtarzał: — Panie Antoni, kobiety

zabierz z sobą, i ja nawet gotówem jechać; w drodze będziemy w wiseczka grali.

— Panie Ignacy, niech zostaną, a ty niemi się opiekuj, — i szepnął mu parę słów na ucho.

— Słuchaj, panie Antoni, podjąłbym się największych skarbów pilnować, a co do dziewczyny to nie; tego i sam djabeł nie ustrzeże.

— Niema Jana, pojechał, onby mi pomógł.

Nigdy marszałek tak długich, tak dokładnych rozporządzeń nie robił w domu, a choć tylko na pięć tygodni miał być oddalonym, nigdy mu tak markotno nie było przy odjeździe; ze łzami żegnał i błogosławił żonę i córkę, ze łzami ściskał pana Ignacego, obiecywał starać się w Żytomierzu, aby kogo wysłać na swojem miejscu. To pożegnanie tak rozczuliło marszałkowę i Annę, iż znowu obiedwie prosiły, aby mogły jechać; ale marszałek na to nie przystał, bo wiedział, że to robią nie z własnej chęci, ale jedynie dla dogodzenia jemu.

Po odjeździe marszałka długo płakały matka i córka. Nowosiołkowski jak mógł, to pocieszał, mówiąc: «że najlepsza rzecz na zabałamucenie smutku zagrać w wiseczka, choćby po dziesięć groszy punkt, bo darmo, to źle, jeszczeby większy smutek napadał.» Na nieszczęście kobiety odmówiły tej rozrywki, a tak i Nowosiołkowski zaczął się szczerze smucić. Z marszałkiem grywało się w wiseczka z dwoma dziadkami, a teraz chyba z trzema dziadkami grać i to daremniuteńko, bo wszyscy z jednej kieszeni, na jedną kieszeńby grali; jednak grał i w ten sposób, mówiąc, że kabałę ciągnie. Często ofukiwał dziadki, że bąki robią, a zawsze zapisywał i partye i robry.

Nazajutrz marszałek z Żytomierza odesłał swoje konie i napisał do żony list, donoszący, że jedzie do Petersburga; w tym liście były te słowa:

«Na miłość twoją ku mnie, na wszystko, co jest najświętszego, zaklinam ciebie, nie przyjmuj do domu naszego odwiedzin tego pana Barowicza; nie bywaj tam, gdzie on bywa; mam do tego powody i ważne powody.

Zaklinam cię, spełnij moją prośbę, bo nieusłuchanie jej mnie o śmierćby przyprawiło, a ciebie i Annę o najokropniejsze nieszczęście...»

Marszałkowa kilka razy odczytała ten list, ale nie pokazała go Annie.

6*

XIV.

Tydzień minął, a w tym tygodniu nic nowego, oprócz, że pani Karszyńska z córkami przyjeżdżała parę razy w odwiedziny, i pani Żelowska przybyła takoż, aby marszałkowę pocieszać w smutku, rozrywać w samotności.

Konstancya i Marya mówiły Annie o Starolackim, mówiły więcej może, jak wiedziały o jego cierpieniach. Nałogiem, potrzebą serca każdej dziewicy użalać się nad nieszczęśliwym kochankiem i wzbudzać dla niego, jeźli nie współczucie, to przynajmniej pomiłowanie w sprawczyni nieszczęścia; a rzadko która dziewica źle mówi o młodzieńcu nie kochanym przez inną, czy to przez cień zawiści, często lubej niewieściemu sercu, czy też przez myśl: może on być moim kochankiem. Taka serdeczność chrześciańska nie spotyka młodzieńca kochanego przez inną, i najlepsza dziewica oddając sprawiedliwość dobrego, jakie w nim widzi, nie skończy pochwały bez a l e; a rada napomykać jego wady, bo to jest przywarą niemal ogólną ludzkiego serca, zazdrościć sobie nawzajem, a ten kochanek kochany jest już straconą rzeczą, cudzem dobrem. Trudno wierzyć pięknym ustom dziewicy, kiedy sama się nie kocha, a mówi o swojej przyjaciółce nawet: «Jak oni się kochają, a rada jestem z tego, nie zazdroszczę im.» Żeby te słowa były szczere, trzeba, żeby dziewica była błogosławioną Pańską albo aniołem, a mało

jest błogosławionych i aniołów na tym ziemskim świecie; trzeba, żeby się sama kochała, nie z próżności, nie, ot tak sobie, ale z serca; a nie często zdybać się można z takiem kochaniem na tej tu ziemi. Konstancya i Marya nie były błogosławionemi, ani aniołami; jeszcze się nie kochały, i dla tego ciągle gadały o Starolackim, jak on kocha, jak on cierpi.

Anna słuchała, westchnęła i nieraz pomyślała: «Biedny Jan» — i uczuła, jak łza użalenia gwałtem cisnęła się do oka. Wtenczas ona z tym bladym rumieńcem, z tą głową zwieszoną ku ziemi, z temi perłami łez w oczach i na rzęsach przypominała kwiat wrzosu, jak w dzień jesieni płacze srebrnemi łzami rosy i piękny pióropuch chyli przed smutnem słońcem.

Pani Żelowska snadnie odgoniła smutek od marszałkowej; władała nią jak dzieckiem, a umiała używać swojej władzy; nie wynurzyła najmniejszego żalu do marszałka, czytając list jego pisany z Żytomierza do żony, i jednem słówkiem nie zganiła jego woli; zdawało się, że zupełnie zaprzestała opiekować się hrabią Adalbertem. Tylko jakby z niechcenia napomknęła, że w wielkim świecie, w świecie przyzwoitym, tak jak w Paryżu i w każdem innem miejscu, gdzie europejskie oświecenie zajaśniało, między wyższem towarzystwem żony samowładnie stanowią, rządzą i robią, a mężowie służą za parawany, aby pokrywać ich czynności, za szyldy ich domów, jeźli potrzeba, ale to rzadko, za seidów ich woli. Rzuciwszy to ziarno w myśl marszałkowej, starannie je pielęgnowała opowiadaniem rozmaitych przygód, począwszy od Dyany z Poitiers, pani de Montespan, pani de Maintenon, a kończąc na dzisiejszych duchessach, princessach, comtessach, vicomtessach, ladych i miladych; wyliczyła drugi szereg pięknych imion, co samowładztwem odznaczyły się na wielkim świecie. W tej obfitej nomenklaturze znalazła miejsce nie jedna księżna, hrabina, wielka pani, a nawet po prostu: pani polska. O szlachciankach, choć i te w znacznej części, zapewne z natchnienia rozwianego po powietrzu, lubią samowładztwo do rządzenia wszystkiem, pani Żelowska nic nie wspomniała. Ona jak doskonały

lekarz, co zna przywyczki i nałogi chorego, lekarstwo i tak już samo przez się smaczne, przysładzała jeszcze miłemi nazwami: to na wielkim świecie, to wielka pani.

Marszałkowa kładąc się spać, w myśli sobie powtarzała: «I czemużby pani marszałkowa Ostrożalska nie miała zrobić, jak francuzka duchessa, jak angielska milady?» O tem całą noc śniła, a budząc się, przed odmówieniem pacierza mówiła: «Tak zrobię.» Kiedy młoda niewiasta w wiosny wieku wyrobi w sobie jakie postanowienie, ciężko i bardzo ciężko od niego ją odwieść, ale można je przemienić; lecz kiedy w pewnym wieku, już dojrzałym to się stanie, nie podobna, nie ma rady.

Tym sposobem pani Żelowska stroiła duszę matki, a córce jej ciągle mówiła o Adalbercie; pokazywała listy pisane przez hrabiego do siebie; w tych listach częste wzmianki o Annie i pełno kropeczek, tych znaków wykrzyknienia, co dla każdego oka są prawdziwemi hieroglifami, a dla dziewicy rozkochanej są lubą, słodką tajemnicą, którą ona sercem swojem odgaduje, tak, jak jej się widzi, tak, jak chce. O! znał hrabia dobrze serce niewieście, że po kilku wyrazach miłości te znaki do domyślania się w pierwszych chwilach więcej podniecają do kochania, jak ryczałtowe wypisanie się tego, co się czuje, jak najognistsze wylanie się w słowa uczuć duszy i serca; wiedział, że w pierwiastkach kochania trzeba półtajemnicy, żeby dziewica przez odgadywanie myśli kochanka myślała o nim bezustannie i przez to ciągłe myślenie nawykała kochać namiętnie. Po słowach pani Żelowskiej, po odczytaniu listów hrabiego Adalberta, uroczym blaskiem jaśniały oczy dziewicy, uroczym rumieńcem kraśniały jej lica i uśmiech szczęścia rozkoszy igrał z koralowemi ustami, a wtenczas podobną była do tylko co rozpękniętego zwoju róży, milącego się czerwoną barwą i czarowniejszem jeszcze tchnieniem do słońca wiosny.

I niechże tu kto powie, że niewiasta napoiwszy się za młodu nie niewieścich, nie polskich narowów, nie zechce niemi żyć na starość? O nie! Ona jak czarnoksiężniczka i złe i dobre robić umie, może i robi. Zamożna w to wszystko, czem żyła, lubi niem matać ludźmi i przekształcać

ich nie na obraz i podobieństwo swoje, ale na swoje widzimisię, bo to dla niej wspomnienie, które ona w życie odziewa i łudzi się, że tak żyje, jak żyła dawniej. W chwili tych robót zapomina o potraconych skarbach, o wieku; wszystkie sprężyny poruszy, aby swego dokazać; uporem zastąpi zapał, a wybiegami siłę przekonania. Dla tego kiedy niewiasta rodzaju pani Żelowskiej powie: «Stań się!», rzadko kiedy tak się nie stanie.

Jakieś stare przysłowie powiedziało: «Kto z kim przestaje, takim się staje.» Groźnicki, choć w obozie wychowany, jak to mówią, na szczerocie i w zupełnej nieznajomości owych zręcznych zaskoków, któremi bardzo daleko zajechać można na tym wielkim świecie, ciągle patrząc na ciotunię, zachwycił jej udatności, niby malowanej, niby to nieruchomej; umiał jednak w czas i w porę swoje zrobić, i to tak, że mu raz w zachwycie pani Żelowska wykrzyknęła:

— Bronislas, tu es mon maître!

Postrzegł on, że pan Nowosiołkowski jest cerberem postanowionym na straży obydwóch niewiast przez marszałka; wiedział, że ten strażnik nie był z niebezpiecznego rodzaju, nie zakochany w marszałkównie, nie mający syna na wydaniu, a sam żonaty. Jednak Groźnicki, idąc trybem roztropnego żołnierza, usuwał wszystkie przeszkody, któreby mogły jakimbądź sposobem bruździć zamiarom ciotuni. Dlatego grał z Nowosiołkowskim, czego dawniej nie bywało, w rumla, w ecarté, a nawet w maryasza. Pan Ignacy, zażywając tabaki, powiadał: «Nasz kapitan wyszedł na człowieka; dawniej był ni w pięć, ni w dziewięć, a teraz przynajmniej do ludzi podobny.»

Jednego dnia dał się namówić Nowosiołkowski i pojechał z kapitanem do Berdyczowa; tam czy już przez ukartowaną rzecz, czy też z przypadku zastali hrabiego Adalberta. Hrabia jeszcze przed pysznem śniadaniem, na które zaprosił obydwóch, kazał postawić stolik z zielonem suknem do kart i namówił do wiseczka; w ciągu gry mało nie sto razy oświadczył, że życie nie byłoby dla niego życiem bez gry w karty, że prawdziwy rozum, logika, zdatności człowieka

pokazują się w grze, szczególniej w grze w wista. Nowosiołkowski otworzył oczy na hrabiego i zawołał:

— Panie hrabio, mówisz tak rozumnie, a może i rozumniej, jak mówił Sokrates; ja ci się przyznam szczerze, że gdyby mi dano cały majątek nieboszczki pani Branickiej z warunkiem niegrania w karty, zrzekłbym go się natychmiast; ani jednej chwilibym nie pomyślał, ot tak, jak mnie tu widzicie żywego.

Śniadanie, obiad, kawa, wino, herbata, wieczerza i znowu herbata i poncz przeplatały wista; grano do białego dnia. Kapitan od czasu do czasu zasypiał, a obudziwszy się, przytaczał jakąś przygodę w Hiszpanii pod Somo-Sierra albo Saragosą. Barowicz pilnie i uważnie kartami rzucał, milczał i po każdej skończonej grze zrobił małą uwagę; zgoła sprawował się przy stoliku, jak wistarz angielski ośmnastego wieku, któremu nie potrzeba było ani zasłony nad oczy, ani przegródki pod stołem: wynalazki udoskonalone, któremi w dzisiejszym wieku poczciwości między niektóremi gronami graczów chciano położyć tamę na zazieranie w cudze karty i na zapobieżenie przestrogom współgraczy, używających do tego nóg, i to pod stołem.

Nowosiołkowski ani razu nie zadrzemał, okulary poprawiał na nosie, zażywał tabakę i prawił dykteryjki jedne od drugich dowcipniejsze, a nie podobniejsze do prawdy, chociaż on klął się na wszystko, co miał najświętszego, nawet na wista, że wszystkie jemu się przytrafiły.

W powrocie kapitan utyskiwał na tę niesłychaną namiętność hrabiego do gry. Nowosiołkowski widział w tem wielką przyzwoitość, mówiąc: «Nie z szulerami gra, ale z uczciwymi ludźmi.» Myślał zaś sobie: «Co się stało temu panu Antoniemu, że tak się uwziął na hrabiego? Tęgi chłopiec, bogaty, ładny, grzeczny, dobrze wychowany, a przedewszystkiem gra w karty, lubi grać, płaci zaraz, i to gotówką. Starolacki dziwak, nie chce Anny; dla czegóżby ją lepiej nie oddać za hrabiego, jak za jakiego tam gamonia, co nie będzie umiał trzymać trzynastu kart w ręku, rozeznać pik od trefli, a caro od coeur.

Wprawdzie pochodzenie rodu hrabiego podejrzane, ale Bogiem a prawdą rzekłszy, wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy.»

Tak się rzeczy miały w Syngurach w pierwszych chwilach niebytności pana marszałka.

XV.

— Nu, ja zrobię.

— Czy też tylko zrobisz?

— Większe rzeczy się robiło, pański tatko to wiedział.

— Dosyć tego.

— Niech tak będzie, ja milczeć umiem; pan to wiesz.

— Dobrze, ale Moskwa wielka.

— Świat jeszcze większy.

— Wiesz, czem to pachnie?

— Złotem.

— A jak nic nie zrobisz?

— Z panem zapłata po robocie, z innym, to nie; my się znamy.

— Ruszaj już.

— Kłaniam się, — i wyszedł.

Taka była rozmowa między hrabią Adalbertem a żydem sążnistego wzrostu, śniadej twarzy, jak szerszeń rudych pejsów i brody, a burych, jak smoła oczów. Żyd miał przeszło pięćdziesiąt lat, a jeszcze żaden włosek mu nie pobielał, żadne drgnięcie ciała nie wskazywało chylenia się wieku ku starości. Przybrany był w krótki kożuszek, w jałowicze spodnie a juchtowe buty i w kapucę z siwych baranów z uszami, zwyczajny strój brodzkich furmanów.

Działo się to przy końcu października, w sławnem mieście

Berdyczowie, na Białopolskiej ulicy, w znanym domu, który do dziś dnia u wielu ludzi nosi zwanie domu Boreckiego, chociaż pan Borecki, znakomity pasiciel cudzego i swojego brzucha, jeszcze roku tysiąc ośmset trzydziestego przeniósł się do wieczności, nie mogąc przeklętej cholery jadłem i napojem tak uraczyć, aby sobie bez niego była pojechała na tamten świat.

Była to godzina piąta z rana, jeszcze dzień nie jaśniał: ledwie na niebiosach zabierało się na szarawe świtanie, poufały sługa hrabiego wyprowadził żyda przez tylne wrota na zaułek. Nikt tego nie widział, tylko stary stróż domowy, który już zaczął zamiatać sień; ten umknął z oczów słudze i mruknął pod nosem, ale to dla swojej wiadomości tylko:

— Widno panicz tego psa używa, jak nieboszczyk, rodem kurki czubate.

Przeżegnał się krzyżem świętym i pomodlił się, czy za duszę nieboszczyka, czy ze strachu o siebie.

Hrabia w łóżko się nie położył, widno nie chciało mu się dosypiać raz przerwanego snu; nie przechadzał się po izbie obyczajem człowieka marzącego o przeszłości, albo knującego na przyszłość, ale rzucił się w krzesło, jakby go niemoc zmogła, albo siły duszy osłabły i potrzebowały zakrzepić się chwilowym spoczynkiem ciała.

Przy słabym blasku jarzącej świecy widać bladość twarzy hrabiego i to oko niebłyszczące odblaskiem namiętnego uczucia, nie łzawe przesileniem się cierpienia, ale suche, ponure i strwożone. Jeźli na twarzy ludzkiej czytać można, jeźli się z niej człowieka poznawać godzi, to twarz hrabiego jawnie okazywała, że u niego czyn albo myśl o czynie nie porodziły się z zapędu nagłego chcenia, nie były skutkiem natchnienia chwilowego a niespodzianego, tylko po prostu snuły się z rachunku, niejako następstwo dawnych ogniw, któremi poszczepiały się wypadki przeszłości życia. Człowiek, którego dusza namiętnością jaką nagle zagada, a on chce jej czynem albo myślą o czynie natychmiast odpowiedzieć: wzrokiem, licem, postawą objawi zapał, cierpienie, ale nie trwogę. On wtenczas pod urokiem szału namiętności mało przewiduje, a niczem się nie trwoży. Ale człowiek, który

robi dla tego, aby dawne złe naprawić, albo je poprzeć nowym czynem, swoją wolę i swoje chcenie wplącze w mataninę rachunku, wszystko na daleko przewiduje, a zatem i trwoży się. Trwogą i przewidywaniem odgania z duszy i z serca zapał lub cierpienie; i powierzchowne oznaki są w parze z wewnętrznemi uczuciami.

Młody hrabia próżny, dość wesoły, czasami trzpiot na świecie między ludźmi, teraz sam na sam z sobą posępnie siedział i od czasu do czasu chustką ocierał pot z czoła, choć w izbie nie gorąco. O! to pot zimny, czy żalu, czy braku woli, czy obawy, zapewne jednego z trojga uczuć, a może i wszystkich trzech zarazem.

Już dzień nie ukradkiem, ale ryczałtem rozlał się po izbie, a hrabia jeszcze świecy nie zgasił; bo zdmuchnął światło. Obtarł jeszcze raz i czoło i twarz:

— Jedno ciągnie drugie; kości rzucone, ale — wymówił te słowa i widać gorzko mu po nich. Wstał z krzesła i przesiadł na drugie, jakby z przemianą miejsca mógł przemienić myśli.

Wtem wszedł wierny sługa:

— Kamerdyner pana Apoleona czeka.

— Niech przyjdzie.

Kamerdyner ze schyloną pokorą wręczył karteczkę. Hrabia przeczytał, poszedł do szkatułki, otworzył, odliczył pęk bumażek i oddał kamerdynerowi swojego brata.

— Czy jasny pan nic nie będzie pisał?

— Nie; powiedz hrabiemu, że będę tam.

Kamerdyner odszedł, a hrabia uśmiechnął się uśmiechem chorego, co zazdrości innym zdrowia:

— Jego przynajmniej bawią ostrogi, mundur, gra w karty. Niech się bawi, ojciec zostawił dość pieniędzy; a mnie... nic nie bawi teraz. Kiedyś bawiło... — zamyślił się. — Ona nikogo jeszcze nie kocha, ona mnie kocha... Zabawię się czas jakiś... tak, jak...

Znowu drzwi się otworzyły i wszedł wierny sługa.

— Teodorze, cóż tam takiego?

— Panna Fuksówna chce się z panem hrabią widzieć.

— A to skaranie Boże! powiedz, że śpię.

— Chce koniecznie.

— Niech wejdzie. — Ruszył ramionami: — A to kłopotu się nabawiłem! Prawda; że pani Adelina ma piękne, błękitne oczy i krucze włosy; zresztą chciałbym tego pułkownika z kwitkiem wyprawić. — I z temi wyrazami znikła posępność z twarzy.

Wtoczyła się raczej a nie weszła istota o mało nie tak słuszna w szerz, jak w dłuż, przybrana w jedwabną suknię z falbanami i długi szal biały z frenzlą, na kształt krakowskiej płachty, strojna w kapelusz z włoskiej słomy, ozdobny kwiatami i półzasłoną z przezroczystej gazy; zgoła zacząwszy od rękawiczki aż do trzewika, wszystko było arcymodne. Panna Fuksówna czyli mademoiselle Fouqs, oprócz zbytniej korpulencyi, wyrażając się językiem grzecznych kawalerów dawniejszej daty, miała twarz jak nabrzmiałą, a tak połyskującą, iż zdałoby się, że ją posmarowała pomadą z niedźwiedziej tłustości z passage Vero-Doda z Paryża.

Panna Fuksówna była naczelną modniarką w Berdyczowie. Większa część pięknych pań u niej kupowała, na przekorę młodym panom, którzy woleli udawać się do pani Rosi, a później do panny Eweliny u pani Szafnaglowej, bo te obiedwie podobne były do panny Fuksównej, jak dzień do nocy, jak złoto do błota.

— Jak się mamy?

— Na usługi pańskie.

— Proszę siadać.

— Bardzo dziękuję, — siadła na krześle dębowem, ale krzesło aż zakraknęło.

— I jakże ten zawój à la sultane, ten kapelusik évasé, te kwiaty do podkapelusza, czy odniesione pięknej Adelinie?

— Wczoraj jeszcze.

— Byłaż przecież z nich rada?

— O! i jak! z radości ucałowała męża.

— Męża?

— Pan hrabia tam nie byłeś?

— I cóż z tego?

— Całus dla niego był.

— To grzecznie, a pułkownik?

— Wściekał się ze złości, brzękał ostrogami i bawił się z wąsem.

— Czy się domyślił?

— O! i jak, doskonale.

— To wyśmienicie.

— Przyniosłam panu hrabiemu dwa malutkie bileciki, — dała mu je do rąk.

Hrabia rozwinął i czytał:

Un oiseau de paradis
Un bonnet à la Manon
Des rubans bleus à la madame
Un panache à la Marabout.

— I tak dalej, tak dalej, to fraszki, — i rzucił na stół. — Zobaczmy drugi. — Czytał po kilka razy i uśmiechał się: — Wybornie! Proszę to wszystko zanieść sowietnikowej, co jest na karteczce, — a przytem maleńki bilecik napisał na ślicznym pozłacanym papierze, a zapieczętował takim lakiem, że woń rozeszła się po całej izbie.

Już panna Fuksówna wytaczała się ku drzwiom, gdy na nieszczęście spotkała w przedpokoju pułkownika Aleksandryjskich huzarów, księcia Chyłkowa, starającego się o względy pani sowietnikowej, baronowej Bot, dyrektorowej berdyczowskiej Tamożni, znanej wszystkim pod imieniem pięknej Adeliny. Z pułkownikiem wszedł Filibert Barowicz, brat stryjeczny hrabiego, ale jeszcze nie hrabia.

Pułkownik miał już przeszło czterdzieści lat, wąsaty, okazałej postawy; w twarzy choć było trochę dzikości, jednak to się zacierało wyrazem szczeroty wojskowej:

— Dobry dzień, — obrócił się do hrabiego Adalberta: — Panie hrabio, zrobiłeś mi psotę.

— Nie rozumiem.

— To ci po prostu powiem, żeś mnie podkopał w łasce pani Adeliny.

— Książe się myli.

— Mam oczy: dary za pośrednictwem Fuksównej co mogą znaczyć?

— To nie odemnie, nie śmiałbym tego robić przy mężu.

— Mąż wie, że to od pana, ale on powtarza zdanie stare, że pewni ludzie dają, a mądry bierze.

— Pułkowniku, to za nadto, będę żądał satysfakcyi.

— Zaraz, zaraz, satysfakcyi trzeba żądać od barona Bot, a ja mam panu hrabiemu do powiedzenia kilka słów.

Odprowadził go w drugi kąt izby i coś mu szeptał na ucho.

Filibert widział, jak on bladł i mienił się oczyma, ale ani słówka nie słyszał z tej rozmowy.

Pułkownik skończył:

Barowicz odpowiedział drżącym głosem: — Zgoda, — i podał rękę pułkownikowi, który ją wziął, dla tego, że był świadek, ale nie ścisnął.

— Więc już skończona z panią Adeliną? — rzekł huzar, pokręcając wąsa.

— Skończona, niech szczęście pułkownikowi sprzyja, — odpowiedział Adalbert.

— A więc chodźmy teraz do hrabiego Apoleona.

— Nie mogę, czekam na kapitana Groźnickiego.

— To zaczekajmy.

I rozmawiano, póki Groźnickiego powóz nie zajechał przed domostwo.

Hrabia wybiegł na ulicę:

— Jak się masz, Bronisławie? tak długo...

— Kazałem przeć szkapy, co tchu stało, i pod Somo-Sierra nie prędzejśmy czwałowali, a wielki człowiek wieku na nas patrzał.

— I jakże Anna?

— Jutro będę z moją ciotką.

— Czy dobrze rzeczy idą?

— Lepiej iść nie mogą.

— No, teraz pojedziemy do Apolka na śniadanie, ma licznych gości.

— Zapewnie będą grali w karty?

— Zapewnie.
— A ja zapomniałem wziąźć pieniędzy.
— Bronisławie, mój worek na twoje usługi.
— Dziękuję ci, Adalbercie.
Niebawem wszyscy czterej wyjechali w miasto.

XVI.

Kto widywał w Berdyczowie na jarmarku u młodego panicza te huczne półuczty, zwane śniadaniami, szczególniej u panicza przybranego w wojskowy mundur, nie w chwili rozpoczęcia, kiedy wszystko jeszcze jakimś porządkiem trąci, ale ku końcowi, kiedy rodzimy nieład się wkradnie, a każdy z biesiadników swoje widzimisię, potrzebę, namiętność, uciechę czy modę rozuzda i puści na wolę, — kto to widywał, nieraz pożałował, czemu Słowiańszczyzna niema Rembrandta albo Teniersa, żeby pędzlem mistrza te uczty przeniósł na płótno, a możeby obrazy życia przemówiły przez oczy nie do jednej duszy.

W jadalnym pokoju na stole jeszcze stoją resztki niedojedzonych przysmaków i pełne próżnych butelek, szklanki tu i owdzie porozstawiane bez żadnego ładu, na posadzce strugi porozlewanych trunków, szkło i porcelana potłuczone, walają się kawałkami, a korki leżą jak trupy na polu bitwy. Istna szynkownia po praźniku pijanej tłuszczy burłaków; a jednak tam jasne srebro świeci, śnieży się holenderska bielizna, lśnią się kryształy i porcelana bawi oko pstrobarwiastem malowaniem. Jawne znaki dostatku! Jeźli to się nie sprawdza, że kto ma pieniądze, to ma i rozum, to przynajmniej to jest prawdą, że kto ma dostatek, musiał odebrać jakie takie wychowanie. I toż to ludzie wychowania z mieszkania ludzkiego zrobili barłog!

Jeszcze tam kilka huzarów i młodzieży, przybranej w jarmarkowe czamarki, dopijało wino; szampan jak z pistoletu wystrzelał korkiem z butelki, pienił się w długich kielichach. Oni łykali piankę i wykrzykiwali wiwaty, ale czyje? Teklusi z Białopolskiej ulicy, Cezi z Machnowieckiej albo Ruminsztejna, lichwiarza przechrzty. Przez otwarte okna rzucali na ulicę między żydziaków karbowańcami, wołając jak na psów: «Pyf! huż, huż!», a żebrakowi ledwie który dał kopiejkę i to zaraz ofuknął: «Paszoł, won!» Niejeden dosiadł konia na pół pijany, roztrącał ludzi na ulicy, porywał żyda za pejsy, konia ubodł ostrogami, koń szczupaka chlusnął, a on żyda jak zgniłą gruszką o bruk rzucił, a jego współbiesiadnicy klaskali w dłonie i owrzaskiwali: «Brawo! brawo!»

Większa część współbiesiadników porozłaziła się do innych pokojów; tam porozstawiano stoliki do gry, roznoszono kawę, likwory i fajki; dym kłębami zahulał po pod sufity i języki gwarnie i szumno wybełkotywały pół pijane myśli, i ostrogi pobrzękiwały i obcasy postukiwały o posadzkę. Ale ta wrzawa pobiesiadnego życia trwała tylko chwilkę. Nie przyszło do dobycia szabel, ani nawet do słownych zwad; przeszły te junackie czasy, zostawując po sobie tylko wspomnienie, jak sny; inny wiek, inne obyczaje. Radziby rozprawiać, paplać, ale choć podszołomieni trunkiem, czuli, że jakiś niepojęty hamulec wstrzymywał im i języki i myśli; a więc zasiadano do gry i na zielonem suknie stosami puszyły się bumażki białe, moręgowate, gdzie niegdzie krasne i sine, gdzie niegdzie także jaśniały kupki złota i srebra.

Tu płatknik pułkowy ciągnął bank w faraona, jak plewę rozmiatał pieniądze, a pułkownik i audytor pułkowy poniterowali, uśmiechając się i zagryzając usta. Podstarzały obywatel, co pozawczoraj jeszcze kazał pograbić chłopkom dobytki i odzienie, żeby, jak mówił, wydusić grosz na skarbowy podatek i na pańską podoroszczyznę, tenże sam grosz rublami i zdawkową monetą wyciągał z kieszeni i stawiał na karty, nie pomny, że skarb nie przepuści niedoimki. Młody trzpiot sypał złotem z pańskiem lekceważeniem, a w kieszeni miał list, w którym donoszono, że jego rodzoniuteńki brat

gdzieś za granicą umiera. Byli tam wojskowi, co przegrywali skarbowe pieniądze i ostatki swoich; bo na kredkę, zapowiedziano, grać nie można, przez przyjacielskie zaufanie, przez znak dobrej wiary. Byli tam i obywatele, co trwonili pieniądz za krescencyę przedaną na sześć lat z góry. Wszyscy grali, i jednym bladły twarze, siniały usta i wino już dawno z głowy wyparowało, a oni łając w djabła, w ojca i matkę, albo tylko zgrzytając zębem i tłukąc pięścią o stół, odpychali pieniądze do banku. U drugich oczy błyskały chciwością, lice krasiły się rumieńcem i miłły się uśmiechem radości, a oni przy dowcipnych słówkach garnęli pieniądze z banku do siebie; byli tacy, co zimno i obojętnie brali złoto i złoto rzucali.

Cała gra uczuć, niepokoju, oczekiwania, przedwczesnej nadziei, przedwczesnej rozpaczy odbijała się na twarzach i migała błyskawicą u tych, co obok bogatych wziątków mieli karty pogięte na rogach, połamane w kabłąki albo stawiali banko.

Za bankierem stał major Klastyckiego pułku, wysoki, cienki, chudy, blady na twarzy; na pół nieruchomy w miejscu, okiem tylko wodził to po grających, to na karty, jak upior z tamtego świata, jak szatan, opiekun uczty: to wspólnik bankiera. On okiem rachuje każdy wziątek, uważa przegrane i słowem suchem, ucinkowem przypomni niepłacącemu roztargnienie; czasem chrząknie albo kaszlnie, i karty w ręku bankiera drgną nieznacznie, albo jakiś huzar towarzysz postawi z boku banko i bank zabije; to czarodziej, co samowładnie grą rządzi.

Grano w wista, w ecarté, w djabełka, w kości, a nawet w bouillote i w różne gry, a przy jednym stoliku kilku paniczów szałaputów dla zabawy niby grali. Ten stawił smycz chartów, tamten kabardyńskiego konia, jeden dziewczynę jasnowłosą z nad Wołgi, a drugi, i to szlachcic polski, kozaczka teorbanistę na kartę.

Takie było śniadanie u hrabiego Apoleona Barowicza, junkra z pułku huzarów księcia Oranii.

Hrabia Adalbert grał także, szczęście mu sprzyjało, wygrywał sept lewy, quinze lewy, nawet raz bank zabrał, mimo

7*

chrząknięcia chudego majora. Twarzy był wesołej, rad się uśmiechał, rad silił się na dowcip. Czegóż tak nagle zmienił twarz i wpadł w jakieś roztargnienie? Dwa razy wygrał na piątkę, nie brał pieniędzy i nie zagiął karty, aż Groźnicki mu przypomniał:

— Hrabio, wygrałeś!

Po przestrodze nie poprawił się; i jakaż temu przyczyna? Żadnej wiadomości miłej czy smutnej nie wniesiono do domu; nikt z obcych nie przybył, okna pokoju nie na ulicę wychodziły. Sąsiedzi hrabiego cicho i z uwagą grali, a z tyłu za nim dwaj oficerowie, oparci o ścianę, rozmawiali z sobą. I to dwaj oficerowie jacy: jeden już podstarzały kornet, wysłużony, z podoficerskich dzieci, oprócz skarbowego żołdu nie mający innego majątku, po prostu Iwan Iwanowicz Stupajkow, rodzaj koniuszego i dworeckiego przy brygadnym jenerale, a często używany do osobnych poruczeń i posyłek przez panią jenerałową, i z tej to przyczyny zapraszanym bywał na wszystkie uczty oficerskie. Drugi rotmistrz, wczoraj przybyły do pułku wprost z czarnomorskiego wojska; ten oprócz krzyżów świętej Anny, świętego Włodzimierza z różyczkami, szabli świętej Anny za waleczność, oprócz kilku szram na twarzy, pocałunków czerkieskiej szabli, nie przywiózł ani kopiejki i dla tego nie grał.

Rozmawiali z sobą dość głośno, widno, nie o żadnej tajemnicy:

— Michale Sergiejowiczu, a znaliście wy Jego Światłość grafa Tiumena?

— Aleksandra Pawłowicza? i jakże nie; my razem z sobą byliśmy adjutantami przy jenerale Rajewskim.

— Ja jego znałem jeszcze dzieckiem, na ręku nosiłem.

— On teraz pułkownikiem, a może nieboszczykiem.

— Jakto?

— Ja go zostawiłem w Anapie chorego; ranny trzema kulami.

— Biedny Szaszyńka! i kto go pilnuje?

— A żona.

— Czy on żonaty? z kim? z Czerkieską?

— Nie, z jakąś baronowiną niemiecką, ja zapomniałem

jej nazwiska; on z żoną przyjechał do Anapy, dla tego zaś przyjechał, że matka gniewała się za to małżeństwo.

— Tak jest; grafini chciała go ożenić z księżniczką Dołhorukówną. Ja o tem wiem, Szaszyńka bałamut! A ma dzieci?

— Nie, nie ma.

— Mówił on wam kiedy o mnie?

— Nie przypominam sobie, ale pisał przezemnie do księcia Chyłkowa.

— Szkoda Szaszyńki! on nie umrze.

— Bóg to święty wie, lekarze mówią, że źle koło niego.

Pułkownik Chyłkow dostrzegł zmieszanie się na twarzy Barowicza, dosłyszał trochę rozmowy dwóch oficerów i odezwał się:

— Hrabio Adalbercie, oni nic nie wiedzą, my tylko wiemy, czy nasz układ stoi.

— O, stoi! — odpowiedział hrabia.

Pułkownik pokręcił wąsa: — Stupajkow, ja zapomniałem pozdrowić was od grafa Tiumena.

Stupajkow pokłonił się, a hrabia Adalbert odetchnął wolniej, kiedy inny oficer przystąpił do przybyłego rotmistrza:

— A nie spotkali wy czasem w drodze porucznika Skarszyńskiego, z niżno-nowogrodzkiego dragońskiego pułku?

— Spotkałem; przyjechał z Odessy z jakimś Niemcem. O! zapomniałem nazwiska, a no, przypominam sobie, Szwarc, Szwarc czortow, i ten mnie się pytał o grafa Tiumena.

Hrabia Adalbert nagle wstał z miejsca: — Bronisławie, proszę cię, graj za mnie; przypomniałem sobie, że mam pilny interes. — I zostawił mu kupę pieniędzy, wszystkie, co miał przy sobie; a słowa jego i ruchy ciała były bardzo żywe.

Przy wychodnem zatrzymał go książę Chyłkow i z cicha powiedział: — A nie do pani Adeliny?

— O, nie, słowo honoru, że nie, — i prędko wyszedł.

Zaledwie wpadł do swojego mieszkania, zawołał:

— Teodorze, żywo biegaj do Abrahama, niech tu przyjdzie, a jeźli nie chce, to pojadę albo do niego, albo do hryszkowieckiej dębiny, gdzie zechce; niech mi białego osiodłają. Ruszaj na koniu co tchu.

Potem zostawszy sam, pomyślał sobie: «On już tam być musi, i Starolacki pojechał do Odessy,» mruknął: «Dam, ile zechce złota, byle zrobił.»

Niedługo wrócił Teodor: — Panie, Abraham pojechał.

— Pojechał, pojechał, — powtórzył hrabia i rzucił się w krzesło.

Teodorowi żal pana, może pójdzie po czarnego Moszka.

— Nie, nie, inaczej to zrobić trzeba, trzeba przyspieszać, — i zamilkł.

XVII.

— Hrabio, zgraliśmy się wczoraj, jak to mówią, jak włoskie skrzypce.

— Mój kapitanie, i gadać o tem nie warto.

— Sacré Dieu, chciałem kości połamać temu bankierowi! Hem! w Hiszpanii, w Waladolid...

— Czy nie czas namby jechać do kościoła?

— Co po psie w kościele? — zaśmiał się Groźnicki, rad ze swojego dowcipu, — nie przyjadą jak na sumę; mamy dosyć czasu. Écoutez donc, Jan i Tomasz Szlisy, wówczas szefowie szwadronów, to ptaszki.

— O tem dobrze wiemy.

— Więc corbleu z dwoma braćmi Grajewskimi, kapitanami w naszym regimencie, w Waladolid w Alkala tem pass a maniano...

— I cóż robili?

— Grali w karty, perte.

— A dalej?

— Zgrywali się.

— I nic więcej?

— Corbleu! jak włoskie skrzypce: ha! ha! ha!

— Prawda, że to musiały być zabawne rzeczy. Ale powiedz mi, Bronisławie, co to się wczoraj stało u Apolka?

— Chciałem kości połamać temu bankierowi, sacré Dieu; widziałem, że zakrawa na gierylasa, utnie woltę i zfiluje; aż tu ten sztabs-rotmistrz Bardecki, co to ma minę polskiego rębosza, albo — hiszpańskiego kabasity, — hem! alo burico...

Hrabia musiał o czem innem myśleć, bo ciągle poglądał to w okno, to na zegarek; a Groźnicki pokręcał wąsa, popaliwał cygaro i opowiadał:

— Bardecki jak urznie w papę bankiera, i Lefebvre Desnouettes tak nie palnął Hiszpanów pod Saragosą; burico, corbleu, a bankier kaput Mack, jak gdyby nic nie było, obrócił się do chudego majora i chlusnął go w papę, wołając: «My po połowie, dzielmyż się wszystkiem.» Wtenczas daliśmy brawo, i skończona rzecz; entre amis tout s'arrange. Corbleu! kiedyśmy byli pod Borodinem, gorąco wtenczas nas piekło; pamiętam jak dziś, jenerał Caulincourt młody, wielki koniuszy, przybiegł do piątego pułku kirysierów, hem! krzyknął wierszami:

L'empereur bougre
Cuirassiers foudre
Vous a dit sacré nom de Dieu
Que vous êtes des braves cuirassiers.

— En avant, marche, marche! armaty brawo dały, wielką redutę wzięto, Caulincourta djabli porwali; sacré bleu, tak to bywało.

Od urodzenia nigdy tak długo, ani tak potocznie Groźnicki nie gadał. Ale za to też odpoczywał, pociągając dymek i z chlubą przewalając się na kanapie, póki zniecierpliwiony hrabia nie zawołał:

— Bronisławie, jedźmy już.

— Anna zdobyła twoje serce, jak my wąwozu Somo-Sierra. Djable tam było gorąco!

— Jedźmy już Bronisławie.

Siedli oboje do pięknego koczyka; hrabia zawołał: «Do kościoła karmelitów.» Stangret zaciął gniadosze, te w podsadach ruszyły z miejsca, a potem w dziarskim kłusie pod-

kowami ogień krzesały z bruku, a lud Boży i plugawe żydostwo zmykali na prawo i na lewo.

W kościele tłumno; zdaje się, że powódź napłynęła z pobożnym ludem, a wszyscy przed Bogiem się korzą, wszyscy do Boga się modlą. W wielkim ołtarzu obraz Matki Dziewicy z dyamentową koroną; z bogatej szaty, szytej złotem, srebrem, perłami i dyamentami, sieje jasne promienie po Bożym gmachu, a twarz Bogarodzicy bije promienie łaski w dusze ludzi wiernych. Kapłan mszę odprawia, brzmią organy i śpiewy chórem zawodzą na cześć Twórcy Jedynego i Jego świętych. O! to chwila, w której cudem niepojętym dusze z ziemi rwą się lecieć ku niebu, pod stopy Pana nad pany, i nie ma grzesznika, któryby ciężko nie zapłakał na przeszłość i szczerze nie uczuł chęci poprawy; niema niedowiarka, żeby nie zachwiał się w swym błędzie; w ludzkiem sercu niemasz nienawiści, żeby nie zwolniała; bo msza święta, to chwila urocza, w której ludzie skruchy, wiary i nadziei błaganiem i miłością do Boga przemawiają, a Bóg im przebacza i zsyła na nich miłość, wiarę i nadzieję.

W kościele Bożym, w czasie służby Bożej, czyje serce kocha, tego dusza kornie i gorąco błaga, i nie zważa na to, co w około się dzieje. Panna Anna w uprzywilejowanej ławce, tuż koło wielkiego ołtarza, modliła się do Matki Dziewicy; błękitne oko wzniosła ku cudownemu obrazowi, mleczne lice pokrasiło się zapałem prośby, a uśmiech nadziei czarodziejskim wdziękiem bawił się z ustami nadobnej czarodziejki. Pani marszałkowa czytała w książce francuzkiej modlitwy, których często nie zrozumiała, ale przypomniała sobie dawne koronki i antyfony, i z pamięci po polsku chwaliła Pana Boga. Pani Żelowska nawet o Twórcy i o przyszłem życiu pomyślała; przykro jej, smutno, ale na tynkowanej twarzy uczucia przeczytać nie podobna.

Już msza święta się zakończyła, kiedy Anna odwracając głowę, ujrzała hrabiego. On stał we drzwiach zakrystyi zadumany, ze wzrokiem obróconym ku niej. W tem spojrzeniu zdawało się jej, że widzi całe uczucie jego serca.

O! jak szczerze, jak serdecznie dziewica dziękczyniła Bogu!

Wychodząc z kościoła, już na schodach hrabia zbliżył się do marszałkowej i powitał ją. Ona jakiemś półpolskiem, pół-francuzkiem gadaniem odpowiedziała, a przypomniawszy sobie, że na wielkim świecie panie paniami, a mężowie sługami, albo jeszcze mniej, bo niczem, nie pomna na prośby i zakaz męża, na pierwsze zapytanie hrabiego, czy pozwoli siebie odwiedzić w Berdyczowie na stancyi, nie tylko, że pozwoliła, ale nawet grzecznie zaprosiła.

Annie dziwnie się działo na sercu! rada, zafrasowana, pieściła matkę, jakby była maleńką dziewczynką, przymilała się do pani Żelowskiej, a ciągle poglądała w okno i widoczny niepokój pokazywał się w jej oczach. Nareszcie przybył hrabia.

Nigdy nie był tak ładny: blady, na czole ślady niedawnego cierpienia, a w oczach blask radości. Wchodząc modnym nałogiem nie zatrzpiotał się, tylko w chodzie, w ruchach miał jakiś rodzaj lękliwości. Zdawałoby się komu, że to młodzieniec nie otarty z towarzystwem. Ale oko dziewicy, która kocha, widzi przez te znaki obawy zakochanego człowieka. Ona czytała w romansach, że kiedy kochanie wkradnie się do serca, to wtenczas najśmielszy człowiek stanie się trwożliwem dzieckiem, a trwożliwy może przemienić się w najzuchwalszego, bo w chorobie miłości na przemiany napadają paroksyzmy zuchwalstwa i obawy.

Po rozmowie powitalnej, bogatej w puste słowa, w czcze uczucie, a jednakiej w całym świecie, hrabia zbliżył się do Anny i mówił z nią dość cicho, tym pół-głosem, zwyczajną mową kochania:

— Czy pani nie była chorą?

— Dla czego pan się o to pytasz?

— Pani tak blada!

— Cierpiałam.

— Pani cierpiała?

— Trochę; ale pan zmizerniał także?

— O! ja cierpiałem, cierpiałem wiele.

I zamilkli oboje.

— Dzień dzisiejszy wrócił mi szczęście.

— Bo pan hrabia modlił się dziś.

— Modliłem się do Boga, podziwiając bóstwo.

Żywy rumieniec wystąpił na lice panny Anny; hrabia patrzył na nią i spuścił w ziemię oczy:

— Tak jest, bóstwo; tę, bez której niemasz dla mnie szczęścia, która jest panią mojego życia.

Anna udała, że patrzy w okno: — Niech pan hrabia spojrzy, co tam za tłum ludzi.

— O! ja nic nie widzę, tylko ciebie, piękna pani.

Dziewica mu nic nie odpowiedziała słowem, ale okiem na niego tak mile poglądała, że hrabia ośmielił się zbliżyć i wymówić ciszej:

— Ja panią kocham, kocham nad życie, nad wszystko. — Głos jego drżał, na całej twarzy wzruszenie widocznie się przebijało, a oczów nie śmiał podnieść.

Szczęściem dla kochającej się pary, że rozmowa była bardzo żwawa; pani Żelowska podsycała ją ciągle, a Groźnicki coraz nową ciekawość pokazywał na ulicy.

Hrabia z Anną rozmawiali, ale więcej oczyma, rumieńcem, jak oczyma. Hrabia wziął dziewicę za rękę:

— Pani, wydaj wyrok.

Długie, długie było milczenie, nawet ręką nie śmiała z lekka uścisnąć ręki hrabiego, ale w końcu rzekła cichym szmerem westchnienia: — Kocham, — i prędko odeszła do matki.

Już w powozie Groźnicki zapytał hrabiego:

— A cóż?

— Kocha.

— Vive l'empereur, Somo-Sierra nasza; hem! manewrowałem, jak arcyksiążę Karol.

— Dziękuję, Bronisławie, ale ja nie zginę, jak Mack.

— Ty jesteś Napoleonem, ale strzeż się, Hiszpania nas zgubiła po zwycięztwie, sacré Dieu.

— Mój drogi, jak kobieta powie: «Kocham!», zwycięztwo nasze. — W myśli dokończył: — Dopiąłem swego,

a teraz co będzie?... będzie moją; a potem... — mimowolnie zadrżał i dodał w głos: — Zobaczymy.

Wąsaty kapitan nie wiele baczenia dawał na twarz i marzenia hrabiego; on musiał marzyć, jeźli marzyć umiał, albo o Saragosie albo o dobrym obiedzie.

XVIII.

«Kocham!» po raz pierwszy powiedziane kochankowi ustami młodej dziewicy, jaką ulgę niesie sercu, w jaką nową rozkosz odziewa życie! Jej się zdaje, że powiedzianem słowem stargała przymus, potrzebę tajenia, a nabyła szerokiej wolności kochania. W pierwszych chwilach tej wolności kochania, słodko, lubo, namiętnie żyje się szczęściem miłości i szczęściem kochanka, a godziny i dnie nie liczą się wcale. Bodajby takie życie długo trwać mogło!

Anna była szczęśliwa i hrabia zdawał się być szczęśliwym, ale tylko się zdawał. Od kilku dni już bawił w Syngurach; choć patrzy na dziewicę swojego kochania, choć z nią rozmawia, pewnie nie o czem innem, tylko o miłości, jakiś tęskny niepokój, jakaś nieznana obawa wiła się po twarzy i w oczach hrabiego; sili się na uśmiech, ale to nie uśmiech szczęścia. Czy kto z gości przyjedzie do syngurskiego dworu, czy posłaniec z listem, on natychmiast pobladnie, zakraśnieje i zadrży.

Jednak marszałka się nie spodziewano aż przed samemi kijowskiemi kontraktami. Nowosiołkowski nawet pojechał na Podole nad Boh, w odwiedziny do swoich dobrych przyjaciół; jego to nałogowy zwyczaj, co wiosnę i co jesień robić te wycieczki, dla nagrania się w karty, nagadania się, uzbierania małego poboru w pieniądzach, a większego w roz-

maitych wiadomościach. Starolacki, gdyby nawet powrócił z Odessy, pewnieby nie przyjechał do Syngur. Cóż za obawa mogła dręczyć hrabiego? W sąsiedztwie nikt nie wiedział o zakazie marszałka, a o owym liście odebranym z Żytomierza matka z córką czasem gadały, ale nie wiedziały, od kogo on i co miał znaczyć.

Jednego dnia wieczorem już oświecono salon, marszałkowa i pani Żelowska siadły na kanapie, hrabia w głos czytał powiastkę Gozlana o uwiedzionej a nieszczęśliwej kreolce. Anna bez robótki niewieściej w ręku słuchała brzmienia lubego głosu; błękitne oko łzą zachodziło, a na twarzy, jak w zwierciadle, odbijały się uczucia serca. Groźnicki stał przy kominie, poprawiał ogień, czy z nudów, czy też z pilnego słuchania mrużył oczy, jak gdyby drzemał.

Na dworze zawieja, śnieg mroźny potrzepywał w okiennice, wiatr wył w załomy; właśnie doczytano do miejsca, kiedy kreolka obwiniona o kradzież, stanęła przed sądem, aż tu dało się słyszeć głuche i niewyraźne pobrzękiwanie dzwonka. Hrabia pobladł i wypuścił z rąk książkę; brząkanie dzwonka ucichło, tylko kilka psów zmięszało swoje poszczekiwania z wyciem wiatru.

Marszałkowa posłuchała: — To zegar bije w jadalnym pokoju.

Anna patrzy na hrabiego, a sama zalękniona; pani Żelowska powstała z miejsca:

— Mon comte, co panu jest?

— Nic mi nie jest, bardzo dziękuję pani; ta biedna Cecylia...

— O, monsieur Adalbert, que vous êtes sensible; prawda, że ta biedna kreolka...

Groźnicki krzyknął: — Hm! cóżby to było, gdybyście państwo wiedzieli, jak w Hiszpanii, pamiętam w Pampelunie...

Wszedł Albert: — Pocztarz z Kodni przywiózł list.

Marszałkowa popatrzyła na kopertę: — To od mego męża. Odpieczętowała i czytała, a nikt nie przerywał milczenia, nawet Groźnicki nie kończył o Pampelunie.

Anna chciałaby z twarzy matki wybadać, co ojciec napisał; pogląduie czasami na hrabiego tym wyrazem oka, co nagle w jednej chwili się zmienia i zarazem zdaje się mówić: «Miejmy nadzieję», i «Biada nam!» Długie czytanie i odczytywanie matki nie wróżyło nic dobrego; niepewność zdwojała niepokój zakochanej dziewicy, a twarz hrabiego smutna, ponura, cierpiąca nawet, nie była dla niej otuchą.

Nareszcie marszałkowa złożyła list: — Ma bonne dame, wygraliśmy proces.

I nikt się z tego nie ucieszył.

— Ma chère Anna, papa t'embrasse, prędzej przyjedzie, jak się spodziewał, zapewne przed Bożem Narodzeniem.

Piorun nie bardziejby przeraził hrabiego, a nawet i Annę, jak te słowa, a jednak Anna kochała ojca; nie przeczucie już szeptało do ucha, ale pewność głośno mówiła: «Wszystko skończone, bądź zdrowe, błogie szczęście, witajcie cierpienia.»

Nikt słowa nie przemówił. Marszałkowa, czy przez litość dla córki, czy też, żeby ukryć, co w jej sercu się działo, wstała i wyszła.

Anna spojrzała na hrabiego, on jej spojrzeniem odpowiedział; oboje westchnęli i w pięknych oczach dziewicy stanęły łzy.

Pani Żelowska niby anioł opiekuńczy nad ich miłością, lała im w ucho pociechę:

— Mes enfans, nie rozpaczajcie; essayons, pójdę do dobrej mamy. Anna, ma pauvre Anna!

Hrabia ucałował rękę pani deputatowej, a Anna uroniła łzę dziękczynienia.

Sami zostali kochankowie, bo Groźnicki wyszedł do drugiego pokoju, wypytywać Alberta o śnieg, o mróz.

Hrabia ukląkł przed Anną:

— Trzeba więc ciebie porzucić! Nie, raczej śmierć, niesławę. O! nie, Anno; tyś moja, moja na wieki! Słowo, jedno słowo, na miłość moją, zaklinam ciebie! — chwycił jej rękę i ścisnął i całował.

Ona słowa przemówić nie może; uczucie pasuje się z we-

stchnieniem; pochyla piękną głowę, sploty kruczych włosów lekko musnęły zarumienione lica, rzęsa przysłoniła łzawe oko, a serce w łonie bije gwałtownie, i tak chwilkę trwało.

Hrabia na klęczkach pieścił rękę dziewicy, czuł gorące tchnienie jej ust, uchem liczył drgania jej serca i błagał:

— Anno! Anno! powiedz, żeś moja.

Dziewica ręki nie wysunęła z jego rąk i przemówiła brzmieniem struny trąconej wiatrem: — Twoja, twoja! — Głos jej stłumiony, a słodki, a uroczy, a taka jego niebiańska harmonia, że i szatana serce w pierwszej chwili zadrżało, bo to głos prawdy, głos niewinnej miłości.

Hrabia zamilkł, ale nie na długo; porwał się z klęczek:

— Tyś moja, Anno, moja na wieki! Żyć dla ciebie, umrzeć dla ciebie!

— Adalbercie żyj, a ja twoja.

Uczucia niepewności, nadziei, obawy, kochania, słowa tłumiły, a ciekawe światło lampy złotawem światłem w twarze im zazierało i było przy nich na straży.

Kiedy tak strażnicka lampa patrzyła na kochanków i przysłuchiwała się ich cichym, żwawym gadaniom, pani Żelowska weszła do pokoju marszałkowej:

— Qu'avez vouz donc, moja biedna Magdaleno? takaś smutna!

— Prawda, ma bonne dame, smutno mi; pauvre Anna, nie pójdzie za hrabiego.

— Et pourquoi?

— Mój mąż przyjeżdża.

— Et votre volonté?

— Łatwiej to powiedzieć, jak zrobić; vouloir et pouvoir ça fait dwa.

— Lorsque la femme veut, Dieu le veut, wszak to pewna i święta prawda.

Marszałkowa skinęła głową: — Mon mari nie pozwoli. O! jamais, jamais!

— Więc uprzedzić.

— Jakim sposobem?

— Faire le mariage, nim przyjedzie.

— To niepodobna sans sa permission.

— N'êtes-vous pas mère d'Anna i pani tego wielkiego majątku?

— Ale on jej ojcem, moim mężem.

— Enfant que vous êtes. — Zeschłą ręką dotknęła się ramienia marszałkowej: — Raz rzecz zrobiona, musi dać swoje błogosławieństwo.

— Nic z tego być nie może, ma chère dame, — smutnie rzekła marszałkowa.

— Vous manquez de volonté.

— To mój mąż.

Tegoż samego wieczora jeszcze pani Żelowska wydobywała na jaw cały swój dowcip, siliła się na wymowę, aby dowieść rzeczy już dawno dowiedzionej, że trzeba koniecznie, aby kobieta była panią w domu. Marszałkowa słuchała, a nic nie mówiła. Anna często westchnęła, ale częściej jeszcze spozierała czułym wzrokiem miłości na kochanka, wzrokiem, co człowieka wznosi nad siebie i rzuca pod nogi kobiety. Na jej obliczu wyraz tęsknego smutku żenił się z wyrazem niepojętego szczęścia, jak promienie słońca z kroplami deszczu; niebo uśmiecha się, i dziewica zarazem objawia smutek i szczęście. W hrabiego oczach i na twarzy, rzecz dziwna, nie widno ani rozkoszy, ani żalu, tylko po ruchach czoła poznać można, że knuje jakieś zamiary, a po przygryzaniu ust widać, że rzuca jedne pomysły dla drugich.

Tak przeszedł wieczór, a noc dostarczyła rojenia na szczęście i na nieszczęście, ale snu za to im nie dała.

Nazajutrz rano przyjechał pan Nowosiołkowski z podróży wprost do Syngur; do domu nawet nie zajeżdżał. Mimo, że pani marszałkowa jeszcze nie wyszła do salonu, chciał koniecznie ją widzieć i otrzymał pozwolenie wejścia do jej buduaru. Długo tam z sobą sam na sam rozmawiali. Dorotka nałogowym obyczajem pokojówki do dziurki od klucza na przemiany tuliła to oko, to ucho, a potem kilka razy skinęła głową na znak, że się wiele dowiedziała; przygryzła język, zapewne w dobrej chęci, żeby nic nie powiedzieć.

Nowosiołkowski wyszedł od marszałkowej bardzo nie wesoły, a nawet zagniewany; chociaż konie jeszcze nie miały

czasu i siana przekąsić, kazał je co żywiej zaprzęgać i wyjechał, nie rzekłszy nikomu słowa, coby objaśniało przyczynę tego nagłego odjazdu.

W pół godziny później, po naradzie pani marszałkowej z panią Żelowską, do której powołano hrabiego, a którą podsłuchała i podpatrzyła Dorotka, kapitan Groźnicki pomknął małemi saneczkami do Kodni, a ztamtąd pocztą wielkim szlakiem do Żytomierza.

Hrabia był szczęśliwy, wesoły, i panna Anna takoż, a Dorotka nie mogąc rady dać świerzbiącemu językowi, złapała w kącie starego Alberta i po cichutku, ale żywo mu mówiła:

— Oh! co to u nas się dzieje. Pan Nowosiołkowski pokazywał jakieś papiery i powiadał: «Trzeba, żeby zaraz wyjechał.» Pani gniewała się: «Ja jestem panią mojego domu, zrobię, jak zechcę; panu nic do tego.» On mówił, że do pana napisze, a pani: «Rób pan, co zechcesz, nie potrzebuję ani jego rad, ani przestróg.» Po jego wyjeździe pani deputatowa przyszła; co gadały, to gadały, potem pana hrabiego proszono. Pan hrabia całował w ręce, nawet do nóg chciał upaść. O! co to będzie! ten biedny pan Starolacki! dobrze mu tak, czemu nie pilnował panny, a panna... — o nic już nie powiem.

— Proszę powtórzyć, ja nic nie rozumiem.

— O, jeszcze czego, dwa razy jednej rzeczy nie gadam, — i wybiegła.

Stary Albert zżymnął ramionami: — Tra ra ra ra, dowiedzże się co od kobiety, a będziesz mądrym.

XIX.

Kilka dni upłynęło od odjazdu Nowosiołkowskiego i Groźnickiego. Pani Żelowska na krok prawie nie odstępowała marszałkowej, a hrabia Adalbert dwa razy na parę godzin wyjechał do Berdyczowa i zaraz powracał do Syngur. Kiedy kto z sąsiadów pokwapił się z odwiedzinami, zrobiono mu tak kwaśną minę, że nie długo popasał; takie przyjęcie spotkało panią Karszyńską i panów Krasnopolskich, a musiały być kwaśne, kiedy ci ostatni na niem się poznali.

Wrócił Groźnicki i radość była w syngurskim salonie, ale radość uciskana jakimś niepokojem, bo nikt kilka minut nie zachował ciągle wesołej twarzy; smutek, obawa od chwilki do chwilki, jak natrętni goście, na nie się cisnęły; często stłumione, jakby gwałtem rwane westchnienie mimowolnie z piersi się wymykało. Często oko zwracało się ku bramie, jakby wyglądało kogo. Dziwna rzecz: Groźnicki przywiózł radość, a ona nie wygnała smutku i obawy.

Tegoż samego dnia, nie tracąc czasu, wysłano gońców w różne strony i kazano koniuszemu, aby na jutro o świcie były zaprzężone kryte sanie; pan Groźnicki miał znowu gdzie jechać, ale gdzie? nie wiadomo.

Nazajutrz dzień był nie jasny; mdła pochmurność na niebiosach, śnieg gęsty pruszył cicho, polotnie; w dali za sio-

łem, jak przez sito majaczeją sosnowe bory; po dziedzińcu sroki skaczą i skrzeczą, gości zwiastują; na sztachetach i po drzewach napuszone wrony siedzą, od czasu do czasu pokrakują smutnie, dziko. Niekiedy ptaszek z pod strzechy pod strzechę przeleci; pies skulony, jakby ukradkiem przebiegnie, albo człowiek przejedzie, śledząc po ziemi zasypaną ścieżkę, a zresztą pusto. Stokroć znośniejsza szaruga, kiedy śniegową zawieją miecie, wiatrem świszcze i wyje, jak ta mdła, ślamazarna niepogoda, bo w burzy i szarudze niebo żyje i hula, a w tej mdłej niepogodzie jest jakieś smutne, tkliwe półżycia a pół-śmierci.

Anna siedziała przy oknie swojego buduaru, sama jedna; sparła głowę na dłoni i dumała. I czegóż dumała? Dziś jeszcze, a najdalej jutro, kochanie uwieńczy się szczęściem. Groźnicki z Łucka przywiózł indult, uwiodłszy sumienie kapituły przyzwalającym listem marszałkowej. Pojechał po księdza, posłano zaprosić kilka osób z rodziny Barowicza na świadków; ojciec pewno przebaczy, bo cóżby miał robić? Adalbert ją tak kocha i ona go tak kocha. Na cóż to dumanie? miała czas nadumać się w chwilach cierpień, frasunków kochania; czy teraz obawia się tego, czego tak długo i tak namiętnie pragnęła? I tak nie; dziwne to i niepojęte rzeczy dzieją się w kobiety sercu i myśli; kocha, niech tysiące przeszkód stawiają jej kochaniu, ona nie cofnie kroku przed niemi, pokona je swoją wolą i chceniem, albo zginie z kochaniem; i wtenczas na myśl jej nie przyjdzie żadne zastanowienie się, żadna trwoga nie zakołace do jej serca, bo to trudne, często niepodobne, a ona chce. Ale niechże wszystko zwalczy, wówczas wola słabnie, chcenie się chwieje, a rozpamiętywanie nad tem, co było, trwoga, a może i odgadywanie tego, co będzie, tłoczą się do myśli, i dla tego duma, tęskni, smuci się, a nawet płacze przy ołtarzu.

Spojrzała na swój buduar, zapewne z myślą, że przyjdzie go pożegnać. Przypadkiem wzrok jej się spotkał z romansem Leon Leoni; ta książka pani Georges Sand od owego dnia, w którym ją Anna skończyła, nie poszła w poczet innych do pięknej biblioteki dziewicy, ale leżała ciągle na

gierydonie. Dla czego? Przez proste zapomnienie. Anna już jej po raz drugi nie odczytywała. Teraz wstała, wzięła książkę w rękę, przerzuciła kilka stronnic, widocznie wzdrygnęła się; znowu siadła i pierwszy raz od bardzo dawna wspomniała o Starolackim. Myślała: «On mnie kochał, ja go lubiłam; ojciec by mnie błogosławił i byłabym szczęśliwą, nie znając kochania; a teraz on nieszczęśliwy, a ja... Ojciec mi będzie złorzeczył,» i łza cisnęła się do oka. Dziewica chciała i łzę powstrzymać i smutną myśl odgonić drugą myślą: «Będę szczęśliwą, Adalbert mnie kocha, ojciec przebaczy, a on pewnie o mnie zapomniał, będzie kochał inną.»

Z tą myślą zasmuciła się i rumieniec żywszy wystąpił na lice. Dla czegoż? Wszak ona jego nie kochała, wszak go nie chciała? Prawda, ale serce kobiety boli, kiedy niekochany młodzieniec zapomina ją dla innej; ona lubi powtarzać: «On mnie kocha jeszcze, choć ja go nie kochałam i nie kocham.» Próżność chwilowa walczy z tkliwością i dobrocią, każe szukać chluby w nieszczęściu drugich; ale takowe dumania krótko trwają. I Anna westchnęła, śliczne czoło wzniosła w górę, jakby myślą chciała się pomodlić: «Niech on będzie szczęśliwy.» Dalsze dumanie przerwało przyjście Dorotki; wierna pokojówka miała twarzyczkę nadąsaną:

— Już ja to powiadam, gdzie wiele nianiek, to tam dziecko będzie albo bez ręki, albo bez nogi.

— Cóż tam się zrobiło?

— Tej pani Żelowskiej koniecznie zachciało się wtrącać do ubierania sukni dla pani, — westchnęła, — otóż zrzuciła gorące żelazko i spaliła ten szal, co mi pani dała, kiedym jeździła do pana Starolackiego.

— Dorotko, weźmiesz mój zielony.

— Dziękuję pani, ale ten taki był piękny, ja go tak lubiłam, on mi przypominał pana Jana.

Anna milczała.

— Bo już to biedny pan Jan, gdzie on się teraz obraca? on dawniej panią tak kochał, a teraz ani razu nawet nie pi-

sał. — Potrząsnęła głową: — Nacóżby to się zdało, pani za kogo innego za mąż idzie.

— Dorotko, daj pokój, on o nas zapomniał.

— Gdzież tam pani; jak ja teraz rozbieram w myśli, to on się szalenie w pani kochał. Żeby pani wiedziała, jakim on był, kiedym mu oddała ten list! Pani samaby go żałowała, i kto wie, coby nastąpiło; on gdzieś umrze z miłości.

— Niewiedzieć, co ty gadasz, Dorotko, — i w głosie dziewicy był cichy, płaczliwy dźwięk.

Pokojówka to spostrzegła i zbliżyła się do niej:

— Wie pani co, niech się pani nie gniewa, a ja powiem, że pan hrabia młody, i ładny, i bogaty, ale mnie strach bierze o panią.

— Co ci jest takiego?

— O! żeby pani słyszała, co ludzie jego czasem mówią!

— Proszę cię, nie gadaj, nie pojedziesz zemną.

— Ja pani nie odstąpię nigdy, — i zaczęła płakać, — i jażbym panią samą zostawiła? o! nie, nigdy!

— Dorotko, przestań, bo i ja się rozpłaczę.

— Niech pani nie idzie za mąż za pana hrabiego; pan Jan powróci, a teraz powiedzieć, że pani chora, że pani pana się boi; niech mnie pani posłucha, choć raz w życiu, zobaczy pani, że to dobrze będzie.

Anna milczała, ale słuchała słów Dorotki i bardzo jej się smutno zrobiło.

Wtem weszła pani Żelowska:

— Ma chère, Bronislas przyjechał z księdzem proboszczem; qu'avez vous donc, łzy w oczach? cóż to takiego?

Dorotka wychodząc, mruczała:

— Gdzie ją nie posiejesz, to tam się urodzi; a byłabym może dobrze zrobiła.

Anna pociągnęła okiem za odchodzącą pokojówką i ledwie zdobyła się na odpowiedź pani Żelowskiej:

— Nic mi nie jest.

— Ma mie, czy ci żal opuszczać dom rodziców? Adalbert zrobi, co każesz; on tak kocha, il est vraiment

votre esclave. O, gdybyś widziała, jak on teraz szczęśliwy! Assez donc Anna, jakby się o tem dowiedział, z rozpaczyby umarł.

— Niech mu tego pani nie powiada.

— Nie kochaszże go?

— O, nie, ja go kocham, — i dziewica chustką otarła oczy.

— Mais vraiment c'est étonnant; mama smutna, Anna płacze, on dirait, że marszałek c'est un autre Néron, on taki dobry, on nam przebaczy, ja biorę na siebie wytrzymanie burzy.

Anna płakała już na dobre.

Pani Żelowska wzięła ją za rękę: — Ma chère Anna, au nom de Dieu, uspokój się, żeby mama nie nadeszła; trzeba się ubierać, — i chciała wołać Dorotkę.

— Niech pani pozwoli trochę, — i drobna rączka dziewicy łzy z oczu chustką ocierała.

Tymczasem pani marszałkowa przyjmowała gości w salonie. Ksiądz przeor z Kodni, poczciwy człowiek, zdziwił się, czemu pan Ostrożalski pozwolił na zamęźcie córki w czasie swojej nieobecności; ale widzi wyraźnie w indulcie czarnym atramentem wypisane imię i nazwisko panny marszałkównej, imię i nazwisko pana hrabiego; dla niego i na tem dosyć. Ale jeszcze pani marszałkowa kilka przyczyn splotła dość niezgrabnym sposobem i dość niepewnym głosem; hrabia ściskając rękę księdzu przeorowi, spory ładunek wsunął, pewnie nie na zabójstwo ludzi, a Groźnicki łyknął likworu w ręce księdza przeora i zaprosił go do śniadania. Ksiądz przeor pomyślał sobie: «Bóg daj to z wielkiem państwem mieć do czynienia, i grzeczni i gościnni, i znają się na rzeczach.» Jadł i smakował; nie zawsze się trafiają takie gody: klasztor augustyański nie bardzo bogaty, a Jaśnie Wielmożny jenerał Korzeniowski nie co niedziela zaprasza do pałacu.

Przyjechał hrabia Apoleon w huzarskim mundurze, a z nim pan Gaudenty Barowicz, marszałek machnowieckiego powiatu, bohater silnej ręki, podkowy jak trzaski łamał; prochu wąchać nie lubił, nie prochu z ziemskiej kurzawy, ale tego,

co z pistoleta ogniem błyska; ale był sławny z pewnych jarmarkowych praktyk. Nim wyjechał na jarmark, kazał wszystkie konie przeznaczone na sprzedaż przeprowadzać pod okna żony i pytał: «Żono, co mi dasz za siwka albo kasztanka?» Żona zobaczywszy szkapę wartującej dwadzieścia czerwonych złotych, mówiła: «Dam ci sześćdziesiąt.» A potem Gaudenty przed kupcami się przeklinał: «Bratku, na honor ci się zaklinam, na obywatelstwo, jakem Polak, na rany Chrystusa Pana, żeby tak żona i dzieci mi były zdrowe, żebym szczęśliwie do domu powrócił, że za tę szkapę u mnie w domu na miejscu dawano mi sześćdziesiąt czerwonych złotych.» I tym sposobem nie jednego kupca pociągnął na cenę, choć i spuścił ze swojej. Taki był stryjaszek rodzoniuteńki pana hrabiego i mający zastępować ojca w czasie uroczystości zaślubin.

Na świadków także wezwano dwóch panów Krasnopolskich, z czego niewymownie radzi, bo od czasu owego smutnego wypadku, po którym dostali w darze od panien skórkę zajęczą i kądziel, nie trafiały się im zaprosiny; przybiegli tedy do Syngur spiesznie i ochoczo, bo to pewnie nie na żadną wojnę.

Już po obiedzie Anna piękna zadumaniem i tą słodką tęsknotą, której dziewica zarazem wspomnienie poświęca i niesie w darze rozkoszy kochania, udała się przybierać w ślubną szatę. O! jakiem błyszczącem okiem hrabia za nią poglądał! Ale czegóż nagle zadrżał, zląkł się? Jakieś kryte sanie przed ganek zajechały i wszyscy, oprócz księdza przeora byli nie swoi.

— To nic, — rzekł po chwili Groźnicki, — to sanie pani Karszyńskiej.

Marszałkowa trochę się skrzywiła, a wtem weszła panna Marya Karszyńska ze swoją ochmistrzynią, bez matki, bez siostry. Powitała ją marszałkowa z uśmiechem:

— Ma bonne Marie, wczas przyjeżdżasz, będziesz demoiselle de noce mojej Anny.

— Jakto, Anna za mąż idzie?

— Chcieliśmy wam surprizę zrobić, idzie dziś jeszcze.

— Za kogo?

— Nie domyślasz się? za hrabiego.

Panna Karszyńska zarumieniła się:

— A gdzież Anna?

— Ubiera się; chodź do niej, — i obiedwie wyszły.

Anna siedziała w krześle i dumała, i poglądała okiem na błękitnawy płomień palącego się drzewa na kominie. Dorotka rozczesywała krucze włosy i ciągle wzdychała, a pani Żelowska jak na strażnicy usadowiła się koło kominka i oczyma już steranego blasku wodziła po dziewicy.

Weszła marszałkowa z Maryą i czułe było powitanie dwóch młodych dziewic; słowa jednego do siebie nie przemówiły. Jednak w ich oczach, na ich twarzach widno, że sercami zagadały do siebie i dobrze się zrozumiały.

Na chwilkę jedną marszałkowa z panią Żelowską odeszły do drugiego pokoju. Marya rzuciła się w objęcie Anny:

— Anno, ty za mąż idziesz?

— Idę, — a głos jej był cichy, drżący, jak szemranie drobnego strumyka.

— Mój brat pisał, Starolacki pisał, to do ciebie, czytaj, ale zaraz.

Czyta Anna, pobladła jak kwiat kaliny i ręce jej drżą, a w oczach dziwny wyraz trwogi i boleści.

— Anno, jeszcze czas, nie idź.

Wtem weszła pani Żelowska: — Qu'avez vous donc, ma mignonne, czyś chora?

Anna na całą odpowiedź papier w ręku zmięła i rzuciła w płomień, a sama osunęła się w krzesło.

Marya popatrzyła na dziewicę, popatrzyła na płomień, westchnęła i chciała mówić, ale przyszła marszałkowa:

— Marie, vous resterez z nami, ja poślę do mamy.

— Niech pani daruje, mama kazała powrócić zaraz; żegnam panie. Bądź zdrowa, Anno, i szczęśliwa.

Anna wzrokiem ledwie odpowiedziała na pożegnanie przyjaciółki. Marya wyszła; marszałkowa wzięła za rękę córkę:

— Anno, co ci jest?

Dziewica na pół odsłoniła piękne oczy i słabym głosem, podobnym do konania dźwięku stron, powiedziała:

— Nic mi nie jest, mamo, nic mi nie jest, — i znowu przymknęła powieki, jak gdyby ciało snem chciało rozpędzić troskę z duszy.

XX.

Kochanie łzę z oka dziewicy otrze, rozchmurzy lice i pogodą umili; powoli, powoli z serca smutek, z duszy trwogę wydali. O! żeby tylko na zawsze.

Pani Żelowska nie darmo tyle lat żyła na świecie; może ona kiedyś kochała, a może i nie kochała nigdy, ale znała dobrze, co to kochanie. Nie pociechę, nie rady, nie etery, nie wodę z pomarańczowym kwiatem niosła w ratunku Annie, ale przyprowadziła hrabiego Adalberta, a sama odwiodła na stronę marszałkowę.

Hrabia kląkł przy dziewicy, wziął jej rękę, pieścił i całował; półgłosem cichym, drżącym i tym zwyczajnym dźwiękiem, którym kochanek błaga albo pociesza kochankę, wymówił:

— Anno! co pani jest? nie kochasz mnie? a ja tak kocham! Mój aniele, — moje kochanie, — moja pani, — zlituj się! — okiem ognia i prośby patrzył w jej twarz, a ręką przyciskał rękę do swojego serca.

Dziewica poglądnęła na niego i smutnie i lubo, poruszyły się usta lekko, słodko westchnęła i z westchnieniem zaszemrała:

— Kocham, o! kocham.

Jak jesiennego ranku, przy ledwie dosłyszanych poszeptach wiatru, zwolna, zwolna ku ziemi opadną mgliste

tumany i oko ludzkie przejrzy się w czystych obłokach nieba, podziwi jasne oblicze słońca, — tak na poszepty kochanka smutek odleciał z lica dziewicy, czoło się rozpogodziło, oko zabłyszczało i rozmawiali z sobą.

Po chwili sami byli w pokoju, tylko Dorotka we drzwiach stała, czekając na rozkazy; czekała, ale oka nie spuściła z kochanków, słuch ucha wytężyła ku nim, jak powiedział poeta: «Cała była w oku i w uchu.» Na twarzy jej widać trochę zadąsania, a trochę prawdziwego smutku; zapewne przez użalenie się nad panią, a w części dla tego, że nie zupełnie rozumie tych spojrzeń oka, tych odblasków twarzy, tych uściśnień i pocałunków ręki, które są w większej części niezbadaną tajemnicą dla wszystkich innych, oprócz kochanków; że tylko dolatuje do jej ucha ledwie setne ze słów przez nich wymawianych. Biedna Dorotka chciałaby wszystko słyszeć, wszystko wiedzieć przez przywiązanie do pani, przez dobre serce, przez ciekawość dziecka Ewy.

Z początku tylko puste słowa dolatywały do ucha Dorotki:

— Anno, ty mnie nie kochasz.

— Kocham... Adalbercie.

— Po co te łzy?

— Niewiem, tak mi było smutno.

— Anno, powiedz.

Dziewica milczała, ale zbladła.

— Anno! powiedz! — zaklinam cię! — powiedz! — błagam cię.

Ona zapłoniła się: — Adalbercie! — i na ucho mu szeptała, a w jej oczach widać łzy, na jej twarzy wyraz niepojętego uczucia.

Hrabia pobladł, zadrżał, usiłował ręce łamać, zębami zgrzytnąć, niby z gniewu, z oburzenia; ale zęby o zęby się dotknęły i nie zazgrzytnęły, ręka o rękę się otarła i nie było w nich siły, żeby palce się złamały, dłonie się pogięły; niemoc w ciele; widno trwoga i obawa zagadały do duszy:

— Oszczerca! — Anno, pokaż mi.

Po wzdęciu się piersi widać, że całą mocą obrażonego uczucia chciał z ust wyprzeć te słowa, a ich brzmienia nie

miały w sobie cierpkiego i gromkiego dźwięku pogardy, obrazy albo nakazu, ale zakrawały na jękliwe zalęknienie się, albo na pokorną prośbę występnego a trwożliwego przestępcy. Tak były ciche, drżące, że skonały, nim doleciały do ścian komnaty.

Anna wskazała ręką na kominek:

— Tam, w ogniu. Adalbercie, nie wierzyłam, nie wierzę i wierzyć nie będę, — i podała mu rękę.

On znowu padł na kolana, ujął jej rękę, całował, ale drżał:

— Aniele, tyś moje bóstwo, ty nie wierzysz, obyś na chwilkę nie wierzyła, — i ku posadzce nurzył oczy, ku posadzce chylił czoło.

— Nie wierzę, Adalbercie, nie wierzę; wstań mój luby.

Głos to był pociechy, słodki, łagodny, nie lękliwego brzmienia, ale dźwięczny uczuciem. Oblicze dziewicy przyoblekło się w pogodę i oko pogodą zajaśniało.

Hrabia przyszedł nieść pociechę, opamiętanie Anny, a teraz przed nią klęczy i od niej odbiera pociechę. Dorotka myśli: «W jednej chwili taka nagła zmiana; jest w tem coś niepojętego, jest w tem jakaś tajemnica», — pragnie ją dociec, myślami się biedzi, a odgadnąć nie może.

W salonie pogadano trochę o nagłym przyjeździe i odjeździe panny Karszyńskiej, a potem przestano i wszyscy wyglądali ukazania się panny młodej. Ksiądz przeor przywdział już uroczyste przybory, w jednym z salonów ustawiono ołtarz Pański; u podnóża barwi się bogaty kobierzec, na ołtarzu złotolita lampa, na niej dwanaście srebrnych świeczników, a w nich złotem płoną jarzące pochodnie; za świecznikami na ścianie mili się oblicze obrazu Matki Dziewicy, trzymającej małego Zbawiciela w macierzyńskiem objęciu. Zdaje się, że anielskie wejrzenie Maryi Panny wygląda na ślubną parę, aby im błogosławić; zdaje się, że z włosków, z oczek Bożej Dzieciny wystrzela niebiańskie światełko, niby prośba do Boga Ojca, żeby dał błogie szczęście tym, co się korzą przed Synem i Matką. Na ołtarzu była i woda święcona, i psałterz i ewangelie; na srebrnych tacach pierścionki ślubne i ślubne rozmaryny białą

wstęgą powiązane; wszystko było w pogotowiu. Przyszedł pan młody, strojny, ale blady i czemś mocno zakłopotany, bo uśmiechowi musu bezprzestannie towarzyszyły roztargnienia wcale innego rodzaju, jak te, które napadają człowieka w chwili lubego oczekiwania przed progiem przybytku szczęścia. Hrabia to się smętnie zadumał, to zadrżał, jakby mu zimny dreszcz przebiegł za skórą; potem skinął głową i niezrozumiałym głosem mruknął sam do siebie, nawet się uśmiechnął; widno, że wydobywał z siebie wolę. Ktoby umiał z tych powierzchownych znaków czytać, co się dzieje w tle duszy, poznałby snadno, że hrabia nie miał dość woli, aby dziką bezczelnością zagłuszyć wszelką obawę; nie miał dość obawy, aby przez strach cofnąć krok w już rozpoczętej rzeczy. Nie był on namiętnym człowiekiem, żeby dał się unieść burzliwości krwi albo wyskokowi duszy; nierozmyślnie się wygadał z tego, co go dręczy. Nie był tą tkliwą a słabą istotą, co dla pociechy potrzebuje powiernika, a wiedział z doświadczenia swego i drugich, że chcąc wiecznem milczeniem okryć jaką tajemnicę, najbezpieczniej, nikomu a nikomu o niej nie mówić. Nikomu też nie powiadał, co w jego duszy, co w jego sercu się działo; co w nim się warzyło, nikt o tem nie wiedział, a on czekał i powtarzał sobie w myśli: «Jak się stanie, to zobaczymy.»

Wtem weszła panna młoda. Polotnie puszy się suknia biała, jak śnieg, i szeleści szelestem śniegu, i zasłona biała, i wstęgi, i trzewiki z białego atłasu; tylko warkocze kruczych włosów lśknią się przy tej bieliźnie, tylko ślubna korona zieleni się i bieli nad kruczemi włosami. Nie zdobi ją ni złoto, ni perły, ni drogie kamienie, ale błękitne oko, ale czoło omglone dziewiczym niepokojem, ale usta jak korale rumiane i zęby jednakie, piękne białym połyskiem. I ta kibić kształtna, wiotka, co oczy ku sobie nęci, od której oczów oderwać niepodobna, — i ten wyraz twarzy tchnącej lubością i tęsknotą zarazem, ta łza gwałtem cisnąca się do oka, ten uśmiech, igrający na ustach, — ileż w tem wszystkiem cudownego powabu? Czarowny urok owionął do koła dziewicę i ona była jak bóstwo nieba, zesłana na tę tu ziemię. O! najpiękniejsza wtedy dziewica, kiedy za chwilkę

przed ołtarzem ma ślubować wieczną wiarę wybranemu młodzieńcowi. I któryż młodzieniec widząc ją do ślubu idącą, nie westchnie i myślą nie pożałuje: «Jaka piękna! Szkoda, ona mogła być i moją.»

Marszałkowa popatrzyła na córkę i macierzyńska chluba zajaśniała w jej oczach; zbliżyła się do pani Żelowskiej:

— Ma bonne dame, voyez, jaka ona piękna! imaginez vous, że doprawdy c'est une odalisque.

Pani Żelowska zakręciła głową:

— Oh oui, une véritable odaliste. A hrabia Adalbert n'est il pas un homme distingué? Voyez la noble passion de sa figure. Kochana pani, wykonałaś wielkie dzieło; c'est digne d'une grande dame comme vous.

Uśmiechnęła się marszałkowa, podkadzona w swojej miłości własnej; jednak przez zęby po cichutku powtórzyła parę razy: — Une odalisque et non une odaliste.

Hrabia zbliżył się do Anny i rzecz dziwna, słowa do niej nie przemówił, a nawet na nią nie śmiał spojrzeć. Ona zagadała do niego kilka słów, on odpowiedział, ale oczów nie podniósł w górę; może piękność oblubienicy go oczarowała, a może inna jaka przyczyna nagle zesłała na niego ten srom od dawien dawna mu nie znany.

Niebawem kochankowie klęczeli przed ołtarzem, ksiądz odczytał modlitwę, ręce ślubujących stułą związał i w głos odmawiał małżeńską przysięgę. Anna powtarzała słowa przysięgi cichym, ale słodkim i pewnym głosem; głos hrabiego był ucinkowy, nieśmiałego brzmienia, a tak słaby, że zdawał się być cichszym od głosu dziewicy. Już kapłan pierścień ślubny wkładał na palce zaślubionej; 'cichość urocza była w komnacie, tak, iż ucho zdawało się słyszeć jeszcze ostatki konającego dźwięku złotego pierścienia ze srebrnej tacy.

Wtem nagle z nadworu dolatywał jakiś dźwięk niewyraźny, coraz bliżej, coraz bliżej, wyraźne pobrzękiwanie pocztarskiego dzwonka, a takie nierówne, a tak gwałtowne wyrywane ze śpiży; musi poczta wiatrem lecieć. Ręka dziewicy się osunęła i z palców kapłana ślubny pierścień padł na kobierzec, dwa razy koziołkiem się zatoczył i skrył się pod

kolano pana młodego, a ten nie miał czy siły, czy przytomności, aby go podnieść.

Pocztarski dzwonek głośno zabrzęknął, psy zaszczekały, zaskowyczały, na śniegu z głucha zatętniły kopyta końskie i ucichło; tylko rozgłos dobrzękuje i psy doszczekują.

W komnacie rozruch, Anna zbladła: — Adalbercie! — i osunęła się na ramię oblubieńca. On klęczy, wszyscy ku drzwiom się obrócili, a kapłan zdziwiony w miejscu przed ołtarzem stoi.

Słychać jak od sieni drzwi jedne po drugich nagle skrzypały i nagle się zatrzaskiwały. Marszałkowa sama drzwi otworzyła od ślubnej komnaty i w tył się cofnęła:

— Mój mąż!

Anna przeraźliwie jęknęła: — Mój ojciec, Adalbercie! — i omdlała, a krucze włosy musnęły kobierzec i śnieżna szata słała się na kobiercu.

Marszałkowa rzuciła się ku niej: — Moja córko! mój mężu! — i podnosiła ją w swojem objęciu.

Hrabia wstał z klęczek i stał gdyby wkuty, a twarz jego pobielała i była nieruchoma, jak z kamienia.

Marszałka postać była groźna, a oblicze gniewne: widzi żonę, córkę na kobiercu; nikomu słowa nie powiedział, nikogo nie powitał, tylko wprost szedł do hrabiego, rękę zacisnął w kułak i ramię podniósł do góry:

— Zbrodniarzu!

Pani Żelowska krzyknęła:

— Monsieur le maréchal, que faites vous? Au nom de Dieu, Bronislas, o! ratuj, ratuj.

Groźnicki o bohaterce w Hiszpanii zapomniał, nie ratował hrabiego, tylko ciotunię coprędzej z komnaty wyprowadzał.

Ksiądz w kapłańskich szatach zeszedł z podnóżka ołtarza i chwycił za ramię rozgniewanego ojca:

— Panie marszałku, w imię Boże, stój! to twoja córka, to twój zięć.

Barowicze i Krasnopolscy się zbliżyli.

Marszałek jakby z letargu się ocknął, spojrzał do koła:

— Moja córka... mój zięć?... nie, nie... nigdy!

Wyrwał ramię z rąk księdza, zachwiał się, zatoczył się i usiadł na krześle.

Twarz mu zaczerwieniała, oko krwią zaszło, a cały się trząsł z gniewu, tak, iż w wymawianiu zęby o zęby stukały:

— Moja żona... moja córka... on mój zięć... nie, nie... on zbrodniarz — i chciał się podnieść, a nie mógł.

Dorotka z panną Anielą wyniosły z komnaty Annę; ona już przychodziła do siebie; głosem rozdzierającym serce wymówiła:

— Mój ojcze, przebacz, przebacz... moja matko... Adalbercie, ja kocham... — Oczy się łzawiły, pierś westchnieniami się wzdymała, a zasłona i ślubny wianek upadły i zostały na kobiercu.

Macierzyńska troskliwość przestrach odgania z niewieściego serca. Marszałkowa odprowadzała córkę, tuliła jej żal i dawała rozkazy:

— Anno, rozbierz się zaraz i połóż się w łóżko. — Dorotko, tylko żeby ciepło było w pokoju; zgotować pomarańczowego kwiatu. — Panno Anielo, proszę, nie odstępuj Anny — a potem wróciła do męża. Po pierwszem spojrzeniu wyraz macierzyńskiej troskliwości z twarzy ustąpił miejsca innemu uczuciu:

— Mój mężu, Antoni!

Od dawna nie wymawiała tych słów i takim głosem i przystąpiła do niego.

On nic nie gadał, oniemiał, tylko bełkotał niezrozumiałe słowa; wyjął jakiś papier z pugilaresu, otworzył i pokazał hrabiemu. Hrabia stał o cztery kroki, a pismo mu mignęło w oczy, jak błyskawica przedpiorunowa. Nagle z osłupienia się wyrwał, czy papier chciał wydrzeć z rąk marszałkowi, czy paść przed nim na kolana, naprzód postąpił.

Marszałek zmiął papier i w kułaku ręki zacisnął, a piersi jego zdobyły się na głos:

— Precz! precz! — i wpadł w niemoc, a kułak zaciskał.

Ksiądz przeor, co z tego wszystkiego nic a nic nie rozumiał, pierwszy zawołał: — Po doktora niech panowie wyjdą na miłość Boga, pan marszałek mocno chory — i wziął go za rękę.

Goście powychodzili, hrabia Adalbert postał trochę:

— Pani! fałsz, oszczerstwo, chcą mnie zgubić.

Jedno słowo rwało się od drugiego i wszystkie drgały, czy z gniewu, czy z przestrachu. Wyszedł z komnaty, drzwi nawet nie zatrzasnął za sobą.

Ksiądz gada do marszałka, on nic nie rozumie.

Kamerdyner rozpina suknie, on na wszystko pozwala, tylko papier coraz mocniej ściska w kułaku.

Marszałkowa zapomniała o francuzczyznie i zwyczajnych dąsaniach się, w ręce całuje męża:

— Mój mężu, mój Antoni, ja nieszczęśliwa — przebacz mi, przebacz, mój mężu!

On na nią spojrzał nie z gniewem, ale tak smutnie i boleśnie, że aż zapłakała, a księdzu i Albertowi łzy w oczach stanęły. Marszałek jednak słówka nie przemówił.

XXI.

Cóż to za sanie za saniami, jakby kuligiem snuły się szlakiem z Syngur ku Berdyczowu? To goście wracali ze ślubnych godów od pana marszałka.

W saniach, co przodem biegły, siedział pan młody, ale obok niego w miejscu oblubienicy usadowił się stryj olbrzymiej postawy.

Hrabia Adalbert milczał, ledwie od czasu do czasu słówko odpowiedział, a stryj ciągle gadał:

— Bratku, tak się z dobrą szlachtą nie robi, choć on Ostrożalski, ale i my Barowicze. Heroldya przyznała nasze szlachectwo za równie dobre. I wybijemy się, i wyprocesujemy się; już po ślubie, niema rady, żonę oddać ci musi. Ot wiesz co Adalbercie, rozmyśliłem się, wracajmy, może już wyzdrowiał i bratku rozmówmy się z tatką; no a co, wracajmy?

— O! nie, nie! jedźmy dalej.

— Ba, kiedy jedźmy, to jedźmy, ale mnie się zdaje, bratku, że to nie ładnie, tak się dać wygonić. Ludzie Bóg wie co będą o nas gadali; zresztą w takich rzeczach nie trzeba slamazarnie działać. Ale powiedz, mój Adalbercie, co on to ci pokazał za papier?

— To oszczerstwo, kłamstwo bezecne.

Na nieboszczyka twego ojca. Boże, odpuść jego

duszy! Prawda, że nieboszczyk brat czasami pozwolił sobie trochę.

— Proszę stryjaszku, nie mówmy o tem.

— Nie mówmy, zgoda; ale bratku, szlachcic ciebie nazwał zbrodniarzem, trzeba go nauczyć.

— On niewinien.

— Zapewnie to jaki doradzca pana teścia; to pewnie sprawka tego Starolackiego; bratku, panny nie dostał, to się mści.

— O, nie.

— Któżby to u licha pisał o takich rzeczach?

— Niewiem.

— A czytałżeś przecie?

Hrabia milczał.

— Bratku, ja też mówię, na co panu Ostrożalskiemu pisma, kiedy i on tak dobrze jak inni, jak my, wie o sprawkach nieboszczyka brata a twego ojca?

— Przestańmy o tem mówić.

— Coś to w tem innego być musi.

— Pogadamy potem.

— Ale trzeba się naradzić, co tu robić?

— Zobaczymy.

I obydwaj zamilkli.

W karecie na saniach, co takoż tym samym szlakiem się ciągnęła, pani Żelowska pokręcała głową:

— Eh bien Bronislas, co to wszystko znaczy?

— Hem, ma tante, kiedyśmy byli w Madrycie...

— Mais laissez donc votre Madrid, mówmy o Syngurach.

— Chciałem powiedzieć, że coś podobnego się stało z Donną Maryą, Emanuelą, Izabellą, Chrystyną...

— Assez, assez z tą litanią; mów, co ci się zdaje o tem wszystkiem, co marszałek narobił?

— Hem! mnie się zdaje — ja niewiem — to ptaszek do szubienicy.

— Qui donc, marszałek? on taki dobry zawsze, co się jemu stało? je tremblais de tous mes membres.

— Nie, marszałek, to szlachcic, wyszumi się, a ciocia

z marszałkową znowu go w szlafmycę przystroicie; ale ten Adalbert, to ptaszek.

— Cependant il est votre ami.

— Jak i cioci.

— Toujours nous sommes pour quelque chose dans ce drame.

Groźnicki schylił się, niby chciał na ucho szepnąć ciotuni, ale tak głośno wymówił, że i panna Aniela to słyszała:

— Spłaciliśmy sukcesorów nieboszczyka jenerała, mamy kapitalik — dodał głośno — teraz niech robią, co chcą.

— C'est vrai qu'ils s'arrangent; ale tego wszystkiego musiał narobić albo Starolacki albo ten pan Szwarcwald.

— Ma tante — hem — ten Adalbert może jakie — to syn ojca?

— Jak ci się zdaje; może jaka gra w karty, albo zabójstwo, albo uwiedziona kobieta.

— Hem! — może jedno i drugie — i trzecie — to ptaszek!

— C'était vraiment dramatique. Ojciec w gniewie, panna omdlona, my en rumeur, i jak się to wszystko skończy?

— Niewiem, hrabia powinien utargować za rozwód, ale to uczciwie i kwita.

— Fi donc, Bronislas, ce n'est pas chevaleresque. Angélique, a ty nie słyszałaś czego od Anny?

— Ja ciociu słyszałam tylko te słowa: «O! czyżby to było prawdą, Adalbercie! Adalbercie! tyżbyś miał być takim?»

Tu opowiadała, co słyszała od Dorotki i o tem, co się stało po wyjeździe panny Karszyńskiej.

I ciotka i siostrzeniec słuchali pilnie.

Groźnicki musnął wąsa:

— Sacre bleu! to pani chorążyna tych wszystkich korowodów narobiła! Ale to dziwna; zdaje się, że małżeństwem hrabiego Starolacki był zapewniony na zięcia dla niej. Hem!

— Ça commençe m'intéresser — zawołała pani Żelowska — w tem wszystkiem jakieś tajemnice, o których niewiem, a o których muszę wiedzieć. Ecoutez Bronislas, staraj się wybadać hrabiego, et moi je retournerai à Syngury, jak tylko pierwszy gniew marszałka przejdzie. Angélique, ty mnie dopomożesz. C'est arrangé, Bronislas.

— Ma tante, dobrze, byle to nam na korzyść wyszło, bo w tych sprawach ciekawości czasem goręcej, jak było pod Saragosą, sacre bleu!

I rozmawiali o tej przygodzie, nie z tem uczuciem użalenia się i smutku, które płynie z prawdziwej przyjaźni, ale z tą żądzą ciekawości, co dobrze sprawdza gminne przysłowie: «Cudza bieda ludziom zabawką.»

Panowie Krasnopolscy jeździli od sąsiada do sąsiada i opowiadali, co się stało w Syngurach, a wszędzie ich zapraszano, aby pozwolili konie wyprząść, zostali na noc, na obiadek, albo jeszcze choć chwilkę zabawili. Oni biedni myśleli: «Ludzie z nami się godzą, nabieramy wziętości», a nie przyszło im na myśl, że ta uprzejmość ludzka nie dla nich była, ale dla wiadomości, jaką rozwozili.

Ksiądz przeor kodeński został przy chorym, póki doktorów nie przywieziono, póki się nie zapewnił, że życiu nie grozi niebezpieczeństwo. Potem powrócił do siebie i pisał do kapituły do Łucka doniesienie o całem zdarzeniu; on sam nie wiedział, jak ma te rzeczy uważać: ślub był danym według praw kościoła, nie zostało tylko wykonanem nałożenie ślubnych pierścieni i akt ślubny nie był spisany. Zapytywał, czy kapituła uzna ślub za ważny, czy nieważny, i jakie mu da rozkazy.

A w syngurskim dworze? — smutno, cicho, głucho. Marszałek chory; choć sztuka lekarska zwalczyła uderzenie krwi, jednak mowy nie powróciła. Leży na łożu, na żonę patrzy, ale do żony przemówić nie może; ów papier tajemniczy wsunął w pugilares pod poduszki, a pokusa nikomu nie przyszła, żeby go ztamtąd wykraść.

Marszałkowa już nie ta niewolnica mody, ani nadąsana niewiasta, co chce być samowładnią panią w domu, — ale

tkliwa małżonka, czuwa nad mężem i pewnie szczerze chciałaby poprawić owo nieposłuszeństwo mężowskiej woli. Ona nie rozumie, co to za złe w tem się święci; ale słowo «zbrodniarz» wymówione w szczerym gniewie przez męża, już jest dla niej dostatecznem, aby żałowała swojego postępku; bo to powiedział człowiek, którego ona kochała, który zastąpił miejsce jej rodziców, jest jej mężem i ojcem ukochanego dziecięcia.

Niewiastę wychowaną w prawdzie i cnocie, później sprowadzoną na drogę błędu, nagły niespodziany wypadek opamiętać może. Bóg daj tylko na zawsze. Na nieszczęście błędy bezprzestannie nawiedzają dom, który raz tylko był im gościną; trudno, bardzo trudno ich się pozbyć.

Anna nie chora, po kilkagodzinnym spoczynku wstała z łoża; sama w sobie myśli: «Śnię, marzę.» Ojcu pokazać się nie śmie, a troska się o jego zdrowie; o Adalbercie zapytać się nie śmie, a kocha. O! i jak kocha, jak kochanka, jak małżonka, któremu ślubowała już miłość, a teraz wiarę przed kapłanem Bożym. Te ślubowiny, to zjawienie się ojca, to zniknięcie Adalberta, czy nie sen to? sama siebie zapytuje i sama sobie odpowiada: «O, nie sen, wszystko to było na jawie; i ja nie umarłam, i serce mi nie pękło? Onby miał być zbrodniarzem? on mnie tak kocha, ja go tak kocham; o! nie, on nie zbrodniarz. Czemuż mnie samą zostawił? gdzie zniknął? może umarł z rozpaczy? może mu co zrobili? Okrutni! oni mi prawdę nie powiedzą, napróżnobym ich pytała.» Łzy uronić nie mogła; nie uklękła do modlitwy, najlepszej ucieczki w smutku i w rozpaczy, tylko przewracała stronnice ulubionego romansu Leon Leoni i jakby ztamtąd czerpała natchnienia; pokilkakrotnie wymawiała:

— Adalbercie! Adalbercie! ja twoja na zawsze.

Twarz jej była blada i usta blade, oko prawie nieruchome, a źrenica sucha; pierś nie wzdymała się westchnieniami, tylko zdaje się, że żyły drgają po za skórą, i nic więcej. Ta sucha utajona rozpacz, co czasem cichem słówkiem się objawi, jest zwierciadłem okropnego cierpienia,

i swoim odblaskiem smutne uczucia niesie w serce tych, co na nią patrzą.

Dorotka patrzyła na Annę, załamywała ręce i powtarzała:

— Biedna pani! — biedna pani!

XXII.

Parę tygodni upłynęło od owych ślubowin dziwnego rodzaju, a zdrowie marszałka wcale się nie polepszało. W pierwszym popędzie gniewu paraliżem rażony, mimo zabiegów doktorskich rozumów, nie mógł zupełnie odzyskać mowy. Trudno mu było głos z piersi wydobyć, każde słowo przebąkiwał jak dziecko; widno, że to mu bardzo przykro, bo aż łzy w oczach stawały, i rzadko kiedy przemówił. Ale choć zaniemiał i rękom i nogom paraliż odjął władzę, jednak nie skarżył się, żadną wymówką nie zakrwawiał serca żony i córki; cierpiał i milczał.

Pięć dni ubiegło od nowego roku. Był to poniedziałek; mroźno na dworze, gdzie rzucić okiem, wszędzie biało a biało. Koło łoża chorego siedziała marszałkowa i okiem troskliwej czułości rzucała to na męża, to na zegar; tuż podle na małym stoliku na tacy stały flaszeczki z lekarstwem, kubek, łyżka stołowa i woda. W jednym kącie pokoju pan Nowosiołkowski grał w maryasza z księdzem przeorem kodeńskim. Nowosiołkowski od pierwszych dni choroby marszałka ciągle bawił w Syngurach, a ksiądz przeor dziś przybył z wiadomością, że chcąc uzyskać uznanie nieważności ślubu, trzeba kołatać do łuckiej kapituły, bo ztamtąd nic jeszcze nie odpowiedziano, a on się obawiał, żeby Barowicze nie robili jakich zabiegów. Marszałek słuchał tego wszyst-

kiego, marszczył brwiami, oczyma ku poduszce obracał i z ciężkością przebełkotał:

— Tam... mam — poczerwieniał nawet.

Marszałkowa zaraz mu podała kubek z lekarstwem:

— Antosiu, napij się.

On wypił, co mu podano i nic nie rzekł.

Weszła także i Anna do pokoju i swoim zwyczajem siadła koło kominka; twarz jej była blada, oko zmęczone, nie łzami, ale głuchą i suchą zgryzotą. Ubrana jak zawsze, lecz w całym jej stroju, w ułożeniu kruczych włosów widać, że pokojówka wszystko zrobiła, a ani znaku nie było tego natchnienia, przez które każda niewiasta odgaduje, jak i w czem jej do twarzy; ani znaku, że po ubraniu się przejrzała się w zwierciadle i własną ręką poczyniła te małe poprawki i dodatki, prawdziwe arcydzieła niewieściego stroju, a jednak to obyczaj każdej kobiety. Rzadko i bardzo rzadko ją napadają te chwile, w których obumiera chęć podobania się; wtenczas serce musi być w bolesnem udręczeniu. Nikt tego nie zważał w Annie, wszyscy mówili: «Nie płacze, nie narzeka, chwała Bogu, to przejdzie. Ona milczała i dumała, wzrokiem zdawała się błąkać po błękitnawych płomieniach palącej się olszyny, a na jej twarzy przebłąkał się promyk zachodzącego słońca i smutnie objaśnił smutne lice dziewicy. Sam ojciec tylko to dostrzegł, bo popatrzył na nią kilka razy, potrząsł głową i oczy mu łzami zapłynęły.

Pięć osób w pokoju, a nie można skleić żadnej rozmowy, jeżli kto kilka słów powie:

— Ładny wieczór.

— Słońce czerwonawo na wiatr zachodzi.

— Komu w grze się szczęści?

— Ksiądz przeor wygrywa.

— Jak tu ciepło.

— Muchy odżyły.

— Nie widać jeszcze Szmita.

— I kozak z apteki nie powrócił.

I na tem koniec, rwie się rozmowa i wszyscy milczą; mogliby rachować tykotanie zegaru i każdy szelest karty na stół rzuconej. A to słońce zachodzące, na dworze te bielidła

śniegu miejscami ćmiące się cieniem, ten mgławy błękit nieba, ta cisza w pokoju i w powietrzu, to słanianie się płomieni ognia w kominku, milczenie wszystkich ust, brak uśmiechu na wszystkich twarzach, ciągłe pozieranie oczów to w okno, to na kominek — wszystko to sposępiało myśli i lało w dusze smutek ponury.

Ksiądz przeor spojrzał w okno:

— Ktoś jedzie.

— Czy nie pan Szmit?

— O, nie; pięć koni karych, furman z konia.

Nowosiołkowski zażył tabaki:

— Dalibóg, że to Starolacki, jego konie.

Marszałek dwa razy głośno wymówił:

— Jan! Jan!

Pani Ostrożalska do męża się obróciła, a na jej twarzy było widoczne błaganie, co lepiej i wyraźniej jak usta mówi: «Daruj! daruj!» Wstała z miejsca:

— Chwała Bogu, on ciebie rozweseli, Panie Nowosiołkowski, proszę pana za pięć minut dać lekarstwo; ja pójdę i przyprowadzę pana Starolackiego, jak tylko się ogrzeje — i wyszła.

Dwa razy wymówiono imię Starolackiego, a Anna się ani zarumieniła, ani zadrżała, tylko była pogrążona w dumaniu, jakby jej ucho nic a nic nie słyszało.

Przestano grać w maryasza. Nowosiołkowski zbliżył się do kominka:

— O czem pani tak myślisz?

Anna spojrzała na niego, chciała się uśmiechnąć, a nie mogła.

— O niczem.

— Pan Starolacki przyjechał.

— Przyjechał? — i znowu oczy obróciła ku ogniowi, a dźwięk jej głosu miał w sobie coś tak martwego, iż Nowosiołkowskiemu odechciało się przerywać rozmowę jej dumania.

Wszedł podkomorzyc. Jakże on zmizerniał, wychudł! zdaje się, że przez te krótkie kilka miesięcy sfrymarczył przynajmniej dwadzieścia lat młodego życia.

Marszałek potrząsł głową i westchnął, dla tego, że widzi taką zmianę zdrowia w ulubionym młodzieńcu, i dla tego, że nie może go powitać uściśnięciem ręki, pocałunkiem po staropolsku.

— Jasiu! tyś chory.

— Ja zdrów, ale pana marszałka zdrowie?

— Źle — rzucił wzrokiem ku Annie — biedne dziecko! W tych dwóch słowach, w tem brzmieniu chwiejącego się głosu opowiedział całe nieszczęście córki, całe cierpienie ojca.

Starolacki całując rękę Anny, spłonął rumieńcem tem żywszym, że się on odbił na bladej i chudej twarzy. Anna rękę mu podała, nie zmieniła lica i oboje słowa do siebie nie przemówili.

Ten obrzęd powitalny jeszcze więcej smutku naniósł, jak go było przedtem.

Później na przemiany to ksiądz przeor, to Nowosiołkowski wypytywali o podróży, o Odessie. Starolacki opowiadał, a opowiadanie obarwiał posępnemi obrazami, dzikiemi uczuciami, jakby myślą snuł dumkę ukraińską.

Zegar wybijał kwadranse, godziny, czas płynął i jakoś utrzymywała się jedna i taż sama rozmowa. Kilka razy oko Anny inaczej spojrzało i twarz chwilkami zmieniała tę obojętną nieruchomość, jakby gra uczuć ze snu przebudzała się. Wtem Nowosiołkowski przerwał:

— Gdzież został Władysław?

— Pojechał zwiedzić zakaukazkie kraje.

— A ten pan Szwarcwald?

Na to imię Anna zadrżała, marszałka czoło spochmurzało, a podkomorzyc rzekł ucinkowo:

— Z Władysławem pojechał.

— W tej porze jechać na Kaukaz, na to trzeba być Niemcem.

Starolacki milczał, a Anna wstała i wyszła z pokoju.

Po zamknięciu drzwi pan Ostrożalski przemówił:

— Biedna... Janie... wiesz?

Pani marszałkowa podchwyciła cichym i nieśmiałym głosem:

— Pan Jan o wszystkiem wiedział.

— Wiedział... nieszczęście... księże... — i ksiądz przeor zbliżył się — pod poduszką... weź w pugilaresie papier... daj Janowi... czytaj.

Starolacki przeczytał:

— Ja wiedziałem.

— I nic nie powiedział?

— Pisałem do... do córki pana marszałka. — Widać nie śmiał mówić do panny Anny, a nie chciał powiedzieć do pani Barowiczowej.

— Pisałeś? żono!

— Ja nic o niczem niewiem.

— Daj... czytaj.

Starolacki podał papier marszałkowej i ona go przeczytała.

Czegóż tak nagle zbladła? papier z rąk wypuściła, dłoniami zakryła oczy:

— Ja nieszczęśliwa, zgubiłam moje dziecko! jakiż to zbrodniarz!

— Kobieto, nie rozpaczaj... jest rada... do konsystorza... przed sąd... czytajcie.

I ksiądz i Nowosiołkowski przeczytali ten nieszczęsny papier.

Ksiądz rzekł:

— Ślub nieważny, jeźli to prawda, ale trzeba dowodów.

Starolacki odpowiedział:

— Będą.

Nowosiołkowski z gniewu się nie posiadał:

— Przed sąd łotra, niech w więzieniu umiera.

I chory głosem mocnym a rwanym powtarzał:

— Przed sąd, przed sąd, ja się zemszczę, zabiję!

Marszałkowa zawołała:

— O! zemścić się, zemścić, zaraz, panie Janie, panie Ignacy, zemścić się — mężu, uspokój się.

Ksiądz przeor nawet się oburzał; na twarzy Starolackiego tylko nie widać gniewu, ale smutek; przemówił cichym głosem, jakby sam z sobą rozmawiał:

— Zemścić się, zemścić się, ale ona go kocha.

Wszyscy mimowolnie powtórzyli:

— Ona go kocha.

Te słowa pieczęć milczenia przyłożyły do wszystkich ust i było długie milczenie. Doktor przyjechał, chorego gorzej zastał, i o nieszczęsnym papierze tego wieczora nie gadano.

XXIII.

Noc nie dobrze przeszła, chory mocno cierpiał. Pani marszałkowa całą noc przy jego łożu czuwała i z mężczyzn żaden się nie rozbierał.

Anna wyszedłszy z pokoju ojca, nie ukazała się już więcej; nawet na wieczerzę nie przyszła, kazawszy powiedzieć, że cierpi mocny ból głowy. Matka nie miała czasu rozmówić się z córką, dowiedziała się tylko o jej zdrowiu i poleciła Dorotce, aby nocowała w pokoju swojej pani.

O samej północy Starolacki wyszedł do jednego z salonów, czy z przypadku, czy umyślnie do tego, nad którym było mieszkanie Anny. Cicho było do koła, usiadł na kanapie, a raczej rzucił się na nią i nic więcej tylko powtarzał sobie bezustannie w myśli: «Ona go kocha, ona go kocha.» I po chwili zdało mu się, że słyszał częste stąpanie kroków nad sufitem, nawet mniemał, że jęk płaczu dolatuje jego ucha.

Wstał, słucha, niewyraźnie, ale zdaje mu się, że płacz; namyślił się, wziął świecę i szedł, dokąd? do pokoju Anny: może ona chora.

Już był pode drzwiami, i ręki mu zabrakło do pokręcenia zamkiem; drżał, jakby całą noc stał na mrozie, a serce mocno biło w łonie i tak koło niego gorąco, jakby przytykało do zarzewia ognia. Wyraźnie słyszał głos Dorotki:

«Na miłość Boga, co pani chce robić?» I głos Anny: «On mój mąż...» i znowu po chwili słowa pokojówki: «Ja pani nigdy nie opuszczę.» Wyraźnie dosłyszał, że Dorotki mowa była przeplataną łkaniem, a Anny głos był smutny, cichy, ale słychać, że łzy nie cisnęły się do oczów. Kroki zbliżały się ku drzwiom; Starolackiego czy trwoga, czy nieśmiałość opanowała, czy zagadała do duszy miłość własna bojaźnią upokorzenia, aby ta, która pomiotła jego sercem, nie widziała jego troskliwości o siebie, spiesznie się oddalił. Nawet słyszał otworzenie drzwi za sobą; na krętych schodach mógł widzieć, nie będąc widzianym, a nie obejrzał się. Wrócił do salonu, znowu rzucił się na kanapę, znowu słuchał i do koła głuche było milczenie.

Nazajutrz rano pierwsza osoba, którą zdybał, była pani marszałkowa; przywitał:

— Jakże zdrowie pana marszałka?

— Ma się lepiej.

W oczach, na twarzy jawna oznaka, że chce o coś zapytać, a nie śmie. I marszałkowa chciałaby coś powiedzieć, a nie odważa się; nareszcie wzięła za rękę podkomorzyca:

— Panie Janie, ja zawiniłam.

On ją pocałował w rękę:

— Pani marszałkowo, ona mnie nigdy nie kochała, ja sam temu jestem winien; trzeba było kochać, a nie uczyć.

— Miejmy nadzieję, wszystko się zmieni.

— Niewiem nic.

— Ja idę do niej, trzeba wszystko powiedzieć.

— Niech pani nic nie mówi, nie uwierzy, albo zachoruje; mnie nie uwierzyła, gdy ja pisałem. Ona go bardzo kocha.

Te ostatnie słowa z goryczą wymówił.

— Prawda, że nie uwierzyła, ale cóż robić?

— Ja jadę do niego, zmuszę, że wszystko wyzna i sam naprawi złe — ale na miłość Boga, niech pani nic nie mówi.

— Ależ to wszystko musi się wykryć na jaw.

— Niech wyjdzie, ale w swoim czasie.

— O! ta tajemnica znowu nam jakie nieszczęście spro-

wadzi! Żeby był mój mąż nie tail nic, nie byłoby tego wszystkiego.

— Pan marszałek nie mógł inaczej zrobić, zaklinano go o tajemnicę; i teraz byłby nam tego listu nie pokazał, żeby w Łucku inaczej postąpiono.

— Cóż teraz będzie?

— Ja pani przyrzekam, że będzie wolną albo szczęśliwą; ja zaraz jadę.

— Niech pan prędko powraca.

Chciała prosić, żeby życia nie narażał, ale nic nie powiedziała i poszła do córki.

Starolacki idąc dawać rozkazy, aby mu konie zaprzęgano, myślał:

— Co za zmiana! Gdzież się podziała ta francuzczyzna w mowie, ta moda dąsania się? Nieszczęście najlepszą szkołą, ale nie dla wszystkich. Ja kocham! — i jakieś dzikie, rodzime uczucie zawitało do serca — teraz mam prawo do pomsty, jego albo moje życie, inaczej być nie może.»

Głośno dał rozkaz, a spieszno mu było, jakby jechał na jakie lube gody.

Wracając do salonu, spotkał panią marszałkowę; blada, strwożona, załamywała ręce:

— Niema! niema!

— Co pani jest?

— Anny niema.

— Anny?

— Anny niema, Dorotki nie ma, chodź pan! — i prędko szli oboje do pokoju Anny.

Tam żywej duszy niemasz, a wszystko w porządku, wszystko na swojem miejscu; łóżko posłane, pawilon nasunięty, resztki spopielałego ognia na kominku i w lampie cień światła dogorywa. Marszałkowa otworzyła drzwi od buduaru:

— Patrz pan!

Na gierydonie leżał rozłożony romans Leon Leoni, a na nim dwa listy; widać, że już je marszałkowa czytała i nazad położyła na książce:

— Niech pan czyta — a sama usiadła i sparła głowę na rękach.

Starolacki czyta — to pismo Anny:

«Matko! moja matko! przebacz, ojcze mój, przebacz! ja go kocham, ja jego żona, przed Bogiem przysięgłam na miłość, wierność i posłuszeństwo; on żyć bezemnie nie może, onby umarł. Czytaj, matko moja, jak on błaga! Serce mi się rozdziera opuszczać ojca słabego. Źli ludzie spotwarzyli go, on nic nie winien, on mnie tak kocha. Ja wrócę z nim razem, z moim lubym, z moim mężem, u nóg waszych będziemy błagać przebaczenia, wszak my wasze dzieci. Matko! błagaj ojca, błagaj wszystkich, on niewienien, ja niewinna; my się tak kochamy, my was kochamy. Matko! bądź spokojna o mnie, za chwilkę z nim będę i wrócimy; nie gniewaj się na mnie, ty mnie tak kochasz, ja ciebie tak kocham; ty przebaczysz twojej Annie, i ojciec przebaczy, on dobry. Dorotka zemną jedzie, ona nie chciała mnie opuścić. Przysięgam ci mamo, ona o niczem nie wiedziała, zupełnie kto inny oddał mi list Adalberta. Matko moja, nie gniewaj się na twoją Annę.»

Po kilkakroć razy każde słowo tego pisma przebiegł okiem Starolacki; w sercu mu boleśnie, cierpko; twarzą jak mógł usiłował pokryć uczucia duszy, przez zęby przecedził wyrazy:

— Ona go kocha; jego zabić, to ją zabić.

Wziął drugi list, to od hrabiego:

«Anna! ma bien aimée — mon épouse, mon ange! Oni chcą nas rozłączyć; oni okrutni, nie wiedzą, co to miłość, co to kochać. Anno! i tyżbyś miała zezwolić na to, co oni chcą? O! nie; serce moje mi mówi, że ty nie możesz być wiarołomną. Dziś o północy za ogrodem naprzeciw altany czekam ciebie. Jeźli nie przyjdziesz, trupa mego tam znajdą. Na miłość moją ku tobie się klnę, że po północy albo ciebie będę widział, albo życie sobie odbiorę. Anno!

dziś albo nigdy! Au revoir ou adieu — ton époux, ton amant — ton esclave

Adalbert.»

Zgrzytnął zębem:

— Nikczemny!

Oko mu zabłyszczało i twarz zakraśniała. W mgnieniu oka z tego zmizerniałego człowieka przeobraził się na młodzieńca dzikiego zapału, a może dzikszego jeszcze uczucia. Na ziemię cisnął ulubioną książkę Anny, jakby to ona temu wszystkiemu była winną:

— Ja jadę — i wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy marszałkowej, nie czekając żadnego słowa z jej ust, a ona matka Anny.

Ona jak w osłupieniu siedziała czas jakiś, potem poczęła równie płakać i siebie i wszystko obwiniać — spłakała się. Łzy musiały spłukać te pierwsze chwile rozpaczy, co szaleństwo i niemoc kojarzą w parę, a powinność matki zawołała o swoje prawo. Wstała, naradzała się z księdzem przeorem, z Nowosiołkowskim i dawała rozkazy, choć jej boleśnie na sercu i łzawo w oczach. W tych rozkazach, w tych rozporządzeniach najmniejszej rzeczy nie zapomniała, bo jej dziecko nad przepaścią, a ona matka.

We dwie godziny później marszałkowa jak zwyczajnie dawała do zażycia lekarstwo choremu mężowi. On wypił i popatrzył do koła pokoju:

— A Jan?

— Pojechał do Berdyczowa, ale powróci.

— A Ignacy?

— Na kilka godzin do domu się wyprosił.

— A ksiądz?

— Przysłano po niego z Kodni.

— A Anna?

— Pojechała na przejażdżkę do pani Karszyńskiej.

— Sama?

— Z Dorotką.

— Biedne dziecko!

— Biedne dziecko — powtórzyła marszałkowa.

Marszałek potrząsł głową:

— My sami teraz.

Pani Ostrożalska odwróciła twarz od męża, a cicho, na pół z płaczem odszepnęła:

— Teraz sami.

Marszałek tego nie zważał, nie słyszał, ale milczał.

XXIV.

Po ubitym szlaku konie szparko jak ptak leciały, a Starolacki nie narzekał na Annę, nie złorzeczył hrabiemu, tylko cały swój gniew wywarł na książki. Myślał:

— Prawdę powiedział nieszczęśliwy Foscolo, że obliczywszy złe i dobre książkami naniesione rodowi ludzkiemu, trzeba przyznać, iż owoc oświaty, zerwany przez Ewę, był podarkiem szatana. Dzieła rozsądku mówią tylko do rozsądku; dzieła szału i namiętności głaszczą wyobraźnię, a ta pieszczona dziecina samowoli i bujności serca w młodocianych latach wielmożnie rządzi i myślami i czynami człowieka; i jak ona ukształci jego pojęcia, takiemi kształtami odbiją się one na jaw życia. Niestety rozsądek najczęściej za późno przychodzi, i kiedy żar życia zaczyna się spopielać, wtenczas rozumienie zdrowych rad nie na wiele się przyda. Dzieła szału i namiętności głaszczą chuci człowieka, bo one w zgodzie z rodzimem jego uczuciem śpiewają jedną i tęż samą dumkę: «Ja chcę i zrobię» — dzieła rozsądku wspak temu uczuciu powtarzają: «Tak powinno się robić», a więc każą zaprzeć się tego lubego: «Ja chcę.»

Tak nieszczęśliwy kochanek przemyśliwając nad dolą rodu ludzkiego, rozrywał swoje własne cierpienie. Dotąd jeszcze nie robił rozbratu z nadzieją; zawsze na końcu każdej osnowy myśli: jak to będzie, było kiedyś, ona może być moją.

Teraz ta mdła nadzieja zagasła. Anna żyje dla wszystkich, dla tego wszystkiego, co nie jest nim — dla niego umarła. A on jednak chce być jej aniołem stróżem, zbawcą i może dawcą jej szczęścia. On uczuł w sobie dumę nie szatańską, ale ludzką: «Ona nie chciała mnie kochać, niech pozna, kogo straciła.»

Wtem woźnica obrócił się:

— A gdzie pan każe zajechać? już miasto.

— Do Boreckiego domu.

Co się działo z Anną?... Ona łatwowierna, bo kochała. Na słowo kochanka-męża rzuciła rodziców, aby ocalić życie pana swojego serca, i wierzyła, że najmniejsze jej wahanie się mogło samobójczą dłoń uzbroić i przeciąć nić tego życia, bez którego niczem nie byłoby jej życie. W pierwszej chwili powitania, czysta rozkosz wezbrała z serca i poiła duszę myślą: «Jam go ocaliła.» Ale kiedy przeszły te chwile uniesienia się i pęd czwałujących koni wyrwał ją z omamienia, o! wtenczas spojrzała na księżyc, co się zdał przed nią uciekać i bezustannie krył srebrną twarz za chmurki, jakby ze sromu, czy z niechęci — na te obszary śniegowej bielizny, co zdały się lecieć w przegony z czwałującemi końmi i drogę im zaskakiwać, niby napowrót nawracać do rodzicielskiego domu, i wiatr świstał pojękiem, niby płacz matki i wołanie ojca; bolesno się zrobiło na sercu Annie:

— Adalbercie, wróćmy! — Głos jej drżał i ona sama drżała.

— Anno, moja luba, uspokój się, ja z tobą... — i słów mu brakowało; może to zbytek szczęścia, a może przestrach zagadał do jego duszy. Jedno czy drugie, nie śmiał pocałunkiem odgonić od niej trwogę, nie śmiał ręką dotknąć niepokalanej kochanki. Ona jeszcze raz zaszemrała:

— Mój ojciec, moja matka, wracajmy Adalbercie — i zamilkła; słabo jej, mdło, osuwa się na ramię kochanka.

Hrabia przelękniony już w ustach miał: «Zawracaj!» ale wzdrygnął się i zawołał:

— Ruszaj do Rajek.

W Rajkach mieszkała pani Żelowska, owa sprawczyni wszystkich nieszczęść, według mniemania pana marszałka.

Pani Żelowska nie była to jędza piekła, co nieszczęściem bliźnich żywiła swoje życie; ona po prostu zmarnotrawiwszy młode lata w czczości światowych zabaw, nie uzbierała plonów, któreby bezustannie sycąc życie duszy, dały zrozumieć życie serca. Z latami uciekły i zaloty, a to, co pozostało, było raczej przywyczką, jak istotą. Jednak trzeba było ją zastąpić ruchem, żeby jako tako wlec do końca to przeżyte życie, i dla tego to każde kabałowanie nęciło ją ku sobie, chwytała je z pośpiechem, jak dziecko chwyta cacko i jak dziecko niem obracała, bez troski o skutki, byle się bawić. Pani Żelowska, przyjaciółka marszałkostwa, dobrze życząca Starolackiemu, nie dla tego wspierała hrabiego, żeby czuła ku niemu szczególniejszą przyjaźń, tylko, że zamężcie Starolackiego z Anną było bardzo i prostą i zwyczajną rzeczą, a miłostki i zabiegi hrabiego były zabawką dla zabicia nudów zalotnej staruszki. Do tego kapitan Groźnicki, który zapewne lepiej się bił w Hiszpanii, jeźli się bił, jak gospodarował, z nieprzyjemnością widział, że przychody wioski ciotuni nie wyrównywają rozchodom. Żeby to krzyżowanie się rachunków łatać, ucieka się do przyjacielskiej posługi hrabiego, a w zamian w procencie pożyczki płacił gotówką posług ciotuni. Ciotunia nie wdawała się do gospodarstwa, ale rada słuchała próśb i namów siostrzeńca, bo one zgodnym wtórem śpiewały z jej chęciami, a w dodatku jeszcze miała słuszne prawo powiedzieć:

— Bronislas, je le fais pour vous.

Pani Żelowska wiedziała o zamiarach hrabiego, czekała z powitaniem szczęśliwych kochanków, i rzecz dziwna, myśl u niej stargała się między chceniem a niechceniem pomyślnego skutku. Uda się pochlebstwo miłości własnej, że tak się stało, jak ona chciała, to i wszystko się skończy i już nie będzie co robić; nie uda się, chwilowy frasunek, ale nowa zabawka z nowego kabałowania.

Choć już po północy, ona nie spała; dwie godziny strwoniła panna garderobiana, żeby ją przybrać w peniuar i czepeczek, tak, jakby to ona nagle z łóżka się schwyciła i wyszła na przyjęcie gości, nie tracąc jednej chwilki czasu. Nie zapomniała o różu i bielidle, i tak gotowa do wylotu,

siedziała obok łoża rozrzuconego, choć nikt w niem nie spał; nawet obyczajem przebiegłego wodza myślała o dalszem kabałowaniu na przypadek nie udania się, kiedy sanie hrabiego zajechały.

Ruch się zrobił we dworze. Anna była blada, cierpiąca, jak płacząca wierzba ku wodzie, tak ona chyliła głowę ku kochankowi, a głosem szeptała prośbę:

— Wracajmy.

Pani Żelowska ją wita, szczęściem się jej cieszy, a ona jak umarła odpowiada, ale zimnemi słowami, tak, jakby żal rodziców i przestrach popełnionej winy wystudziły z serca żar miłości.

Groźnicki oddał jakiś list hrabiemu; hrabia rzucił go na stół, ale kapitan powiedział:

— Czytaj, musi być pilny; pan Gaudenty kazał gonić za tobą, choćby na koniec świata; kozak konia zagonił, hem, jakem był w Hiszpanii.

Hrabia nie słuchał, odpieczętował list i czytał; nagle zczerwieniał i nagle pobladł, ręce mu zadrżały, zmiął papier, wtłoczył go w kieszeń i zbliżył się do Anny:

— Moja luba, mon idole!

Nie czekał odpowiedzi, wziął za rękę Bronisława i wyszedł z komnaty.

Po chwilce z komnaty słychać było jakby głuche stuknięcie kopyt końskich i skrzypnięcie sani na dziedzińcu. Groźnicki wszedł sam jeden; Anna spojrzała:

— Adalbert?

On milczał.

— Gdzie mój mąż?

— Zaraz powróci.

— Jakto, pojechał? gdzie?

Podniosła się i niespokój miłości wrócił licom krasę, błyskot oczom.

— Niech się pani uspokoi, on niebawnie powróci, musiał jechać.

— I mnie nic nie powiedział!

Ręce splotła palcami i jak cień księżyca lekko, smutnie osunęła się na sofę.

Tym razem nie omdlała, tylko płakała:

— Boże mój! Boże, litości!

Potem schwyciła za rękę panią Żelowską:

— Pani wiesz, o! proszę mi powiedzieć wszystko.

— Mon ange, ja... niewiem... pojechał, une affaire de famille, zaraz powróci, bądź spokojna.

Anna rzuciła na nią tem spojrzeniem, co to serce rozdziera i z najnieczulszego serca ciśnie łzę do oka; spokojna, skryła twarz w dłonie:

— Ja nieszczęśliwa! — a tak boleśnie to wymówiła, jakby serce się wyłoniało i pękała strona głosu — i zamilkła.

Wszyscy w przestrachu, rozbierają ją i kładną w łoże. Ona się nie wzbrania, tylko twarz rękę zakrywa i tłumi łkanie w piersiach, na żadne a żadne zapytanie nie odpowiadając.

Pierwszy kapitan powiedział:

— Spokojności potrzeba, to przejdzie.

Pani Żelowska była mocno zalękniona; dopiero w drugiej komnacie, i to po orzeźwieniu się wodą, przemówiła:

— Bronislas, co to wszystko znaczy?

— Dalibóg, ja tego wszystkiego nie pojmuję; pan Gaudenty co napisał tego nie wiem, a Adalbert powiedział: — Muszę jechać na kilka dni. Bronisławie, uspokój ją, powiedz, że powrócę — i więcej ani słowa dowiedzieć się nie mogłem.

— A cóż my teraz poczniemy?

— Ja niewiem.

— O! vraiment, to prawdziwy ambaras.

— Zapewnie; a gdyby ciocia dała znać państwu marszałkostwu...

— To nie podobna.

— Ta tajemnica może nas wprowadzić dalej, jakbyśmy chcieli i jak potrzeba.

— Prawda, ale pisać.

— Niech ciocia pomyśli, a znajdzie pewnie lekarstwo przeciw złemu; na przykład uwiadomić panią marszałkowę o wszystkiem, a tak rzecz wystawić, jakby to ciocia dla

zrobienia przyjacielskiej przysługi marszałkostwu niejako tak ostatnie wypadki ukartowała; wreszcie i zaczekać parę dni ja wypytam kozaka, jutro pojadę do Berdyczowa, a nawet gotowem i do pana Gaudentego. Ciocia jak zechce, to potrafi dać radę temu wszystkiemu — pocałował ją w rękę i wyszedł.

Pani Żelowska zostawszy sama, w głos powiedziała:

— O! to dziwna przygoda! — i myśl jej poczęła pracować nad odgadywaniem tajemnicy i wynachodzeniem środków, jak to temu wszystkiemu zapobiedz.

Już biały dzień przez szczeliny zamkniętych okiennic nalał światła na komnaty. Anna spojrzała i widzi, jak Dorotka na klęczkach modli się przy jej łożu i z cicha szemrze:

— Boże! ocal moją panią.

— Dorotko!

— Czy pani lepiej?

— O! źle mi tu — i przyłożyła dłoń do serca.

— Pani, wracajmy do Syngur!

Anna w poduszkę twarz skryła i nic nie odpowiedziała.

W tej samej chwili pani Żelowska odebrała list od hrabiego.

Pani!

Musiałem wyjechać bez pożegnania; musiałem, czas naglił. Łaski pani proszę, czuwać nad moją Anną, powiedzieć, jak i ile ją kocham; za kilka dni powrócę. Żegnam panią, żegnam moją Annę, niech mnie kocha, niech o mnie myśli... Posłuszny sługa

Adalbert.

List ten był na kawałku papieru napisany ołówkiem; furman hrabiego przywiózł go i powiedział, że pan wziął pocztowe konie i pojechał, on niewie, dokąd.

Pani Żelowska przyniosła list Annie i rzekła:

— Od Adalberta.

Anna go czytała, łzy jej z oczów się puściły; przyłożyła papier do ust, do serca:

— On mnie kocha!

Ale nagle jakaś inna dumka przyszła do myśli — westchnęła:

— On mnie nic nie powiedział!

Wypuściła papier z rąk i na ustach miała prośbę:

— Wróćcie mnie matce, ojcu.... — ale nic nie wyrzekła.

XXV.

Starolacki po całem mieście szukał hrabiego, wypytywał i żydów i nie żydów, i wszyscy mu odpowiadali:

— Niewiem, nie widziałem, albo też pletli o dawniejszych rzeczach.

Dmytro nie zakochany, nie zatroskany innem uczuciem, oprócz swojego przywiązania ku panu, ruszył do głowy po chłopski rozum i powiedział sobie: «Kiedy kto co ukradnie, to musi dobrze uciekać, przynajmniej z miejsca, jeźli gdzie w bok nie zeskoczy.» Pobiegł na pocztę i właśnie w chwili, kiedy Starolacki posłał po konie żydowskie i chciał jechać do pana Gaudentego, trafiając kulą w płot, wszedł Dmytro i oddał panu dwie paczki: w jednej była gazeta odeska, druga była ogromnym listem, pomazanym na kopercie i czarno i czerwono.

— Panie, jest.

— Kto taki?

— A ten Barowicz.

— Jakto tu?

— Nie, panie, pojechał do Machnówki.

— Koni żywo, koni, niech nasze Iwan zaprzęga.

Dmytro stał: — Ależ on sam jeden pojechał.

— Ruszaj gapiu, niech zaprzęga — i już brał na siebie niedźwiednią.

— Panie, panny z Syngur z nim niemasz.

— Co ty tam gadasz, ruszaj.

— Panny Anny nie było z Barowiczem.

Starolacki spojrzał mu w oczy.

— Dziś w nocy przyjechał, wziął pocztę do Machnówki, a swoje konie odesłał do Rajek.

— Do Rajek? żywo niech Iwan zaprzęga.

Już miał siadać do powozu, kiedy nadjechał Nowosiołkowski. Po krótkiej rozmowie Nowosiołkowski postanowił udać się do pani deputatowej, a Starolacki ściskał mu rękę.

— Tylko ją wyrwij ztamtąd, a ja pewnie ocalę; mój Dmytro pojedzie za tobą, dawaj mi przez niego znać, ja tu czekam.

Nim wyjechał Nowosiołkowski, zapytał Jana, czy nie odebrał gazet. Jan mu je dał, a pan Ignacy nałożywszy okulary, czytał czasami w głos, czasami cicho dla siebie. Ale Starolacki na to bynajmniej nie uważał, krokami szeroko chodził po izbie, a myślą jeszcze szerzej dumał.

— Słuchaj Janie... «Dnia ósmego października, z Ekateryndaru. Spokojność naszego miasta zakłóconą została smutnym wypadkiem, którego przyczyny dotąd zrozumieć nie można. Wielu cudzoziemców przyjechało z Odessy, przypatrzyć się igrzysku biegania koni. Było też wielu Karbadyńców i Gruzyanów, a nawet kilka Czerkiesów górali. Cztery pułki kozaków czarno-morskich stanęło pod bronią, dla nadania okazałości obchodowi. Wszyscy goście przyjezdni znajdowali się z jenerałem Ładyńskim, tymczasowym hetmanem Czarnomorców...»

Nowosiołkowski czytał opisanie koni, nazwiska ludzi, wygrane zakłady i tak dalej.

«W końcu, po odbytych igrzyskach wieczorem, błonia przyległe miastu były rzęsisto oświecone, a nawet las dębowy. Przyjezdni goście przejeżdżali się tu i owdzie, przysłuchując się śpiewom dumek kozaczych i graniu na teorbanach. Wtem dał się słyszeć krzyk przeraźliwy w stronie lasu; kozacy tam skoczyli i schwycili Tatara właśnie w chwili, kiedy rzucał o ziemię nóż zakrwawiony. Niebawem znaleziono pod dębem młodego cudzoziemca, mocno rannego. Cudzoziemiec

przeniesionym został do mieszkania jenerała Ładyńskiego; lekarze dokładają wszelkich starań, aby ocalić mu życie, jednak mocno obawiają się o nie, rana bardzo głęboka i mogła dotknąć płuców. Zbrodniarz pojmany, nie był poznanym przez żadnego Tatara. Po początkowem śledztwie wyznał, iż jest żydem. Mniemają, że osoba bardzo znakomita ma udział w tej zbrodni. Jest to rodzaj zbrodni dotąd u nas nieznanej; tysiąc rozmaitych posłuchów biega o tym wypadku, ale nic pewnego zaspokoić nie może ciekawości. Zbrodzień ma być odesłanym do Odessy i tam będzie się odbywało dalsze śledztwo.»

Rzucił gazety na stół: Niema nic ciekawego. Bądź zdrów, Janie, a nie miej złych myśli. Pan Bóg nas nie opuści.

— Daj Boże!

Pożegnał Ignacego, wyprawił Dmytra i pomyślał: «Ona mnie nie kocha... mniejsza o to, ja chcę jej szczęścia i dobrej sławy — ale ja kocham ją, o! kocham.

Siadł, odpieczętował list: to od Władysława, długi, tak długi, jak niecierpliwość w chwili oczekiwania, a tak zapisany na wszystkie strony, jak głowa jego zagmatwana rozmaitemi myślami. Jednak na nudy i oczekiwania dobre i czytanie; jeźli nie można myśli zabawić, to przynajmnięj zabawią się oczy i nie tak częstą będzie się wyzierało w okno i nie tak często gniew do ust sprowadzać będzie słowa. Do djabła! zagrząłz tak, jak w błocie. Niech to djabli wezmą: nie widać i nie widać, i rozpacz bezustannie nie będzie plątała między myśli bolesną myśl: Może jej tam niemasz.

Czytał:

XXVI.

Ledwie kilka tygodni, jakem do ciebie pisał, a ileż to wypadków napotkało moje życie, to życie ciche, spokojne i zwyczajne, a bezustannie kłócone żądzą i urojeniami wyobraźni! Myślałem, że na starość pamiątki mi nie pozostanie, żeby o niej warto było powiedzieć słów kilka; myślałem, że przeżyję moje lata tak, jakbym nie żył, ale śnił o tem, co poezya wielkich dusz tęsknemu światu w jałmużnie rzuciła. Żyłem w książkach i z książek do pamiątek zasób zbierałem, a teraz i dla mnie bogactwo życia w życiu, nie w urojeniach, nie w marzeniach. Mój Janie, nie wiem, od czego mam zacząć. Jabym chciał ci wypisać całkowity dziennik nie podróży moich oczów, nie uczonych poszukiwań zwalisk, nie rozumowych spostrzeżeń nad ludźmi, ale podróży mojej duszy, widzenia mojego uczucia. Długieby, długie było moje opowiadanie i nie umiałbym jemu nadać ładu, i dla tego piszę, co mi myśl pamiątek do głowy naniesie. Może się rozerwiesz w swojej doli, może się zaśmiejesz i powiesz: Samochwalca, wczorajszemi wypadkami jak pamiątkami się chełpi. Prawda, ale ja mam pamiątki, a ty o nich słuchaj Janie.

Szwarcwald ranny i mocno ranny. Pisałem do ciebie z Krymu, że jedziemy na półwysep Taman do Ekateryndaru, w kraj Czarnomorców. Przybyliśmy tam na pierwszy paź-

dziernik, dzień wielkich igrzysk. Nie potrafiłbym ci opisać, jak się serce moje rozrzewniło na widok tych rodnych naszych braci, potomstwa hulaszczego rycerstwa Zaporoża, tych wnuków strażników polskiej ziemi i chrześciaństwa. Oni mnie witali jak brata i pytali o matkę ojczyznę, o króla ojca; kiedym ich zapytywał o imiona rodowe, odpowiadali: Ładyński, Konowalski, Świergowski, tak, jak u nas. Nasze kozacze dumki nócili, mówili o naszych królach i hetmanach. Nad Dnieprem, nad Teterowem i nad Kubaniem ludzie śpiewają i opowiadają sobie o Stefanie Batorym i o Konaszewiczu Sachajdacznym, i każdy twierdzi: Pod ich wodzą moi praojcowie wojowali, ich sława, to moja spuścizna. Jeden Czarnomorzec mi powiedział: Lach a kozak, to jedno, to rodzone dzieci Polszczy. O! i czemuż tak nasi ojcowie nie mówili, kiedy byli razem! Janie, po naszemu zabrnąłem w kozaczyznę, ale to już nie tylko będą, ale są moje pamiątki.

Otóż przyjechaliśmy do Ekateryndaru. Hetman Ładyński na wieść, żem Polak, przyjął nas w swoim domu jak własne dzieci. Kiedyśmy jechali na biegowe igrzyska, kazał mi przyprowadzić wronego konia i rzekł po polsku: «Panie Władysławie! prababka tego konia pasała się nad Podpalną, jedź dziś na nim, a potem zaprowadź go tam; niech on pogrzebie kopytem po mogilniku naszej Siczy.» Obydwajśmy się uściskali i obydwom nam stały łzy w oczach. Hulaszczo zowodziłem na tym koniu i dumną myślą chełpiłem się: może to potomek stad Brzuchowieckiego albo Horodyńskiego. Szwarcwald patrzył na mnie jak na szaleńca i dziwił się; jam mu powiedział: «Gdyby ci dano do ręki szablę Körnera...» On mnie zrozumiał, bo od tej chwili innem okiem na nas poglądał i często się zadumał. Widno, patrząc nas, myślał o swoich Niemcach.

Ja byłem szczęśliwy takiem szczęściem czystem, niepokalanem, jak gdybym już był w raju Bożym. Ale tę uciechę przerwał smutny wypadek: dano nam znać, że Szwarcwald ranny przez zbójcę. Wtenczas, kiedyśmy rozmawiali ze starymi kozakami o ojczystych dziejach, on oddalił się w stronę lasu. Słuchać grania teorbanów i śpiewu dumek. Znaleźli-

śmy go w ręku kilku kozaków, którzy mu krew tamowali; on był blady, w niemocy. Niedaleko trzymano pojmanego zbójcę; był on w stroju tatarskim, ale nie miał w sobie nic tatarskiego; rysy twarzy wyraziste, oko duże. Kozacy mówili, że to żyd, bo jak go chwytano, chlipnął i krzyknął: Oj waj! Zdawało się nam znachodzić w nim podobieństwo do dziecka Izraela; milczał i na żadne pytania nie odpowiadał, choć go kozacy po swojemu skłaniali do mówienia.

Lekarze opatrywali ranę Ferdynanda; on cierpiał, ale znosił z odwagą i w milczeniu bole ciała. Lekarze, choć nie bardzo pewni swojej sztuki, zostawili nam nadzieję, iż go uratują. Zrana, kiedy gorączka trochę ustała, słabym głosem prosił, abym wyświadczył mu przyjacielską posługę.

— Władysławie, jedź do Kutajsa, ja się dowiedziałem, tam jest ona.

— Kto ona?

— Amelia — zatrzymał się i dodał — grafini Tiumen. — Twarz jego się skrzywiła.

Widziałeś Janie, jak ja zawsze byłem dalekim od chęci odkrycia tajemnicy Ferdynanda; tyś daleko więcej zapewnie wiedział, jak ja, bo on ci więcej się zwierzał. Słyszałem o grafie Tiumem i od niego, i zdaje mi się, od ciebie w Odessie, ale nic więcej.

— Cóż chcesz Ferdynandzie, abym zrobił?

— Ja napiszę list, a ty jej oddaj, ale tak: list jej wręcz nie sam, ale przez kogo innego, a dopiero na drugi dzień z nią się zobacz i proś o odpowiedź.

— Zrobię.

— Daj mi papieru kawałek i ołówek, a sam powiedz hetmanowi o swojej podróży; ale o niej ani słowa, wynajdź inną przyczynę.

Dałem mu papier i ołówek — głos jego był słaby i ręka słaba, ale pisał; ja poszedłem do hetmana.

Poczciwy hetman jak własnego syna wyprawił mnie w podróż i przyrzekł czuwać nad Ferdynandem. O! nie trzeba było słów do zapewnienia mnie o jego troskliwości; dość było patrzeć na tę twarz szczerą i serdeczną.

Zastałem już list Ferdynanda napisany; prosił mnie, abym

go przy nim zapieczętował. Przyznam ci się, że ta ostrożność dziwiła mnie mocno, ale wcale nie gniewała. Pożegnałem go i puściłem się w podróż na wronym koniu, w towarzystwie dwóch kozaków, dodanych mi przez hetmana. Jakóbka mojego zostawiłem przy Ferdynandzie.

Zapomniałem ci powiedzieć, że Jakóbek mi mówił, iż ów zbójca godzący na życie Ferdynanda, od dwóch dni był widzianym w Ekateryndarze, a nawet Jakóbka wypytywał o nas i tą naszą chłopską rozmową, — to dziwna jakaś przygoda. Kto znał Ferdynanda? kto mógł czychać na jego bogactwa, których on niema? ktoby taki żywił zemstę ku niemu i za co? czy to przypadek, czy rzecz ukartowana? Po sto razy robiłem zapytania mojej myśli, a myśl moja jak pies gończy doławiała po starych tropach, bałamuciła się w odmęcie i nic rozwinąć nie mogła; a koń mój wrony bieżał przez lasy, przez stepy, przez góry, przez jary — i kozacy obok mnie biegli na koniach, tęskne dumki nócili, tęskniąc za naszą Ukrainą.

Janie! te góry Kaukazu, te winnice Gruzyi, to nie stepy naszej Ukrainy — ten Kubań, to nie nasz Dniepr. Nie mówiłem nic o tem z kozakami, a jednak jedna i taż sama myśl wałęsała się nam po głowach. Nasz Dniepr piękniejszy; może oni i nie byli na Ukrainie, bo obydwaj młodzi, ale ojcowie ich o niej mówili, i oni o niej będą swoim dzieciom mówić. Podanie ludu, to rzecz nieśmiertelna, jak duch świata, oprócz Boga, nikt mu ani tamy, ani końca nie położy.

Widziałem ten pułk azowski kozaków, co za Dunajem w roku tysiąc ośmset dwudziestym ósmym przeszli pod chorągwie rosyjskie z hetmanem Hładkiem; to cząstka tych dzikich a dzielnych Nekrasowców. Ponure były ich lica, jakaś rozpacz igrała w ich oczach, ale postawy harde; bezustannie poglądali ku zachodowi, ku naszej stronie. Moi dwaj towarzysze witali ich ze czcią, ale i z pożałowaniem, i mówili: To nasi starsi bracia, dłużej żyli w bezpańskości; a oni pokazywali ku zachodowi: Tam są i starsi i lepsi od nas.

Widziałem na drugiej stronie Kubania czającego się Czerkiesa, słyszałem gwizdanie jego kulki; widziałem, jak kozacy

liniowi, ten tłok żołdactwa podobny z cnoty i z obyczajów do pierwszych obywateli Romulusowego Rzymu, raźno i ochoczo zawodzili bój z Czerkiesami i równali im i śmiałością i sprytem. Pomyślałem sobie: Może nowy jaki Romulus założy z tymi ludźmi nowe jakie państwo, a świat ujrzy po raz drugi przeobrażenie ludzi niecnoty na bohaterów. Nic dziwnego, czyn jest bożyszczem jednych i drugich; skierowanie jego stanowi różnicę.

Widziałem to wszystko, i dusza moja pasła się wspomnieniami o pohulankach naszych praojców; i krew moja wrzała do pohulanek, którem widział; przyznam się, że chciałem być Czerkiesem, chciałem być kozakiem. Janie, ty mnie zrozumiesz; pojmowaliśmy słowa o czynie, pojmowalibyśmy jednakowo i widok samego czynu.

Przyjechałem do Kutajsa; tam stał podówczas oddział kozaków czarnomorskich pod dowództwem pułkownika Brańskiego. Od niego dowiedziałem się o pobycie grafini Tiumen i posłałem jej list Ferdynanda.

Pułkownik już oszpakowaciały pod kozaczą czapką, więcej niż sto razy zaklął się na imię Boże, mało nie bimilion djabłów wywołał, nim mnie odpowiedział, że grafini Tiumen jest wdową po pułkowniku tego imienia, zmarłym w bieżącym roku z odniesionych ran w Anapie, że przyjechała do Kutajsa z jenerałową Morozową i że ich podejmuje w gościnie książę Tatianow, dzierżawca Imirecyi i Mingrelii. Dodał jeszcze: djabeł był ją porwał, jaka ładna bestyjka, na Boga się zaklinam, żem takiej drugiej nie widział na życie; szkoda, że nie czarno-brewa, trzysta by djabłów zapiekło, a i między kozaczkami by się nie powstydziła. Boże mi tak dopomagaj, jeźli się nie zakochasz, jak ją zobaczysz, strzeż się, bo ładna kobieta, to gorsza djabła, co zechce, to zrobi. Ja ci prawdę powiem, tak jak chcę, żeby moja dusza daj Boże kiedyś do nieba się dostała, żebym na jej skinienie gotów oddać i mojego wronego konia i moją czeczeńską czaszkę.

Lubiłem tę szczerotę pułkownika, który z takim zapałem mówił o grafini, jak gdyby opowiadał o wczorajszym albo dzisiejszym boju z Czerkiesami.

Nazajutrz poszedłem do grafini; kazała mnie prosić.

Janie, myślałem, że zastanę ładną kobietę; o! nie, ja zastałem anioła; oczy niebieskie, jak tło tutejszego nieba, takie jasne, takie czyste i takie smutne. Jasne włosy w pieszczonych i bezładnych splotach muskały lice białe, jak śniegi gór zarumienione brzaskiem jutrzenki; usta, czoło, nos, jak u aniołka raju, jak u dziewicy wiosny; ząbki jednakie białe i lśknące, jak pióra łabędzi, i rączka malutka i nóżka malutka, a kibić wiotka, smukła, zdawała się chwiać jak tamaryn, strażnik grobowca tatarskiej dziewicy. W jej kibici było tyle wdzięku uroczego, tyle posępnej tęsknoty, co w tamaryksie. Ona była smutna, widać, że wiele cierpiała; twarzą nie siliła się udawać spokojności, ani też powstrzymywała objawienia się rozpaczy; łzy błyszczały w jej oczach. Całkiem była odziana w czarne szaty żałoby.

Janie, ja ciebie nudzę temi opisami, ale pozwól, że to zrobię dla siebie; lubię myślą nizać i przenizywać wszystkie te uroki wrażenia i bawić się temi czarodziejkami duszy. Ty może pomyślisz: i on się kocha; o! nie, Janie, jeszcze nie; ale czyż nie można ubóstwiać bez kochania?

Ona mnie prosiła siedzieć, po prostu pytała o Ferdynanda; tak jak on wymówiwszy imię Ferdynand, zatrzymała się i poprawiła: pan Szwarcwald. Dziwna w tem wszystkiem tajemnica: czem ona jest dla niego, krewną, osobą miłą sercu? Ośmieliłem się zapytać, czy dawno zna Ferdynanda? Krótko mi odpowiedziała:

— W jednem mieście rodziliśmy się.

Ale w jej głosie, w prędkiem ucięciu rozmowy, widno było wolę, abym dalej nie pytał. Mimo ciekawości, o! i wielkiej ciekawości, zamilczałem, ale natomiast ona znów wypytywała o Ferdynanda, o jego chorobie, i oczy jej myły się łzami, często musiała chustką je ocierać.

Później przyszła jenerałowa Morozowa. Ona kiedyś była w naszych stronach, znała moich, twoich rodziców i państwa Ostrożalskich. Janie, mówiliśmy o tobie, mówiliśmy o pannie Annie, o osobach bywających w domu marszałkostwa. Grafini nagle pobladła bez przyczyny, wstała i wyszła z pokoju. Jenerałowa udała się za nią; ja nie wyszedłem, czekałem wieści, i rzecz dziwna, tak mnie ona obchodziła, jak

gdyby grafini była moją siostrą. Dowiedziałem się od jenerałowej, iż zmożona cierpieniem, położyła się w łoże.

Pułkownik się śmiał z mojego roztargnienia. Znalazłem w Kutajsie wielu rodaków, bo czyż gdzie jest w świecie zakątek ziemi, gdzieby ich znaleźć nie można było? Oni mnie wszyscy naraz wypytali o wiele a wiele rzeczy; smuciliśmy się razem, nawet trochę popłakaliśmy, przynajmniej niektórzy, a potem cieszyliśmy się ludzkim obyczajem. Ale ja ciągle w myśli miałem grafinię i posyłałem dowiadywać się o jej zdrowiu. Musi ona bardzo obchodzić Ferdynanda, a ja przyrzekłem przywieźć mu odpowiedź.

W parę dni później grafini była zdrowszą; prosiła mnie do siebie i na odpowiedź powiedziała, że chce sama jechać do Ekateryndaru z jenerałową Morozową, i obydwie mnie prosiły, abym im towarzyszył. Janie, ja z niemi mam jechać, jutro wyjeżdżamy; rad temu jestem, może wszystkiego się dowiem: kto jest ta kobieta? jakie jej związki z Ferdynandem? co znaczy ta cała tajemnica? Bądź zdrów Janie, ile ja pragnę, żebyś ty był szczęśliwy, żebyście wszyscy byli szczęśliwi. Kochaj mnie; po tysiąc razy ciebie ściskam, twój Władysław.

Proszę cię, odwieź moje listy matce i moim siostrom; powiedz im od siebie, żem zdrów, że wiele rzeczy widziałem i będę widział, ale nie pokazuj listu, który do ciebie piszę, oneby się śmiały. Wszystkim znajomym oświadcz, co się komu należy.

Są tu i twoi znajomi; całują cię. Jak się zobaczymy, to ci wiele rzeczy o nich opowiem. Biedni my, kiedyż Bóg nad nami się zlituje!

Kujtajs, Gruzya. 18. października.

Starolacki położył list na stole. — Biedni my, prawda, biedny ty, Władysławie; jabym ci życzył, jabym ci radził, nie kochaj się, nie kochaj się.

Wstał i przechadzał się po izbie, coś rozmyślał, stanął; znowu wziął list do rąk, czytał, odczytywał: — Może to on, to on — ale nie wypogodził czoła.

XXVII.

Już mrok szary spuścił się na Berdyczów; żydowskie miasto tuman mgły owionął i powoli we mgle tonęły i kopuły karmelitańskiego kościoła i dachy wyższych kamienic; śnieg przybrudzoną bielą majaczał i już na ulicę z okien wyzierały ciekawe światełka.

Podkomorzyc jeszcze sam jeden dumał i czekał; w stajni konie zaprzężone stały gotowe do podróży. I woźnica tupotał podeszwami o zmarzłą ziemię i zacierał sobie ręce dla zagrzania się.

Wtem przyjechał Dmytro i zaraz wszedł do izby.

— A co?

— Panna Anna pojechała.

— Gdzie?

— Do Syngur z panią Żelowską.

— A pan Nowosiołkowski?

— Pojechał także z niemi.

— Dawaj mi niedźwiednią.

Ubrał się. Dmytro nawet nie miał czasu się zagrzać, musiał z panem siadać do sani, i chcąc uwolnić go od trwonienia słów na rozkaz, a mniemając zgadywać jego wolę, zawołał na Iwana:

— Do Syngur.

To zawołanie: «Do Syngur» obudziło Starolackiego z dumania:

— Nie, do Wertykijówki.

Dmytro pomyślał: — Co to znaczy? — ruszył ramionami, woźnica biczem machnął i konie pokłusowały z miejsca.

XXVIII.

I doba nie upłynęła, a już Anna wracała do rodzicielskiego domu. Jakież ją tam powitanie spotkało!

Po twarzach służby ona nieszczęśliwa poznała nieszczęście. Matka do niej nie wyszła z wyrzutami gniewu w ustach, z chmurą rodzicielskiego sromu na twarzy, ani z równą chęcią potulenia biednego dziecka, tylko w pierwszej komnacie dwóch lekarzy rozmawiało z sobą, a ponure były ich wejrzenia; w drugiej komnacie ksiądz w komży jak cień się przesunął. Nowosiołkowski smutnie potrząsł głową, tym znakiem, co to bez mowy mówi: wiem, źle. Pani Żelowska zatrzymała się przy samem wnijściu, a Anna zapomniała o sobie, szybko szła do komnaty ojca, nikt jej nie umiał zatrzymać, nikt nie śmiał powiedzieć: niech pani zaczeka — a jednak wszystkich ręce podniosły się do pochwycenia jej ręki, wszystkich usta chciały położyć zaporę jej krokom, a nie zrobiły: stajała ich wola przed córką spieszącą do ojca.

Tam przy trupie zmarłego ojca matka połyka łzy rozpaczy; rozpaczy jęki tłumi ksiądz pośmiertnią pieśnią, błaga o litość dla uleciałego ducha, a gromnice grobowo poświecają bezdusznemu ciału.

Anna widzi martwe oblicze ojca, te oczy nieruchome, co zdają się na nią patrzyć, tę boleść smutku i cierpienia, wypisaną na twarzy, a nie zegnaną skonaniem, te wszystkie

martwe znaki, jak krwawe wyrzuty cisnęły się do oczów, do serca grzesznej córki; nie jęknęła przestrachem rozpaczy, nie padła omdleniem niemocy rażonego serca, ale jakby pchnęła się ku łożu i przed niem osunęła się na kolana, chwyciła za martwą rękę i całowała:

— Mój ojcze! mój ojcze!... — a głos jej załkał boleśnie, jak gdyby serce wydzierało się z łona.

Matka drżącą rękę oparła na ramieniu córki: — Anno! Anno! ty niemasz ojca! ja niemam męża! — i boleść mowę zatamowała.

— Matko moja! matko! ojcze mój! przebacz! — ustami chciała się przylepić do ręki ojca, łzami spłukać śmierć, wrócić życie.

Ksiądz myśl prośby wzniósł do Boga, ręką nad głową matki i córki zrobił znak świętego krzyża, jakby tem godłem męki Zbawiciela zespolał ich mękę.

— On przebaczył i Bóg miłosierny przebaczy, żałujcie i proście.

I one obydwie łzami żałowały, łzami się modliły... Po chwili ksiądz proboszcz opowiadał Nowosiołkowskiemu, jak pan marszałek pokilkakrotnie zapytywał żonę o córkę i ciągle powtarzał imię Anny. Na wszystkie odpowiedzi żony, iż ona wyjechała do pani Karszyńskiej, potrząsł głową na znak niedowiarstwa. Już po południu podniósł się z łoża, twarz jego pociemniała, oczy krwią zaszły, przeraźliwie zawołał: «Ona z nim!» ścisnął dłonie i opadł na łoże. Pani marszałkowa zbliżyła się, przemawiała do niego; on nie odpowiedział, tylko ręką odsunął ją od siebie i po długiej niemocy wymówił: «Nieszczęśliwa! biedne dziecko!» Jak ksiądz proboszcz przyszedł ze słowami upamiętania i pociechy, marszałek słuchał, wzrokiem przywołał żonę do siebie, nawet swoje usta przyłożył do jej czoła: «Magdaleno, prawdy, prawdy,» jękliwym głosem błagał o nią — i prawda mu została powiedzianą; wzdychał, a potem zaczął płakać. Z początku lekarze mniemali, że to przesilenie się choroby i dobrze wróżyli, ale niebawem i oni poznali prawdę — życie uciekało. Bóg wołał duszę do siebie, a rozumy ludzkie nie mogły jej zatrzymać. Przyszli do księdza proboszcza i rzekli:

«Ratunku, nadziei niema...» i ksiądz przyszedł ratować duszę. Marszałek już ledwie słowa mógł wymawiać, ale z pokorą i ze skruchą odbył obrządek chrześciańskiego pożegnania się z tym światem i był spokojniejszy; nie złorzeczył, nikomu nie wymawiał, tylko się do Boga modlił. Żony i wszystkich prosił: «Ratujcie, ratujcie biedne dziecko!» To były ostatnie jego słowa w skonaniu, a skonał chwilkę przed przyjazdem córki.

Anioł śmierci zawitał w odwiedziny do syngurskiego domu i wionął duchem żałoby; płacze i jęki go witały, płacze i smutek go żegnały, ale z nim nie uleciały, tylko zostały na miejscu, na pamiątkę jego odwiedzin.

Mąż i ojciec, pan i przyjaciel zmarł, rozpacza matka i córka, płacze gromada i czeladź, smucą się przyjaciele; dzwony grobowym jękiem jęczały na wieczny odpoczynek zmarłego duszy, na wdowieństwo pozostałej żonie, na sieroctwo jedynaczce córce, na smutek gromadzie i sługom, na tęsknotę przyjaciołom, na wieczny rozbrat wesela z syngurskim dworem. Już on zmarły między nich nie wróci!

XXIX.

Przyszła wiosna, ziemia poczęła się obnażać ze śniegowej bielizny, gdzieniegdzie zielonością mili się do słońca, z radości płacze; srebrne wody zwierciedlą się jak łzy dziewicy i strugami jak warkocze dziewicy bezładnie ściekają po nagiem łonie ziemi; ptaszkowie wesoło pieją, skowronek, zwiastun wiosny, skrzydełkiem trzepocze na oklaski ziemi i słońca, i rybka pluskaniem popluskuje wiośnie. Ludziom słodko, lubo na sercach, rzeźwo na duszach; oczów oderwać nie mogą od Bożego świata, a jednak w syngurskim dworze nie masz wesela.

Pani marszałkowa w kirze żałoby, wdowiem okiem na wszystko pogląda, wdowiem sercem wszystko czuje, na jej myśli ołowiem cięży śmierć męża, niedola córki; ona dobra, przebaczać umie, a jednak ile razy posłyszy o pani Żelowskiej, to tyle razy zadrży dreszczem niechęci, większej ku sobie, jak ku niej; cała przeszłość stanie jej przed oczyma i nad nią płacze, jak starzec nad nieszczęściem, gorzko i bez nadziei ukojenia boleści. O! ciężka to pokuta na tej tu ziemi, kiedy Bóg matce w karze błędu ześle niedolę dziecięcia; biedna matka co chwila powtarza sobie myślą: jam to sprawiła. Nie słyszy słów pociechy i porady, a bezustannie widzi smutek i cierpienie dziecięcia, swoje dzieło; ona czystego serca córki nie ustrzegła od trucizny, trucizną je

napawała. Ona to serce kochające zespoliła z sercem przeżutego życia, pokalanego uczucia, dziewiczy skarb miłości dała w ręce kostery uczucia, na ołtarzu bożyszcza mody poświęciła własną ręką swoje dziecko; a jednak kochała to dziecko matczynem sercem.

Po błędach, po grzechach, pokuty i skruchy chwila nadeszła; podmuchem nieszczęściem rozwiała się obsłona owej modnej pani, a została czuła matka, bogobojna niewiasta; tuli swoje dziecię kwilące nieszczęściem, modli się do Boga o koniec nieszczęścia, a ludzie powiadają: nieszczęście słowem prawdy.

Anna już dowiedziała się o całej prawdzie i miłość jej zalękła się przed okropną dolą; ona była jak dziecko, co znęcone owocem kraśniejącym w przepaści, nie słucha tylko chcenia, skacze ku niemu; ale kiedy piastunka krzykiem zawoła: stój, tam śmierć! dziecię już jedną nogą w przepaści, drugą trzyma się brzegu, chce ocalić życie i nie chce zrzec się mienia owocu.

Smutna Anna wie, co ją rozdziela od Adalberta, wie, że jego być nie może i nawet nie chce być jego; ale miłości ze swojego serca nie wygnała; nie mówi o nim, nie słucha, kiedy kto czasem o nim mówi, ale myśli o kochaniu i o kochanku, myśl ta ją bezustannie nawiedza, a ona jej odegnać i nie śmie i nie może. Kiedy kobieta widzi siebie zapomnianą przez kochanka, wtenczas na przemiany bawi się to rozpaczą, to zemstą wolną, rozmyślną; kiedy widzi siebie poświęconą dla innej, jeźli zemsta nagle nie zapłaci przeniewierstwa, nienawiść w sercu posiędzie miejsce miłości. Ale kiedy nie jest ani zapomnianą, ani zdradzoną, trudno przestać kochać, gdyby kochanek był i zbrodniarzem i zwodzicielem; bo zbrodniarza serce może kochać wiernie, bo zwodziciel chcąc uwieść, może się zakochać i kochać.

Nad tą myślą o kochaniu i o kochanku panowała myśl o ojcu; cień umierającego rodzica stawał przed oczy duszy, a słowa: «ratujcie, ratujcie biedne dziecko!» brzmiały uszom duszy. Gdyby on ją był przeklął na łożu śmierci, byłaby to wzięła za rodzicielską pomstę, za karę Bożą, i przewinienie nie takby jej ciążyło na sercu; ale on ją błogosławił,

w skonie jeszcze wołał o ratunek dla niej, a ona tak srodze zawiniła i ojciec słowem ją nie pokarał. Serce jej boleje, a nie śmie łez ronić, nie śmie głośno pożalić się na swą dolę, bo ta dobra matka na nią patrzy i tyle cierpi nieszczęśliwa matka; ale nieszczęśliwa i córka, dziewica ni wdowa, ni mężatka.

Pani Karszyńska często z córkami odwiedzała marszałkowę; Konstancya i Marya tem współczuciem nieszczęścia, które tylko kobiety uczuć, objawić i wykonać umieją, garnęły do siebie Annę. One z nią mówiły o jej nieszczęściu i razem z nią nad niem płakały. Anna tą lubą przyjaźnią utulała swoje nieszczęścia, każde rozstanie z niemi było bolesnem, każde powitanie pożądanem. One zrozumiały jej serce, a lżej się znosi cierpienie, kiedy wiemy, że jest kto na świecie, co nas rozumie.

Starolacki był na pogrzebie marszałka; ale zaraz do Syngur nie przyjechał, tylko wprost się udał do Kijowa, gdzie się znajdował hrabia Adalbert. Jaka była między nimi rozprawa, o tem nikomu nie było wiadomo, tylko im dwom; jednak pojedynku między nimi być nie musiało, bo obydwaj byli przy życiu i nie potrzebowali przyjaciół na świadectwo i na zgodę. Hrabia pozostał w Kijowie i jak wieść się rozeszła, w dzierżawę wypuszczał wszystkie swoje dobra, a sam starał się o paszport za granicę. Starolacki wrócił do siebie i niebawem nawiedził Syngury. Marszałkowa go przyjęła jak własnego syna, a Anna jak brata, i on dla niej chciał być bratem; dla spokoju, dla szczęścia tej siostrzyczki swojego serca tłumił kochanie, walczył z niem, samobójstwo zadawał sercu, a to cierpienie osładzał myślą: wszystko to dla niej.

Nowosiołkowski wyjechał do Łucka starać się o uznanie za nieważny ślub Anny z hrabią. Dziwna rzecz, ksiądz proboszcz powiadał: — Wyznać całą prawdę, ja ręczę za pomyślny skutek, inaczej bardzo trudno. Ale Starolacki się upierał: — Tajemnicy, tajemnicy, bądź co bądź, trzeba zachować sławę panny Anny. — On nigdy nie chciał powiedzieć pani hrabinej, albo pani Barowiczowej.

W okolicy rozmaite wieści rozsiewano, rozmaite a roz-

maite wnioski robiono, jedne dziwniejsze od drugich, ale nigdzie prawdy nie można było napotkać. Pani Żelowska wiele rzeczy wiedziała, ale ona tak była rażoną śmiercią marszałka i nieszczęściem jego rodziny, iż nigdy nie chciała przed ciekawymi o tym wypadku mówić, a nawet ile możności kilkusłownemi odpowiedziami lub zapytaniami wikłała domniemania się, tak, iż niepodobnem było rozsnucie prawdy. Kapitan Groźnicki widział się parę razy ze Starolackim i po tych widzeniach się albo milczał, albo kiedy mówiono o Annie i hrabim Adalbercie, natychmiast występował z opowiadaniem jakiejś przygody w Hiszpanii, a przynajmniej we Francyi.

W syngurskim dworze nastąpiły wielkie zmiany: stary Albert przybrał dawne imię Wojciecha i czterej lokaje także otrzymali upoważnienie zwać się rodzinnemi mianami, tak ich zwali rodzice na chrzcie świętym. Na stołach już nie widać było żurnalów mody, tylko dzienniki i pisma peryodyczne polskie. Anna nie czytywała romansów francuzkich, tylko książki ojczyste; piękny buduar, ten skarbiec namiętnych wzorów kochania i jeszcze namiętniejszych przygód życia, zamknięto jak zadżumione miasto, a klucze oddano Dorotce. Ona tam przynajmniej raz w tydzień chodziła otrzepać pył i skarżyć się na te wszystkie sprzęty i książki, jako przyczynę złej doli, bo pan Jan jej powiedział kiedyś, że ztamtąd początek wszystkiego złego. Jakby nie chciała zrywać ostatniej struny modnego świata w swoim domie, pani marszałkowa nie kazała zniszczyć tego buduaru; była to niejako pamiątka żyjąca, wołająca o żal za przeszłość, o pokutę, o poprawę na przyszłość.

Co niedziela jeżdżono z Syngur do kościoła i na każde święto czerwono wypisane w kalendarzu; zaczęto nawet stawiać kaplicę koło dworu. Ani pani marszałkowa, ani Anna nie mięszały francuzkich wyrazów do polskiej mowy; ludzie sielscy przychodzili do pani, jak do matki — marszałkowa i Anna, obiedwie miały staranie o dobrym bycie i zdrowiu syngurskiej gromady. Zgoła, że wszystkie zwyczaje polskie wróciły do syngurskiego dworu, ale na powitanie tych pożą-

danych gości nie było gospodarza — nie było gospodarza, żeby się nimi cieszył i im błogosławił.

Jednego dnia przed wieczorem przyjechali do Syngur panowie Krasnopolscy. Marszałkowa z panią Karszyńską siedziały na krzesłach przed domem, czasem coś przemówiły do siebie, a więcej poglądały na obszerny trawnik ogrodu ciągnący się ku wodzie; Anna z dwiema pannami Karszyńskiemi przyrządzały herbatę, a Starolacki czytał Pągowskiego wiersz o westchnieniu, kiedy weszli dwaj bracia Krasnopolscy.

Panowie Krasnopolscy byli to z rzędu tych ludzi, co to przez chęć wiedzenia o wszystkiem, wiedzieli o wielu rzeczach. Żadną wieść schwytaną nie skazywali na pleśnięcie, natychmiast jak okólnik jaki obnosili ją po całem sąsiedztwie; książek nigdy nie czytywali, brzydzili się polowaniem; gospodarstwem i domem trudnili się czasami, ale bardzo rzadko, i to dla zabicia nudów; na nowinki zaś byli bardzo i łasi i rozrzutni. Powszechnie w całem sąsiedztwie zwano ich nowiniarzami, a w wielu miejscach takim ludziom radzi, bo na wsi wiadomostka jest pożądaną zdobyczą, za pomocą której można pięć albo sześć godzin przepędzić w gawędzce.

Obydwaj na prześcigi zagadali.

— Wiedzą panie o tym wypadku tego pana z Niemiec, co to pojechał z bratem pań na Kaukaz? Jakże to on się nazywa, Szwarcbir, Szwarcemberg...

— Szwarcwald.

Na to imię Anna pobladła, ale nie wstała z miejsca; Konstancya podchwyciła:

— Wiemy o tem wszystkiem.

— Otóż zabójcą był ten sławny żyd z Berdyczowa, zwany Abraham rudy.

— Cóż on miał za powód do tego zabójstwa?

— Powód, powód — i obydwaj spojrzeli na siebie. Starolacki chciał przerwać rozmowę, ale Antoni nie dał mu nawet ust otworzyć.

— Otóż ten żyd został przyprowadzonym do Kijowa i tam umarł nagłą śmiercią.

Starolacki wstał z miejsca i pod pozorem, iż ma z nimi do pomówienia, odprowadził ich na stronę.

— Janie, ty nie wiesz, kogo posądzają o zbrodnię.

— To bajka.

— Bajka, a może i nie bajka; hrabia Adalbert był w Kijowie, kiedy żyd umarł.

— No, i cóż z tego?

— Powiadają, że hrabia posłał żyda dla pozbycia się Niemca, z którym kiedyś kochali się w jednej kobiecie.

— To bajki.

— Ty nie wiesz Janie, że ten żyd był faktorem u ojca hrabiego.

— Istna potwarz.

— Ja słyszałem z pewnych ust, że hrabia w całą tę sprawę rękę umoczył.

— Zkądże ta wiadomość?

— Był w Kijowie.

— Wszak przecież i ja byłem.

— A na co w dzierżawę puszcza dobra?

— Chce za granicę wyjechać na jakiś czas.

— Po co — dla czego?

— O! ja wam powiem dla czego. Byliście na owym nieszczęśliwym ślubie, panna Anna nigdy nie chciała być żoną hrabiego (nie uważał, że Krasnopolscy uśmiechają się niedowiarstwem); teraz stara się pani marszałkowa o unieważnienie tego ślubu, panna Anna tego chce, hrabia ją kocha i dla tego oddala się z kraju na kilka czasów; ręczę wam, że tak się ma cała rzecz.

— Niech i tak będzie.

— Proszę was, nie wspominajcie imienia hrabiego przed panną Anną, toby jej było bardzo przykro.

Wrócili wszyscy trzej do herbaty i zaczęli mówić o innych rzeczach. Anna była cierpiąca, ale uśmiechem dziękczyniła Starolackiemu, jak gdyby słyszała całą jego rozmowę; okiem żebrała opieki i zdawała się garnąć ku niemu, ku jego przyjaźni. I Starolackiemu już nie tak tęskno na sercu.

— Ona mnie zna, ona wie, ile ją kocham.

Wtem Wojciech wszedł i przyniósł dwa listy do Starolackiego. Podkomorzyc spojrzał na nie i schował; on poznał, że to od Władysława i nie chciał o tem mówić przy Annie; odganiał od niej i cień cierpienia, coby mógł bardziej zatroskać i tak już zatroskaną duszę.

XXX.

Tajanie śniegów i puszczanie wód pospóźniały poczty i były przyczyną, iż Starolacki odebrał od Władysława dwa listy naraz, różne od siebie i czasem i miejscem; pierwszy był taki:

— Wróciłem do Ekateryndaru. Od czegoż zacznę, mój drogi Janie? tyle rzeczy mam ci powiedzieć. Szwarcwald zdrowszy, ja się kocham. O! i jak się kocham! Lżej mi teraz na sercu, kiedym wypisał do ciebie to słowo mojej tajemnicy, bo oprócz ciebie nikt o tem nie wie; mogę o niej mówić. Jaka ona śliczna, jaka dobra! to anioł, młoda, w kwiecie wieku, w blasku piękności, przyjechała czuwać nad chorobą przyjaciela, współrodaka, bo ona sama kilka razy mi powtarzała: Pan Szwarcwald urodził się w jednem mieście ze mną, znaliśmy się z sobą dziećmi. — I ja byłem jej wdzięcznym za to powiedzenie, o którem nie śmiałem zapytać; błogosławiłem tym słowom wymówionym bez spuszczenia oczów ku ziemi, bez krasy na licach; one mi zdawały się zwiastować: On nigdy nie był moim kochankiem.

Ależ jakie było ich powitanie! Ona z całą czułością siostry, że zaledwie nie powiem kochanki, biegła ku niemu; ale on zimną twarzą i jeszcze zimniejszemi słowami śmierć zadał popędowi jej uczucia. Ona płakała, ale i jemu łzy stały w oczach, tylko je powstrzymywał rzęsą; rozmawiali

z sobą, jak gdyby jakieś więzy krępowały samowolę ich uczucia, jak gdyby słowo było w wiecznym sporze z sercami. Ile razy sami zostaną z sobą, tyle razy na ich twarzach widać zapłakanie; przy ludziach mówią o rzeczach obojętnych, czasem tylko jak przez zapomnienie wymknie się jej z ust: Ferdynandzie! — jemu: Amelio! — ale wnet poprawią się. Jest tajemnica, co ich owionęła dokoła, a jednak sam siebie pojąć nie mogę, dla czego zawiść i podejrzenie nie wkradają się do mojej duszy.

Więcej ci powiem. Kiedy który z tutejszych oficerów mówi z Amelią i oczy jej żywszym ogniem zapłoną, albo czoło powlecze się smutkiem, chociaż dobrze wiem, że rozmowa była o jej mężu, którego znali kozaccy oficerowie, okropna mną zazdrość miota. Przerywam rozmowę natrętnem zbliżeniem się, albo słówkiem, jak to mówią, na wiatr rzuconem, i wtenczas gadam niezmiernie dużo, ale nie wiem o czem, i wszyscy mnie słuchają i nie śmieją się; zapewnie zgadują moją gotowość do zaczepki, a nawet chęć. Kiedy sam zostanę z Amelią, to nie wiem, od czego zacząć rozmowę i na jej zapytania odpowiadam tak, iż rozmowa co chwila rwie się, chociaż ona ma wielki dar snucia rozmowy z jednego prawie nic. Raz z młodym Hładkim, synem tego, co przeprowadził na stronę rosyjską Nekrasowców, rozmawiała o poezyi przez trzy godziny, a młody Hładki oprócz kilka dumek ukraińskich i niewielu bułgarskich piosnek nic nie umie, nic nie czytał. Ja umiem na pamięć arcydzieła Mickiewicza, Getego, Byrona, Zaleskiego, Brodzińskiego, Szyllera i tylu innych; niegdyś miałem namiętność do podobnych rozpraw; nieraz mówiliście, że jak złoto-usty Bojan o tem gadam; a teraz mimo najlepszej jej woli, mimo tysiąca nowych pomysłów, bogato rzuconych z jej ust, plączę się w myślach i brak mi słów.

Kilka dni temu wyjechaliśmy na przejażdżkę, kobiety saniami, my na koniach. Koło jednego futoru porucznik Skoropadzki przeskoczył koniem trzy płoty; Amelia krzyknęła z przestrachu, a potem spojrzeniem oka przyklasnęła dziarskiemu jeździcowi. Przed nim był jeszcze czwarty płot, w mig się obróciłem i mój wrony koń przesadził jeden po

drugim wszystkie cztery płoty. Wróciłem do sanek, w których była Amelia, piękna bladością i okiem, z którego łza radości zmywała zalęknienie przestrachu; drobną rączką po kilka razy pogładziła mego konia, a ustami zaszemrała:

— Tak się nie godzi.

Zapomniałem ci powiedzieć, że Amelia bardzo pięknie rysuje i ma przecudny zbiór widoków Kaukazu i czerkieskich utarczek. Na trzeci dzień po naszej przejażdżce bez pozwolenia przeglądając jej rysunki, znalazłem nowy: jeździec przesadzał koniem czwarty płot, a na sankach niewiasta tuliła ręce dłoniami jak do modłów i wznosiła oczy dziękczynienia ku niebu. Czyżby ona miała myśleć o mnie? czyżbym to ja miał być tym jeźdzcem, a ona niewiastą? Nadeszła; jakem zamykał książkę, lubą roskoszą poiła się moja dusza; ona zarumieniła się w pierwszej chwili, ale wnet poczęła mówić o wielkim śniegu.

Tegoż samego dnia prosiła porucznika Staropadzkiego, aby przyjechał na swoim koniu, gdyż ona chciała go rysować i rysowała. Znalazłem sposobną chwilę, przedarłem ten rysunek, a chlubny byłem zemstą. Nazajutrz Amelia pochwaliła się przedemną tymże samym rysunkiem, który już był przerysowany i zupełnie wykończony. Chciałem już, jak gdybym do tego miał prawo, wyrzucać jej niewiarę, zalotność i sam nie wiem co, ale ona przewróciła kartkę i pokazała mi widok Anapy, a w oddali grobowiec jej męża: spojrzałem na jej szaty żałoby, nie śmiałem słowa powiedzieć i oddaliłem się po tej niemej rozmowie.

Janie, ona mnie nie kocha. Mówiłem z nią o uczuciach w ogólności, o wszystkich, nie o jednem. Ona mi odpowiedziała:

— U panów wszystkie uczucia są skutkiem wmówienia. Ludzie przez żart powiedzą, pan w tej albo w tej się kochasz, i pan powtarzasz sobie: możeby to i tak być mogło; wkrótce sami sobie mówicie: kocham się, i miłością wmówioną, udaną chcecie zastąpić uczucie serca. A kiedy próżność panów zobaczy przed sobą na kolanach uwiedzioną ofiarę nieszczęścia, natenczas odwracacie od niej oczy, mówiąc: Cóż ja temu winienem, że tak się we mnie zakochała, ja nigdy jej nie

kochałem, żartowałem ot tak sobie dla przepędzenia czasu. Obojętnością i samolubstwem zabijacie nieszczęsną, co wam zawierzyła.

Ja broniłem nas, broniłem siebie; ona na mnie spojrzała.

— Moje zdanie niezmienne, że panowie robicie wszystko dla siebie, nie dla uczucia.

Przysięgałem, że to nie jest tak, ale tym razem już wyraźniej moje uczucia wyłoniałem.

Amelia się uśmiechnęła:

— Wierzę panu.

W jej uśmiechu, w tem słowie «wierzę» malowała się chęć pozbycia się mnie; nudziłem ją, ona mnie nie kocha. Pamiętam twoje słowa, Janie, kiedym chciał smutek od ciebie odpędzić. Dowodziłem, że panna Anna nie może kochać hrabiego Adalberta: ona kobieta kochającego serca, bogatej duszy, a u hrabiego próżne serce, czcza dusza i głowa taka pusta. Tyś mi odpowiedział: «Miłość ślepe dziecko, nie szuka ani uczucia, ani rozumu, lata sobie ot tak bez przewidywania, bez celu, a kiedy się kobieta zakocha, w zbrodni widzi cnotę, w głupstwie rozum, w niecnem udawaniu namiętność uczucia; ale trzeba, żeby się zakochała, inaczej wszystko ją nudzi.»

Prawda, prawda Janie, ja nudzę Amelię; ona mnie nie kocha.

Ferdynand już zupełnie zdrowy, przechadza się, przejeżdża się.

W poniedziałek przedostatni był wielki obiad u Ładyńskiego; Amelia i Ferdynand na nim byli. Zaczęto rozmawiać o koniach biegunach. Jeden z oficerów, nie uważałem który, powiedział, że w Berdyczowie na jarmarku widział sławne bieguny u hrabiego Barowicza. Amelia zbladła, a Ferdynand jak zawsze na każde wspomnienie o hrabim, zachmurzył czoło i dziko poglądał. Nie wiem dla czego, mój Janie, zacząłem mówić o twoim liście, o twojem nieszczęściu, o ślubie Anny z hrabią; Amelia skryła twarz swoją w chustkę, jak gdyby jej słabo się zrobiło, i wstała od stołu. Wielkie to zrządziło zamięszanie. Ferdynand do mnie przy-

stąpił i rzekł jedno tylko słowo: — Okrutny! — i nimem mu odpowiedział, już on się udał za Amelią. Ciekawość wszystkich była ogromna, moja najogromniejsza. Poszedłem do Ferdynanda; on był spokojniejszy, nie chciał mi objaśniać, co miało znaczyć to słowo okrutny, a prosił o twój list; dałem mu go. Czytał, gniewał się i niecierpliwił się, powtarzał: — Zbrodzień! występny! O! jedźmy, jedźmy, ja się zemszczę. — Wszedł do pokoju Amelii, a ja zostałem. Ja jak dziecko zbliżyłem się do drzwi, jak zbrodniarz czekałem wyroku; słyszałem wyraźnie płacz Amelii, gniewne słowa Ferdynanda; wyraźnie słyszałem, jak głośno wymawiał: — Warciście siebie oboje. — Potem ona go błagała; spojrzałem przez szparę: ona była na kolanach przed nim, a on ją odtrącał. Chciałem drzwi otworzyć, bronić jej, zniżyć jego dumę, podnieść jej poniżenie; dotknąłem klamki, ale tak mi dziwnie zrobiło się na sercu, taka niemoc owładała moje ciało, iż nie wiem, jak osunąłem się na sofę obok drzwi stojącą, i nic nie widziałem, nic nie słyszałem. A kiedym oczy otworzył, ujrzałem obok siebie Amelię i Ferdynanda; na ich twarzach nie wyczytywałem nic więcej, oprócz troskliwości o moje zdrowie. Przyznam sie, chciałem odtrącić ich od siebie, ale jakże ją odtrącić? Ona tak czule mnie wypytywała, on tak po przyjacielsku rękę mi ściskał. Musiałem marzyć, musiało mi się przywidzieć — o! nie. On mi później oddał twój list; pytałem go, ale tak mi odpopowiadał, że jeszcze w większą tajemnicę całą tę rzecz osnuwał.

Amelia takoż milcząca, wyraźnie stroni odemnie, a jednak jutro razem jedziemy do Kierczu.

Janie, może Ferdynand kochankiem Amelii, może ona go kocha! Pocóż ja z nimi jadę, oni ze mnie się śmieją; co oni o mnie i myślą i mówią! Na los, na przeznaczenie, na przypadek się spuszczam; sam nie wiem, w co wierzę — ja kocham.

Nic ci nie mówię o Tamanie, o Ekateryndarze, o braciach Czarnomorcach — bo nic o tem wszystkiem ani pisać, ani myśleć nie mogę — jabym pisał o niej. Wro-

nego konia biorę z sobą — ona go gładziła ręką, ona go rysowała.

Śmiej się ze mnie Janie, płacz nademną Janie — ja się kocham.

Bądź zdrów i szczęśliwy, jeźli możesz. Twój

Ekateryndar, 10. grudnia.

Władysław.

XXXI.

Ona mnie kocha! Janie, słuchaj o mojem szczęściu i o mojem nieszczęściu; dziwnem ci będzie się zdawało to małżeństwo rzeczy tak sobie przeciwnych: dnia z nocą, czarnego z białem; ale słuchaj Janie.

W drodze uważałem, że postępowanie Ferdynanda z Amelią było jakby ojca z córką; słyszałem często, jak jej dawał nauki, rady, a nawet czasami strofował, jak malutką panieneczkę. Jenerałowa Morozowa, która także jechała do Kiercza, a która zapewnie musiała wiedzieć o wielu rzeczach, prześladowała Amelię tym jej opiekunem surowym i poważnym. Amelia ani rumieńcem, ani słówkiem nie broniła się od żartów jenerałowej, a ja przyznam się, że to mnie bardzo cieszyło. Wierzę i wierzyłem w tę prawdę, że kto chce być nauczycielem młodej kobiety, nie może się stać jej kochankiem; że kobieta, co ma serce do kochania i chce kochać, od tego, którego wybrała, zniesie prędzej sprzeciwianie się sobie, a nawet obrazę, jak mentorskie rady. Kto chce z serca kobiety rozwiać miłość już poczętą, dość, żeby morałami na nie dmuchał. W tysiąc kształtów ubierałem te moje prawdy i radowałem się niemi, jak nadziejami, jak mojem przyszłem szczęściem. Podejrzenie przestało kłócić moją myśl, wiedziałem, to jest domyślałem się, że Ferdynand Amelii nie jest niczem innem, tylko przyjacielem, towarzy-

szem lat dziecinnych. Ośmieliłem się pytać Amelii o Ferdynanda; ona mi z całą szczerością powiedziała: — Jabym chciała panu wszystko wyjawić; że tego nie robię, nie moja w tem wina — on o to prosi, on tego nie chce. Mnie tajemnica cięży na sercu; może tyle albo i więcej, jak pociąga pańską ciekawość. — Jej oczy potwierdzały prawdę słów tem niebiańskiem wejrzeniem, co powątpiewanie wygania z duszy zakamieniałego niedowiarka.

Pytałem Ferdynanda; on mi rękę uścisnął: — Będziesz wiedział, teraz ci powiedzieć nie mogę, to moja święta tajemnica — i tak się zasmucił po tych słowach, że po raz drugi nie chciałem powtarzać mojego zapytania. Dla mnie dość: oni nie byli kochankami, czas odkryje prawdę, a ta tajemnica doskonałą piastunką miłości.

W Krymie wśród tych gór niebotycznych, wśród tych dziwów przyrzody, Amelia żyła wspomnieniem; ona była w Krymie ze swoim mężem, łzy perliły się w jej oczach, a taka była ponętna i posępna, jak tamaryn strażnik grobów, skarbiec grobowych wspomnień.

Chodziliśmy po pustym zamku Girajów, deptaliśmy nogą białe marmury, po których niegdyś biegały czarodziejki wschodu. O! pewnie ich stopy, ich krasa, nie były takie jak Amelii, ona cudniejsza od nich; drzemały dusze tych krasawic i serca ich biły strachem, nie miłością — one niewolnice, a Amelia wolna. Tam w tym zamku, kiedy Ferdynand z jenerałową przypatrywali się temu mogilnikowi potęgi najeźdźców chrześciaństwa, ja na klęczkach u nóg Amelii błagałem o szczęście, mówiłem, że ją kocham, kocham — i nic więcej. Trzymałem ją za rękę, ona nie gniewnem okiem na mnie patrzyła, słodki uśmiech igrał na jej ustach, nawet w szale miłości zdało mi się czuć lekkie uściśnięcie mojej ręki; do ust przyłożyłem jej rękę, kiedy nagle mi ją wyrwała i smutnie, cicho zaszemrała: — Ja dziecko nieszczęścia — i poczęła płakać jak dziecko.

Janie, chciałem pocałunkami z jej stóp nieszczęście odegnać, ale posłyszałem kroki jenerałowej i Ferdynanda i wstałem z klęczek. Ja zaląkłem się ludzi, jakby to było źle kochać; sam przed sobą rumieniłem się, dziecinnego wstydu.

Amelia tego nie uważała, była zadumaną i aż do przybycia do Kierczu widziałem ją taką.

Tu w Kierczu pozawczoraj zrana wszedł do mojego pokoju Ferdynand, i jakiż mi «dobrydzień» powiedział:

— Władysławie, Amelia twoją być nie może, nigdy a nigdy.

— Jakto! moją być nie może? — zawołałem i porwałem go za rękę.

— Nie może być twoją, patrz i czytaj. — Oddał mi zapieczętowany pakiet, odrywam pieczątkę, drę kopertę — list kilka słów: «Panie Władysławie, w tej chwili już mnie niemasz w Kierczu — nigdy się nie zobaczymy. Ja kocham, ale być twoją, panie, nie mogę — nigdy a nigdy. Czytaj karty mojego nieszczęścia. Amelia.»

Proszę Ferdynanda, żeby mi powiedział, co to znaczy. On rzekł: — Czytaj, co ci przesyła. — Rzuciwszy okiem — to jej pismo. Biegnę do portu, statek parowy już wypłynął, ona nim pojechała, a drugi nie wyjdzie, aż za piętnaście dni. Piętnaście dni — to wiek. Przepisałem cały wyrok mojego nieszczęścia, nie jedna łza tam padła — ona taka nieszczęśliwa! Janie, czytaj, ona kocha twego Władysława. Bądź zdrów. Twój

Władysław.

Kiercz, 30. stycznia.

XXXII.

Starolacki czytał te karty życia Amelii:

«Do szesnastego roku mego życia żyłam jak się zwyczajnie żyje na świecie; sześcioro nas było u rodziców: cztery siostry i dwóch braci. Rodzice moi nie tak dostatni, aby mogli obsypać nas błyskotkami wielkiego świata, nie tak ubodzy, abyśmy niedostatkowi mogli z blizka się przypatrzyć, dali nam w wychowaniu to wszystko, co bogaci duszę, co odgania nudę od tego nudnego życia przez się, jeźli go nie ubarwiemy myślą i czuciem.

Słodko mi, lubo przypomnieć te chwile, do których wstecz życiem wrócić nie można, ale można wspomnieniem. Kiedyśmy się wszyscy zgromadzili pod starą lipą, niegdyś w ulubionem miejscu spoczynku naszego pradziadka jeszcze, ojciec nam czytał poetyczne tchnienia Göthego, albo słowa harmonii Szyllera, albo fantastyczne urojenia Hoffmanna. Czasami wszyscy śpiewaliśmy pieśń Körnera i wychodziliśmy między góry, z których Bürger snuł swoje ballady. Wtenczas czułam tę melodyę rozlaną po ojczystej ziemi, czułam, jak ona tchnęła w duszę naszych poetów, a oni pojeni jej lubością, nieożywioną nótę przedzierzgali w harmonijne dźwięki ducha i mowy. Rozumiałam to zespolenie się melodyi ducha świata z harmonią ducha poety, a jeszcze bardziej to rozumiałam, kiedy pod mojemi palcami martwe klawisze

fortepianu śpiewały wielkie słowo Mozarta, straszną mowę czarnoksiężnika Webera i jaskrawe a szumne wyłonienie się ducha Majerbera. Szczęśliwa naówczas byłam, uchem chwytałam głos ludzi mojej ojczyzny, czuciem dzieliłam ich czucie, pojmowałam i podziwiałam.

Za młodu dusza moja wtórem odpowiadała poezyi: lubiłam wiosnę w pączku, i skwar lata, i szum burzy, i tęskną posępność jesieni, i groźną postać zimy. Lubiłam to wszystko, bo myśli moje na ich widok przybierały podobną barwę i przędły urojenia jedne czarowniejsze od drugich. Serce moje albo pływało w lubości, albo trapiło się smutkiem, ale zawsze dusza rosła. Nie lubiłam długiej jednostajności, bo ona była podobną do tego nic, z którego nic wysnuć nie można, co wszystko trzeba było stworzyć, a stworzywszy, jeszcze widzieć rozstrojenie ducha świata z tworami naszego ducha.

Takie były usposobienia mojej duszy, kiedy doszła wieść o wypadkach nad Wisłą; bohaterstwo, śmiałość, niedola, wszystko to dzieci poezyi. Niemcy umieją pojmować i być poetami; świat widział, czyśmy umieli pojąć poezyę czynu.

Był to czas zapust u nas i weselono się i smucono się na przemiany, w miarę wieści, jakieśmy odbierali. Na jednem licznem zgromadzeniu u najbogatszego obywatela naszego miasta zauważałam nieznajomego młodzieńca; ciekawości się nie zapieram, pytałam, kto on jest? Powiedziano mi, że Polak, spieszy nad Wisłę, ale zmuszonym jest kilka tygodni w naszem mieście zabawić. Widziałam w nim bohatera.

Przypadkiem zapewnie przyszedł zaprosić mnie do tańca; tańcowałam z nim, rozmawiałam. Są ludzie, co nie wierzą w to współczucie czarodziejskie, co nagle dziwną mocą rozpłomienia miłość w sercach ludzi, którzy poraz pierwszy się widzą i może są przeznaczeni, aby się już nigdy nie widzieli. Ja i temu wierzę; ale kiedy nawykliśmy mówić o człowieku sławy albo niedoli, kiedyśmy o nim roili w myśli, a ujrzymy go na jawie w kształcie choć cokolwiek podobnym do naszego rojenia, wtenczas nagle zakochać się można. Ten Polak, którego imienia nie wymieniam — oh! gorzko, boleśnie

byłoby mi go wymienić — miał tęsknotę na twarzy, hardość w postawie; w takie barwy imaginacya moja ubierała Polaka. Tego wieczora jeszcze tyle mi lubych rzeczy powiedział, tak słodki uśmiech pieściły jego usta, taki ogień płonął w jego oczach, iż go pokochałam.

Nazajutrz brat mój starszy wprowadził go do naszego domu. On mówił o swoim kraju, o swoich, a myśmy wszyscy go słuchali; niejedna łezka smutku spadła z mego oka, niejedną chwilkę czułam jakąś nieznaną chlubę, lejącą mi się w sercu — ja go kochałam. Nim on powiedział: kocham! już kochanie owładło całe moje jestestwo.

O! jakże to słodko z lubych ust usłyszeć to boskie słowo: kocham! Zdaje się, że w niem jednem zawarta cała poezya świata ziemskiego i nieziemskiego — że przez to słowo: kocham! wyrzeczone ustami kochanka, kochamy Boga, kochamy ludzi — że przez nie Bóg nas kocha i ludzie kochają.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam z jego ust to «kocham», pobiegłam do mojego pokoju, modliłam się do Boga — ściskałam moje siostry, moich braci, całowałam ptaszka w klatce — przykładałam do ust kwiaty, listki drzew, trawki, wszystko pozdrawiałam pocałunkiem szczęścia — bo szczęście było w mojem sercu, było w mojej duszy.

Nie trapiłam jego serca milczeniem, nie szukałam słówek do powleczenia prawdy, z których wszystko można się domyślić, a nic zrozumieć. Rumieniec palił mi lica i usta, a jednak śmiało powiedziałam: kocham! — i tak mi słodko było po tem słowie! Płakałam z radości, patrząc na szczęście jego twarzy — żyłam jego szczęściem, mojem szczęściem. O! tak żyć wieki chwilami, a chwile całem życiem!

Kto kochał i zdało mu się, że był kochanym, o! ten wie, że kochanie, to złota nić życia, na której się snuje całe szczęście ludzkie. Jak ona się zerwie, niemasz szczęścia — jeźli ona nie wysnuje się jeszcze na jaw, niemasz szczęścia. Czysta miłość, że o ledwie nie powiem niebiańska, tuliła się do mojego serca, byłam bez żadnej obawy; ani mi przez myśl przeszło niebezpieczeństwo. On był nieśmiałym, trwożliwym nawet; sam mi nieraz powiadał, że do mnie mówiąc, ledwie poważy się mówić o miłości.

Przyznam się, że często sama albo zaczynałam mówić, albo dawałem powód mówienia o mojem uczuciu i jego ośmielałam; a jednak ta lękliwość kochanka była mi bardzo miłą. Chlubiłam się nieraz: — On mnie nie tak kocha, jak inne kobiety. I w zbytku dumy marzyłam: — On moim niewolnikiem, niewolnikiem miłości — bo to było jedno: miłość nademną panowała, a ja byłam usamoistnionem kochaniem.

Rodzice moi, bracia spostrzegli to nasze uczucie; ja go przed nikim nie ukrywałam. Pierwsza matka moja radami i naukami, jakby nie do mnie mówionemi, obudziła we mnie myśl, że tak, jak to nieraz w książkach czytałam, miłość ma kwiaty i ciernie, ma życie i śmierć, i gorsze stokroć rzeczy nad samą śmierć. I ta mowa matki tak zwarzyła moje szczęście, iż żeby uniknąć bezustannych cierpień, zaczęłam ukrywać się z mojem uczuciem. Nie śmiałam przy ludziach słówka wymówić do mojego kochanka, stroniłam od niego, udawałam obojętną, a serce moje płakało. Bez ludzi zbliżałam się do niego i wtenczas już nie tak jak dawniej z podniesionem czołem, ale ze spuszczonem okiem, z zarumienionem licem stawałam obok niego; drżałam strachem miłości i nie śmiałam ust otworzyć.

On wcale był inny, ściskał mi ręce, całował na klęczkach, przysięgał wieczną miłość — ale już ani w jego głosie, ani w jego spojrzeniu nie było dawnej lękliwości. Kiedym spojrzała z ukradka na te oczy pełne ognia, śmiałym wzrokiem wodzące po mojej twarzy, nie mogłam znieść ich blasku; kiedy mówił do mnie głosem namiętnym, śmiałym — serce moje gwałtownie biło, obudzone tym dźwiękiem, ale do dawnej lubości mięszał się strach. O! ja byłam jego niewolnicą, pokorną, posłuszną. On to czuł — pokazywał to, że był moim panem. Ja nie popełniwszy żadnej winy, bałam się stanąć przed obliczem rodziców.

Ojciec mój także niewyraźnie, nie otwarcie, ale pod tym samym sposobem jak matka, dawał rady i nauki, pochwalał moją udaną obojętność i stronienie, a jednak kochanka grzecznie i uprzejmie przyjmował w swoim domu. Gdyby matka moja, gdyby mój ojciec byli szczerze, po prostu wy-

stawili przed oczy całe złe i dobre, i ja i oni uniknęlibyśmy byli nieszczęścia.

Wkrótce bracia moi zaczęli mi mówić o złej stronie kochanka i ciągle mi powtarzali o moim kochanku: — On twoim mężem być nie może. Przez dumę nie chcieli powiedzieć, że on bogaty, wysokiego rodu, a ja biedna dziewczyna. Często widziałem, jak rozmawiali z moim kochankiem i po każdej rozmowie smutek osiadł ich lica.

On przyszedł mi powiedzieć, że prosił rodziców o moją rękę, że oni mu jej odmówili, że bracia moi są temu przeciwni, że każdy krok naszego postępowania jest śledzonym. Błagał o tajemnicę, przysięgał, że mnie wiecznie kochać będzie, do grobu i za grobem — ja uwierzyłam, bo kochałam.

On przestał bywać w naszym domu, ale był w mieście. Ja wiedziałam, cierpiałam; on pisywał do mnie, prosił o tajemnicę — któżby odmówił prośbie kochanków! Milczałam i odpisywałam, a codzień dwa razy, trzy razy na dzień takeśmy z sobą rozmawiali. On był bogaty w sposoby, jak przesyłać swoje, a odbierać moje listy.

Miłość moja wzrastała; on wymagał koniecznie, abym z nim się widziała. Wiedziałam, że źle robię, ale przyzwoliłam, bo komuż miałam się powierzyć? Rodzicom nie, braciom nie; siostry moje były młodsze odemnie, one o miłości nie marzyły, one widziały moje cierpienia, mój niepokój, niewinności pieszczotami chciały go odemnie odgonić. Ja im dziękczyniłam.

Wieczorem przy blasku księżyca, przy szmerze wietrzyka wiosny widziałam mojego kochanka. O! jak on mnie kochał! Zaklinał, abym z nim uciekała, nazywał siebie moim, mnie swoją na wieki — serce moje ku niemu wyrywało się z łona, ale wola rzekła: nie, i wola zwyciężyła — a jednak Bóg mi świadkiem, żem go kochała.

Nazajutrz chciałam rodzicom wszystko powiedzieć, ale właśnie w tej chwili spostrzeżono kochanka mojego idącego do nas; natychmiast kazano mi wyjść z pokoju. Pobiegłam do ogrodu, pilnowałam — on wyszedł, blady, zagniewany, musiał mocno cierpieć. W kilka godzin odebrałam list: kochanek mój stracił nadzieję, aby rodzice moi dali się ubłagać,

prosił o łaskę, o dowód miłości, abym o północy z nim się widziała. Płakałam, całowałam siostry, jakbym ostatnie pożegnanie im dawała — przeczuwałam, a rodzicom i braciom anim słowa nie rzekła, anim łez moich nie pokazała.

O północy byłam z nim — trzeba było wybierać między jego śmiercią a moją ucieczką; on chciał się zabić w moich oczach — wybrałam.»

W tem miejscu był przypisek Władysława: «Tu Amelii ręka ledwie kilka słów wyraźnych na całą ćwiartkę rzuciła; reszta nie dała się wyczytać.»

Opuściłam dom rodzicielski . . . . w Wenecyi . . . . cztery tygodnie . . . . ja protestantka, on katolik . . . . byliśmy szcześliwi . . . . Niestety! i miesiąc nie upłynął jak dziś, pamiętam w poniedziałek . . . . o Boże! . . . .

XXXIII.

Opuszczona, sama jedna — na stole pełno złota i pismo: «Nigdy się nie zobaczymy, ja muszę jechać, muszę ciebie opuścić; wracaj do rodziców, oni przebaczą, a kiedyś może i nam nadzieja się uśmiechnie» — i ten wyrok śmierci on sam swojem imieniem podpisał — taki był dobrydzień od kochanka, od.... On mi kazał czekać uśmiechu nadziei, a dla mnie nadziei już nie było...

Nie umarłam, w pierwszej chwili nawet nie płakałam. O! nie pamiętam tego, czy nie wkradło się do mojej myśli powątpiewanie: czy ja nie marzę, czy ja nie śnię. Ubrałam się, zeszłam na dół do gościnnej komnaty i chwilkę bawiłam się nadzieją: on sobie chciał ze mnie zażartować, on tam jest. Tam zastałam już prawie wszystkich gości; za mojem wejściem półuśmiech szyderczy, co to jawnie mówi: my wszystko wiemy, a więcej jeszcze się domyślamy — objawiał się na wszystkich twarzach. Kobiety wstały i wyszły z komnaty, te same kobiety, z któremi wczoraj jeszcze jak z najlepszemi przyjaciołkami rozmawiałam. Mężczyzni wszyscy prawie zerwali się ze swoich miejsc i każdy zalotnie biegł mi ofiarować swoje usługi, prosić o rozkazy. Ja pytam o niego — tu jak śpiewy złowieszczych ptaków zaszumiły moim uszom pociechy, rady: — Piękna pani, odwagi trzeba, już on nie wróci, co się stało, to się odstać nie może, za-

radzić złemu najlepiej, śmiać się ze złego — i gorsze rzeczy, które jak ostrzem pruły po mojem sercu. Bladłam, bladłam, jak mi to potem opowiadano, drżałam i padłam na posadzkę, a jeszcze mi brzmiały w uszach te wszystkie okropne słowa, jak pieśń śmierci nie umarłemu, a grzebanemu człowiekowi w chwili niemocy; czuje on, że go w ziemię rzucają, a nie może powiedzieć: Ja żyję. I ja tak czułam, ale wkrótce czuć przestałam.

Kiedy oczy moje na nowo świat ujrzały, znalazłam się w łożu, koło łoża siedział lekarz i jedna pani. Dla czegóż mi nie kazano wymieniać żadnego nazwiska? Jej imię powiedzieć, światby poznał nazwisko. Ona była z tej małej liczby kobiet, co cnocie nie słowami, ale czynami hołd oddają; co dobrze robić, nie lękają się potwarzy; gdzie idzie o niesienie pomocy drugim, tam zawsze serca swego słuchają. Ona mi pierwsza mówiła o nim — pani serca, wiedziała, że chcąc nieść ulgę sercu, trzeba je najprzód rozranić, prawdę bolu na jaw wykryć, a dopiero potem leczyć. Płakałam, opowiedziałam jej całą prawdę, a jednak nie śmiałam go winić — ja go kochałam, i ona go nie winiła, tylko mnie ścisnęła za rękę. Tym głosem, co to leje urok pociechy do serca, temi słowami poufałości, co wychodząc z ust cnoty, mażą niesłuszność potępienia, przed którem i najczystsza miłość się zalęknie, rzekła: — Biedna Amelio, ja ci będę przyjaciołką, siostrą. — Ta pani była Polką. Ileż ona czuła, że jej rodak przysiągłszy w oczach Boga i ludzi miłość i wiarę biednej, wierzącej niewieście, opuszczał ją na nieszczęście, na potępienie ludzkie. Moja opiekunka każdemu nieszczęściu zawsze i wszędzie gotową była podać rękę, mojemu tem bardziej, bo miała w swojej duszy miłość ojczyzny, która chciałaby niepokalaną czcią otoczyć, co tylko polskie imię nosi, a pchnąć w wieczną tajemnicę, co tylko mogłoby kazić Polskę, a nawet Polaka.

Jak tylko mogłam wstać z mojego łoża, natychmiast byłam nieodstępną towarzyszką wszystkich rozrywek mojej opiekunki. Serce moje cierpiało, duszę moją trapiła tęsknota i od czasu do czasu targała bolesna rozpacz; ale muszę wyznać, że to umilknienie szemrań obmowy, to uszano-

wanie, jakie mi wszędzie okazywano, dla tego, iż byłam z panią niczem niepokalaną, dodawało nietylko ulgi moim cierpieniom, ale nawet nadziei, że los mój zmieni się kiedyś.

Jeszcze sześć tygodni bawiłam w Wenecyi; pisałam do moich rodziców, do moich braci kilka razy, ale żadnej nie odebrałam odpowiedzi. Moja opiekunka wyjechała do Wiednia i mnie z sobą zabrała. Tu dopiero opowiedziała, że ona sama pisała do moich rodziców, którzy przysłali w miejscu przebaczenia klątwę. Dodała: — Wszystko tak było nieprawnie zrobionem, że prawnicy najznamienitsi powiadają, iż nie masz w tem wszystkiem żadnej ważności. Teraz nic więcej nie pozostaje, tylko jego szlachetność; wątpię, aby on miał złą wolę, albo złą wiarę — on w Polsce urodzony.

Czuły, błagający list napisałam do mojego kochanka, do mojego... Moja opiekunka także pisała, a nawet uprosiła jednego ze swoich krewnych, aby pojechał do Polski. Po długiem, długiem oczekiwaniu, jednego ranka ze łzami weszła do mojego pokoju.

— Amelio, on chełpi się z występku, on przyznaje, że umyślnie tak zrobił, aby związek wasz był nieprawnym; ale wiesz, że w nim nie ma szlachetnej krwi polskiej.

Widząc bladość mojej twarzy, zatrzymała się z dalszą mową i poczęła mnie pocieszać i słowami nadziei odganiać nieszczęście i niecześć, które rdzą padły na całą moją przyszłość.

Kto kochał i wierzył w kochanie, kto ufał słowom kochanka, jak słowom Bożym, kto żył dla kochania i przez kochanie, a przez nie był oszukanym, zdradzonym, wskazanym na potępienie ludzi — nie na potępienie Boże, bo Bóg widzi niewinność i wiarę nieszczęścia — ten wie, co się czuje w sercu i w duszy w pierwszej chwili objawienia się tej złej woli. Rozpacz sromu posiadła miejsce rozpaczy miłości; zdało mi się, że wszyscy ludzie wiedzą całe moje nieszczęście; chciałabym, żeby wszyscy jak spowiednik wiedzieli najmniejszy dzień mojego życia, chciałam, żeby całe potępienie ludzkie i Boże spadło na niego, i przyznam się, że w tej chwili już go nie kochałam.

Moja opiekunka położyła tamę tej chęci wyłonienia mojej tajemnicy, mówiąc: W świecie prawda objawiona nie zaradza nieszczęściu, często służy za pastwę obmowie wszystko szydzącej swoim jadem: są wypadki, w których taić prawdę jest koniecznością.

Po kilku dniach cierpienia zemsta porodziła się w mojej duszy; chciałam się zemścić, ale jak? Myślą przewracałam wszystkie sposoby zemsty, jakie kiedy istniały, a o których słyszałam, i nic nie przypadało do mojego położenia — marzyłam: gdyby on mnie kochał. O! wtenczas potrafiłabym się zemścić! Może on mnie kocha — i po tej myśli podtenczas lubej już nie na sercu, ale miłości własnej, gorzki uśmiech przeleciał mi po ustach: — O! ja się pomszczę.

Kiedy uczucie niecześci i zemsty w parze opanuje serce niewiasty, jak szalona i myśli i robi; bezład w pomysłach, bezład w sądach, dziwne jakieś piętno wybija na wszystkie jej czyny i dziwnie brzmi w słowach.

Dotąd żyłam w Wiedniu jak na samotności, nikogo nie widywałam oprócz mojej opiekunki i czasami kilka osób, jej przyjaciół poufałych; odmawiałam okazywać się w świecie, między ludźmi. Chciałam zmienić ten tok życia; moja opiekunka jakby odgadła moją myśl, powtórzyła dawne żądanie, i ja przyjęłam z wdzięcznością.

Stroiłam się, pragnęłam być piękną, jakby on to miał widzieć, albo jakby kto taki mógł mu o tem donieść lub powiedzieć. Starałam się podobać i wtenczas się przekonałam, że kiedy serce nie ma kochanka blizko siebie, najlepiej i najpewniej można wszystkim się podobać. Mówiłam, że moja opiekunka była wielką panią: zjawienie się nowej osoby w jej towarzystwie wzbudziło wszystkich ciekawość, a za ciekawością ślad w ślad szła chęć poznania, a może i podobania się mnie.

Między licznem gronem młodzieży, którzy na każdym wieczorze przychodzili mnie witać, ze mną tańcować i rozmawiać, znajdował się hrabia Tiumen, kapitan rosyjskiej gwardyi, tymczasowo należący do poselstwa rosyjskiego.

Zawsze prawie słodko niewieście, odbierać hołd czci swojej krasy od mężczyzn, ale kiedy jest zdradzoną i opu-

szczoną, i już chęć zemsty z pogardą, a nawet i nienawiścią pocznie bujać nad miłością: wtenczas takowy hołd słodszą roskosz rozlewa po sercu i zdaje się, że los tym hołdem mści się za niewiarę i koi cierpienia, bo pochlebia miłości własnej, obrażonej przez kochanie.

Nie kochałam wcale hrabiego, chociaż był bardzo przystojny, zgrabny i dobrze wychowany; rana mojego serca była zanadto świeża — jednak słuchałam chętnie jego grzeczności i usiłowałam być taką względem niego. On mnie kochał, żądał mojej ręki — przyjęłam żądania i myślą pocieszałam się: otóż zemsta. Opiekunka moja nadzwyczaj rada z tego wypadku, ułatwiła wszelkie trudności w dostawieniu papierów, wyposażyła mnie nawet; mimo wszelkich przeszkód przyjaciół hrabiego wyszłam za niego za mąż. Pierwszym moim czynem było napisanie listów do rodziców, do braci, do sióstr. Chciałam jechać z mężem, rzucić się w ich objęcia — kiedy odebrałam od ojca list piorunujący przekleństwem. Moje małżeństwo nazywał zbrodnią w oczach Boga, polecając, jakby tknięty ostatniem pomiłowaniem rodzicielskiego przywiązania, abym uciekała w oddalone kraje, gdyż ludzka sprawiedliwość przyjdzie dopominać się o swoje prawo i niesławą skazić moje imię i ich starość.

Strwożona, cierpiąca, listu tego nikomu nie pokazałam; mojej przeszłości zaczęłam się wzdrygać jak największej zbrodni i na teraźniejszość patrzałam ze strachem. Ale już nauczyłam się co innego myśleć, a co innego mówić — nieszczęście było mi szkołą i nauczycielem.

W tym czasie mąż mój odebrał rozkaz jechania do Anapy — pojechaliśmy. Rodzina mego męża gniewała się za to małżeństwo, ale niemożność zaradzenia złemu i czas gniew złagodziły. Nie kochając, ale będąc kochaną, byłabym szczęśliwą, gdyby wspomnienie przeszłości nie przychodziło truć mego spokoju. Przejeżdżałam przez kraj, gdzie był człowiek, którego kochałam; myślałam: żeby on wiedział o mnie, toby była moja zemsta. Dziecko byłam; on o mnie już i nie myślał może — możeby powiedział: chwała Bogu.

I roku nie przeżyłam z mężem-przyjacielem — śmierć mi go zabrała. Opłakałam go jak przyjaciela, nie jak kochanka;

on taki był dobry dla mnie, on mnie kochał; pamięć o nim nie poznaczyła się w mej duszy szczęściem i nieszczęściem kochania, ale błogiemi chwilami spokoju — pamiętać o nim będę, póki życia mi stanie.

Po tej stracie szczerego przyjaciela nowy cios uderzył w moje serce. Rodzice moi, cała rodzina wołają, żem nie wolna. Pójdę z czołem sromu upaść pod nogi tego, który stał się zabójcą mojego spokoju, wyznawać przed nim: — Panie! jam ci niesławę przyniosła, jam występna, karz mnie, przebacz mi. O! Boże miej litość nademną!

XXXIV.

Starolacki te pisma po dwakroć przeczytał, jakby swoją złą dolę tem pocieszał, że na tym świecie są jeszcze większe nieszczęścia, jak jego. Tak on mógł myśleć, by się głowy radził, ale że serce mu było doradzcą i o wszystkiem wyrokowało, nie było nieszczęśliwszego człowieka jak on. Kochał, a nie był kochanym; potrząsł głową, jakby wiedział o całej tajemnicy Amelii.

Nazajutrz, kiedy panny Karszyńskie pytały go, co pisze Władysław, bo one swoich listów zrozumieć nie mogą, odpowiedział:

— O Krymie, o Kaukazie, zwyczajnie romantyk.

Z Łucka odebrano pomyślne wieści. Marszałkowa po raz pierwszy od śmierci męża może spojrzała na córkę i na podkomorzyca i uśmiech nadziei gwałtem przewałęsał się po smutnej twarzy, jakby ztamtąd chciał zegnać smutek choć na chwilkę. Podkomorzyc odszedł na stronę, żeby objawieniem się swojego uczucia nie obrazić Anny, a ona spuściła czoło ku ziemi, dwie łzy perły zabłyszczały w oku — może temi łzami dziękczyniła matce, a może jeszcze płakała po Adalbercie. Serce, co po raz pierwszy kocha, nie snadno zapomina kochanka swoich oczów i swojej wyobraźni. Wstała i wyszła z komnaty; wszedłszy do siebie, w głos powiedziała:

— O! ja wstąpię do zakonu.

— Co pani jest takiego? — odezwała się Dorotka, której Anna nie spostrzegła, wchodząc do pokoju.

Są chwile, w których każda niewiasta rada, aby ją wypytywano, dawano rady i pociechy, nie uważając, z jakich ust te słowa wychodzą, nie zważając na przestrzeń, która dzieli ludzi nie tylko rodem i stanem, ale nawet uczuciem. Mężczyzna każdy w takim razie, jeźli tylko ma moc duszy, zamknie się sam w sobie i sam z siebie wszystko snuje. Niewiasta szuka pomocy i pragnie zwierzyć się; tego wyłonienia się potrzebuje jej dusza dobra, więcej skłonna do otrząśnienia się z samolubstwa.

— O! tak, moja Dorotko, już dla mnie nic więcej nie pozostaje, jak suknia zakonnic.

— Niech pani porzuci te myśli — pani taka młoda, taka piękna, jeszcze szczęście i wszystko dobre dla pani się uśmiecha.

— O! nie, nie — i oczy skryła w chustkę.

Dorotce żal się zrobiło.

— Pan Bóg miłosierny, kto wie, czy jeszcze nie powróci wszystkiego, co pani chce — zatrzymała się trochę w mowie, jakby wahała się, nareszcie dodała — może i pan hrabia...

Anna podniosła oczy.

— O! nie mów mi o nim, już wszystko się skończyło, ja nie mogę, ja nie chcę być jego.

Musiało ją wiele kosztować to wyznanie, bo wstała z miejsca, poszła do okna, czołem, ustami oparła się o szybę, żeby ochłodzić upał łez.

Te słowa Anny wcale nie zasmuciły wiernej pokojówki, owszem radość przewinęła się w jej oczach i widać, że układała, od czego zacząć nową rozmowę — zbliżyła się.

— A wie pani, że pan podkomorzyc...

— Cóż takiego? — odwróciła się i krasa powlekła stroskaną twarz; z tą łzą w oku, z tem posępnem czołem była piękną, podobną do niewiasty, co płakała za niebem i do nieba tęskniła.

— Dmytro mi powiadał, że chce gdzieś daleko jechać,

nie do Paryża, tylko w dzikie, puste kraje, zostać Arabem Czerkiesem, Pan Bóg wie, czem.

— Cóż ci jest, moja Dorotko?

— Dalibóg, że pani nie chce wierzyć, a ja, jak Boga kocham, tak prawdę mówię — zobaczy pani, że on pojedzie.

— Dla czegóż miałby jechać?

— Czyż to pani nie wie, dla czego? — on panią tak kocha, jak i dawniej kochał.

— A ja go nie znałam — i wymawiając te słowa, westchnęła.

— Ale teraz go pani poznałaś.

— Zapóźno.

— Niech pani tylko zechce, nie będzie za późno; wszyscy mówią, że ślub będzie unieważniony.

— Posłuchaj, co ludzie o mnie muszą mówić.

— Ludzie nic złego nie mówią, a choćby i mówili, to żeby im zamknąć usta — pójść za mąż, za pana podkomorzyca, on tak panią kocha, on taki dobry.

— Tem bardziej tego nie zrobię. Słuchaj Dorotko, i jażbym miała jego kochanie płacić sercem, które kochało, a może kocha innego — i jażbym miała jego imieniem okrywać w oczach ludzi obmowę, która słusznie pada na mnie? O! nie, nigdy, nigdy — mogłam być zaślepioną, lekkowierną, ale niewdzięczną — nie.

— Pani się pomiarkuje.

— To, co powiedziałam, to zrobię — zakon dla mnie.

— A dla pana Jana nieszczęście, on pani nigdy kochać nie przestanie.

Anna już nic więcej nie powiedziała, a Dorotka poszła odnieść marszałkowej i Starolackiemu wszystkie słowa swojej rozmowy; dodała do nich, co pani nie powiedziała, ale czego ona domyślała się i o czem była pewna, że zrobi przyjemność i matce i kochankowi.

Matka z tych słów ciągnęła słodką pociechę: Ona go przestaje kochać, zapomni. Bóg się zlituje nademną wdową, wszystko dobrze pójdzie. — O! nie, nie, moje dziecko w zakonie, ja po raz drugi osierocona, sama jedna na świecie —

z tego nic nie będzie. Gdyby to mój mąż żył jeszcze, onby się cieszył jednem, a nie pozwolił na drugie — i do myśli nadziei przychodziła się męszać myśl ciężkiego smutku. — Jam winna — i wtenczas jak w każdem nieszczęściu uciekała się do Boga i modliła o łaskę, o pociechę.

Podkomorzycowi nadzieja całym blaskiem zajaśniała przed oczy serca.

— Ona sama przyznaje, że mnie nie znała, ona lęka się, aby cząstka obmowy, którą na nią źli ludzie rzucają, nie spadła na mnie — umie cenić moją miłość. O! takie serce jeszcze nie zamarło dla czystego kochania, ono kochać jeszcze może; czas, moje poświęcenie się, spędzą czarne chmury z jej duszy; dziś tyle dba o moje dobre imię, później nie zechce mojego nieszczęścia.

Tak wnioskował szlachetny młodzieniec i wyrobił w sobie wolę: kochać, poświęcać się i czekać. U niego wola pomyślana wnet stawała się czynem — on potomek tego szczepu Owruckiej szlachty, u których wola prędzej na opór się przeobrazi, niżby miała zstąpić do zachwiania się i spełźnienia na niczem.

Anna po wyjściu Dorotki nie żałowała słów powiedzianych; dobrze o tem wiedziała, że i matka i podkomorzyc będą o nich wiedzieć, czuła to, jak wielka zmiana nastąpiła w jej duszy i w jej sercu — widziała, ile Starolacki ją kochał, nieraz nawet bawiła się przypomnieniami owych młodocianych lat, kiedy dziewicze myśli miłości szukały jego serca, ku niemu leciały, aby go owionąć kochaniem. O! jakby chciała wrócić życiem w owe błogie czasy — gdyby miała dzisiejszą wiedzę, byłaby szczęśliwą. Ale pomimo tych myśli obraz Adalberta nie wygładził się z jej serca, a to nie jego wina, że przed laty daleko wcześniej ją nie poznał. Ona go uniewinniała, bo kochanie jeszcze tlało w duszy, jak ogień mogilnika, co wiecznie płonie nad grobami pamiątek sławy i miłości. Stokroć powtarzała: — Ja nigdy jego nie będę i niczyją; oblubienicą Bożą zostanę. — Ale to postanowienie nie wzbudzało w jej duszy tej miłości niepokalanej ziemskiem uczuciem, tej pokory, tego zapomnienia siebie. — O nie! — mimowolny głos odzywał się z serca: zasłona

zakonnicy, rozbrat ze światem, wieczne więzienie, a ja taka młoda.

We śnie nieraz widziała ojca, jak na łożu śmierci przy skonaniu gasnącem okiem w nią się wpatrywał, ku niej wyciągał zeschłą rękę i grobowym głosem szemrał: — Biedne dziecko! — Ona się budziła, modliła się do Boga i powtarzała: — Już świat nie dla mnie — już ja nie dla świata.

To ciągłe dręczenie się wątliło jej zdrowie, nikła na krasie, wyraźnie choroba duszy owiała ciało; ale się nie skarżyła i matka jej się nie pytała o przyczynę smutku; mówiła: — Mój Aniele, czy cię głowa nie boli? — nie zimno ci jest? — czy nie chcesz co zjeść? — i tym podobne pytania. Ale jeszcze matce nie powierzyła swojej chęci wstąpienia do zakonu. Marszałkowa nie chciała pobudzać ją do zwierzenia się; ona wiedziała, że żądanie tajone może się rozchwiać i w nic obrócić — ale raz powiedziane zmienia się w domaganie i trudno z niem poradzić; bo miłość własna gwałtem wiedzie do oświadczonego celu, poszeptując: brak stałości nie zrobić, co raz powiedziało się, że zrobię. Matki mają to natchnienie duszy, żeby nie zawsze swoje dzieci znaglać do zwierzania się z chceń i tajemnic, kiedy niestety już one są bez wiedzy macierzyńskiej.

Lekarze zwyczajnym sobie obyczajem radzili rozerwanie się, przejażdżkę, kąpiele morskie w Odessie. Matka nagadawszy córce, że oprócz niej nie ma innej pociechy, innej podpory w świecie, napieściwszy serce Anny uczuciem serca, powiedziała, że chce jechać do Odessy. Anna rozczulona pieszczotkami matki, zgodziła się na jej wolę i ani słowa nie rzekła o zakonie.

Pani Karszyńska z córkami miała także jechać razem na powitanie syna, dla zabawy córek. Tego roku miał tam być świetny zjazd; prawie wszyscy z okolicy tam jechali. Starolacki nadjechał w odwiedziny właśnie tego samego dnia; Anna pierwsza przemówiła do niego:

— Pan Jan zapewne tej wiosny pojedzie do Odessy.

A matka dodała: — My z Anusią i pani Karszyńska z córkami za dziesięć dni tam jedziemy — niech pan Jan nam towarzyszy, będziesz naszym opiekunem.

Starolacki ucałował rękę marszałkowej, a okiem wdzięczności i kochania dziękczynił Annie.

W Lachowieckim dworze pan podkomorzyc, jak to kiedyś tam było, za powrotem wszystkich do siebie pohubił, wszystko pochwalał; a że już dawno tego nie bywało, pan Strzemecki zapytał Dmytra:

— Cóż to, mospanie? czy wilk zdechł w lesie, czy djabeł porwał żyda, że tak pan nasz zaweselał?

— Jedziemy do Odessy z paniami z Syngur.

— Ha! jestem w domu, przywyczka to nałóg; panicz nawrócił się do dawnej prykmety; ale patrzajcie, żeby się znowu wam nie wymknęła, bo kobiecie a koniowi, to nie wierzyć: kryknie, skoczy, taj poszedł, a potem łapajże wicher w stepie.

XXXV.

W Odessie, tym grodzie niesławiańskim na sławiańskiej ziemi, gdzie przy zakładowinach musiano więcej myśleć o djable, jak o Panu Bogu, bo nastawiano hukiem domów handlowych, pałacyków, składów i tak dalej, a nie wiele kościołów — w domu zajezdnym, zwanym angielskim, w pokoju bardzo wygodnie i strojnie przybranym, było dwóch mężczyzn: jeden blady, czemsiś zakłopotany, ciągle palił cygaro, rzadko słówko z ust wypuścił, ale słuchał pilnie mówiącego towarzysza.

Ten był człowiek nie wielkiego wzrostu, cienki i dosyć gibki; twarz miał na kształt figi, a oczy podobne do małpich oczów — a rzecz dziwna, choć mężczyzna, lice jego było utynkowane bielidłem i różem urumienione. Na nim pełno łańcuszków, spinek błyszczących, pierścionków i rozmaitych podobnych cacek. W ręku trzymał trzcinę ze złotą głową lwa na gałce. Ta szczególna ponęta do złotych błyskotek zdradzała poniekąd starożytny ród fifikowatego trefnisia. Mówił bardzo prędko, i jak to mówią, z giestykulacyami; ale nie mógł uchronić się od częstych zacinków i mimowolnego chlipania.

— Nie ma się czem pan hrabia kłopotać, umarli z grobu nie wracają, a w naszym oświeconym wieku nie zjawi się świadectwo jakiego nowego Piotrowina.

— Ale to zanadto.

— Cóż było robić? chciał wszystko powiedzieć od deski do deski, a gdyby to zrobił, krocieby kosztowało uniewinnienie się; pigułeczka mniej kosztuje.

— Panie Juliuszu, dajmy pokój temu — jeszcze bardziej pobladł i odwrócił się do okna.

— Jak pan hrabia zechce, niech i tak będzie; pokój wieczny jego duszy, niech i to będzie — a nam trzeba myśleć o podróży. Ja dostałem już uwolnienie, teraz tam czasem kto bąknie o tej rzeczy — mniejsza o to, za trzy lata powrócimy, ludzie zapomną, a kto ma złoto, będzie miał wszystko, co tylko mu się zechce...

— A spokojność?

— Niech pan hrabia o tem nie myśli, to się wszystko znajdzie, nie trzeba mieć tak łaskotliwego sumienia; a teraz czy mam ostatecznie ugodzić miejsce na okręcie ś. Genowefy do Marsylii?

— Ugodź.

— Pan hrabia pamięta, że trzeba, abyśmy za piętnaście dni ztąd wyjechali.

— Pamiętam.

— To ja idę — upadam do nóg pana hrabiego.

Wyszedł.

Pan Juliusz Maliraczy urodził się w Krakowie na przedmieściu Kazimierza. Był on potomek z owych rodów, co to, chociaż ich imion nie ma ani w Paprockim, ani w Okolskim, ani w Niesieckim nawet, mienią się być szlachtą. Ojciec jego przez nadzwyczajny jakiś wypadek ożenił się z dobrą herbową szlachcianką i pierworodnemu synowi dał imię Juliusz — rzymskie imię, nadzwyczaj poważane przez podejrzaną szlachtę. Z młodu wiele zapowiadał, lubił zwierzę lwa, rybę szczupaka a z pieprzem, i kruszec złoto. Został lekarzem i wyjechał na Ukrainę na nadwornego doktora do ojca hrabiego Adalberta; ztamtąd został okręgowym lekarzem w Kijowie, a że miał w sobie dużo pierwiastku handlowego, handlował rozmaitemi rzeczami. Do tej roboty przyjął sobie Niemca, wywłokę z jakiegoś klasztoru. Właśnie leczył choroby ciała i kieszeni, kiedy

przywieziono Abramka rudego do Kijowa, i kiedy hrabia Adalbert tam zbiegł, po odebraniu wiadomości od stryjaszka. Abramko rudy zmarł nagłą śmiercią; Juliusz pozyskał uwolnienie od służby, spólnikowi zdał handel, a sam z hrabią Adalbertem wybrał się w podróż do Francyi.

Hrabia zostawszy sam, obydwoma dłoniami ściskał skronie.

— Żeby przez kochanie wrócić do cnoty, chciałem się pozbyć przeszkody, i zbrodnia o mało nie została popełnioną. Żeby zachować sławę i dobre imię mojemu rodowi, chciałem się datkiem wykupić od kaźni tego, którego pchnąłem do zbrodni i zbrodnia została wykonaną — a ja czułem kochanie, chciałem się poprawić, mogłem być pokutnikiem i cnotliwym.

Te słowa wymówił jedne po drugich, jak gdyby serce wybrnęło z koła występku, poczynało czuć i czuć chciało — ale nie długo, chwilę trwało to roztargnięcie się siły żywotnej, znowu dawniejsza niemoc owionęła i duszę i ciało. Ta niemoc nierozdzielna towarzyszka duszy rozhartowanej zniewieściałem wychowaniem, a później pokalanej występkami świata; w świecie za nic je nie mają, a czasem za chlubę — jednak one stokroć gorsze od zbrodni. Zbrodnia ma swoje chcę i nie chcę, a występek i tego nie ma.

Rzucił się na sofę, płakał na swój los, lekceważył cnotę; po szatańsku zazłorzeczyć ludziom nie śmiał. Jak senne, jak obłąkane myśli plątały się po głowie, a nie śmiały snuć wątka na przyszłość, nawet nie poważyły się przejrzeć nagiem okiem w teraźniejszości. Czekał nie zmiłowania Bożego, nie rozwiązania się wypadków, ale ręki ludzkiej, któraby go podniosła, głosu, któryby mu rzekł: — Wstań, chodź — onby szedł, ale niech mu nie mówią, dokąd i po co. W nim wychowanie i przykłady zepsutego świata zestudziły tę bystrość sprytu na złe i na dobre, rodzimą własność wybranego ludu i która przechowuje się z pokolenia do pokolenia. Jakby nieprawy potomek, hrabia w swoich żyłach nie miał ani kropelki tej krwi rodu; on był w szczęściu pochopny na występek, w nieszczęściu leniwy na postanowienie, leniwy i na rozpacz; zwyczajnie pospolita, zmarnowana dusza.

Byłby nie jedną godzinę w takiej niemocy przeleżał, gdyby wierny Teodor drzwi był nie otworzył i zawołał:

— Pan kapitan Groźnicki.

Hrabia porwał się z sofy, kapitan ścisnął go za rękę po żołniersku, tak iż Adalbert usta otworzył do krzyku.

— Hem! parbleu, jak mi zmizerniałeś! czyś nie chory? przepraszam, za mocno ścisnąłem ci rękę, bo też u nas dawnych legionistów...

Hrabia był rad, że na to mocne ściśnięcie mógł zwalić cząstkę swojego pomięszania, które zanadto jawnie wyzwierciadlało się na twarzy; on chciał udawać, i na to mu jeszcze stawało siły.

— Ścisnąłeś mnie, ale to nic, już przeszedł ból; ale jakiż to szczęśliwy Bóg sprowadził ciebie do Odessy?

— Ciotuni zachciało się koniecznie do Odessy, a nasi bracia Francuzi dobrze mówią, że co kobieta chce, to i Bóg chce. Pamiętam raz w Hiszpanii...

— Czy i pani deputatowa tu jest?

— A jakże; czyżbym ja tu był bez kochanej ciotuni? Hem! jeden stary hidalgo mi powiadał: dwóch rzeczy nie trzeba nigdy odstępować: młodej żony i starej ciotki, kiedy się kocha pierwszą, kiedy się spadek ma brać po drugiej — było to po bitwie pod Saragossą — i wąsa pokręcił.

— Prawda, prawda, że młodej żony nie trzeba opuszczać.

— Przepraszam cię Adalbercie — i wziął go za rękę — mimo chęci dałem ci nauczkę, ale to już się stało, nie mówmy o tem.

— Stało się.

— Wtem nie moja wina; żeby nie ciocia i ten przeklęty Nowosiołkowski, byłbym ci dopilnował panny Anny, jak zaczarowanego skarbu. Słyszałem w Pampelonie...

— Ja nikogo nie winuję, siebie tylko — prędko to wymówił i zarumienił się — rad jestem, że pani deputatowa tu jest, będę miał szczęście ją pożegnać.

— Jakto? ojczyznę opuszczasz dla miłości — i jakże to czule! Spodziewam się, nie na zawsze.

— Nie, na parę lat.

— Ale, ale, my tu już od kilku dni jesteśmy; przypadkiem dowiedziałem się o tobie od Teodora, i to przed godziną.

Spodziewam się, że nas odwiedzisz — napisał ołówkiem mieszkanie pani Żelowskiej — do widzenia, muszę się spieszyć.

— Dokąd?

— Hem! każda Teresa ma swoje interesa.

— Czy nie jaka piękna pani?

— Zgadłeś Adalbercie, i to ładniutka wdówka, a do tego, jak mówią, bogata; ciotunia poznała się z nią na włoskiej operze; sąsiaduje z nami.

— Winszuję, życzę ci szczęścia, Bronisławie.

— Ot chodź ze mną, rozerwiesz się trochę, bo coś ty bardzo zamyślony jesteś, nie taki, jak dawniej bywałeś.

Jak ta gałąź, co to z wiatrem leci, sama nie wiedzieć gdzie, tak i Adalbert wziąwszy kapelusz, wyszedł z kapitanem. Czas był piękny, słońce jaśnie świeciło, niebo było pogodne, ledwie tam gdzieniegdzie biaława chmurka wędrowała po błękitnem tle i była jak wdzięk na gładkiem licu dziewicy — szum morza dziwną harmonią szemrał w powietrzu. Po suchych i szerokich ulicach toczyły się powozy z przejażdżki i na przejażdżkę; powozy świetne, kształtne, konie dziarskie, a w powozach pełno pięknych pań, przystrojonych jak pieścidełka. Hrabiemu ten widok wrócił wspomnienia dawnych czasów; zdawało mu się, iż jest w zagranicznem mieście. Kto widział w Odessie milutkie Laszki i kraśne Rusinki, te czarodziejki barwne powabem wdzięku i urokiem stroju — kto widział te polotne powozy, taszczone czwórkami, szóstkami koni ptaków, i tę młodzież Ukrainy, raźno, ochoczo sadzącą na hulaszczych rumakach stepu — ten wątpi, czy igrzyska marnotrawnej Grecyi i samochwalczego Rzymu miały coś podobnego — a patrzy na ów paryzki Long-champs, jakby patrzył orzeł zrodzony i wzrosły na Budziackich stepach, gdyby go zawieziono w niemieckie kraje i kazano mu okiem szukać tam obszaru.

Hrabia już w myśli zapragnął koni i powozu, kiedy Groźnicki zawołał:

— Otóż i ona.

Kocz niesiony czwórką wronych koni, jak wicher koło nich przeleciał, ale migiem oka mogli zachwycić twarze.

Hrabia dziwnym dźwiękiem głosu powiedział:

— To ona.

— Ona? — mówił Groźnicki i spojrzał na niego — co ci jest takiego? takeś pobladł.

— Bronisławie, coś mi nie dobrze, ja wrócę.

— Ale chodź ze mną, to przejdzie.

— Nie mogę — bądź zdrów.

— Ja cię odprowadzę.

— Dziękuję — i szybko odszedł.

— Do widzenia się — kapitan krzyknął, jakby w pogoń za nim te słowa puścił, i ruszył ramionami. — Co też mu się stało? Hem! ciotunia będzie sobie głowę łamać, jak jej to wszystko opowiem.

Hrabia wróciwszy do siebie, rzucał wzrokiem do koła i w głos mówił: — Ona tu!... ona tu!...

Teodor poglądał na pana, żal mu go, bo starego sługi wierność, to psia wierność i psie przywiązanie; czy pan zły, czy dobry, zawsze to jego pan, dziecko nieboszczyka pana; zbliżył się.

— Panie, ja wczoraj jeszcze widziałem.

— Co widziałeś? co widziałeś? — i spojrzał mu w oczy wzrokiem człowieka obudzonego trwogą ze snu.

Ludzi pani marszałkowej z Syngur i pana Starolackiego.

— Ha, oni tu! — chciał się zaśmiać i śmiech nie odpowiedział posłuszeństwem woli — wszyscy tu... to dobrze Teodorze... i ona tu! — chodził po pokoju, kiedy nadszedł Juliusz.

— Nająłem tak, jak pan hrabia życzył.

— Ha, zbójco! zbrodniarzu! — i porwał go za szyję.

— Panie hrabio, co panu jest? — i wyrwał się z tego konwulsyjnego uścisku.

— Hej! policyi! weźcie tego łotra! — a taki był czerwony, jak gdyby krew przez skórę chciała mu wytrysnąć; oczy w słup obrócił, a pięście w kułak ściskał i drżał ze złości.

Juliusz przytomności umysłu nie stracił; powiedział Teodorowi:

— Prędko po pijawki — a sam za wychodzącym drzwi zatrzasnął.

Czy hrabia słów Juliusza dosłyszał, czy go gniewało zamknięcie drzwi, przyskoczył do niego.

— Łotrze! a Abramko? — zamilkł, pobladł nagle i usiadł na krześle. Kiedy powrócił Teodor, hrabia nic nie mówił i nie wzbraniał się, aby go rozebrano i położono w łóżko. Teodor opowiadał Juliuszowi, co wiedział. Lekarz dotykał puls.

— Pamiętam, jak był dzieckiem, czasami miał takie napady.

— Prawda panie, i ja sobie przypominam.

Lekarz stawiał pijawki i dawał mu rozmaite lekarstwa. Adalbert był powolnym, jak dziecko posłuszne, wszystko spełniał, a nic nie mówił.

W pierwszej chwili wszystko się zmięszało w jego myśli i taki mu żal się zrobił Anny, jak gdyby mu ją tylkoco wydarto. Gdyby był nie wszedł Juliusz, byłby może targnął się na swoje własne życie; ale widok człowieka, który go swoim czynem zmuszał do opuszczenia ziemi, na której była Anna, wzbudził w nim chwilowy gniew, posunięty do wściekłości; lecz ona prędko zmogła tego zwątlałego ducha i rzuciła w gorszy stan niemocy, jakiego kiedykolwiek bądź doświadczał.

Wyciągnął rękę do lekarza: — Daruj, to był stan szaleństwa... ona tu... biada mi, biada!... uciekajmy!... o Boże! i jakiż mię wstyd spotkać może... wszystko się wyda.

— Niech się pan hrabia uspokoi — ścisnął mu rękę, a uchem pilnie słuchał, bo on ledwie w cząstce wiedział tajemnicę hrabiego, a ciekawość dziwna powiększała tę tajemnicę.

— Uciekajmy dziś jeszcze.

— Gdyby nie te przeklęte piętnaście dni — i spojrzał na chorego okiem złowróżbem, któreby z najmężniejszego serca wygnało precz nadzieję, a słabe nabawiłoby drżenia i trwogi. Hrabia tego rzutu oka nie uważał, on parę razy powtórzył:

— Anno! Anno! — i przysłonił powieki, jak gdyby sen witał w gościnę do znękanej duszy. Juliusz tymczasem otworzył szkatułkę, z której klucz nie był wyjętym; nic ręką nie dotknął, ale okiem widać każdą rzecz z osobna dotykał — i uśmiech szczerej radości chwilkę pobawił na jego ustach; ale wnet praca myśli spochmurzyła czoło i jakiś szatański wyraz rozlała po twarzy.

— Otóż to służyć panu — już mnie nie potrzebuje, a tacy świadkowie jak ja, nie bardzo mili — on musi mnie się pozbyć. Panowie nie lubią wspólników, tajemnica to ich kochanka. Gdyby nie te piętnaście dni, byłaby tajemnica; ale poczekajmy, może się i uda — wszak świat wielki, a okręt nie jeden. O! może się uda, pójdę, znajdę, a zobaczymy — i myślami gonił myśli.

XXXVI.

W pięknym pałacu nad samemi bulwarami, w okazałej komnacie, z okien której widok ciągnął się na przepyszne przechadzki i na morze, stały trzy śliczne dziewice przy jednem, dwie matrony przy drugiem oknie — i wszystkie poglądały na to morze ciemnej wody, dąsające się bałwanami, jakby z gniewu, że po niem już nie hula czajka kozacza i pieśń kozacza nie brzmi wtórem swarowi wody, wichrowi burzy — na ten las masztów strzelający ponad przystanią i na różobarwe chorągwie drażniące się z wiatrem — i na te okręty, co jak sokół powietrze, tak one prują morze i pędzą dumnie, szparko, skrzydła na wiatr rozpostarłszy, choć nie niosą kozaczego atamana po daninę do Istambułu, ale biegną po zboże do Odessy, albo ze zbożem dla całego świata — i na te tłumy ludzi, co ciekawość albo chęć być widzianym zwabia nad morze, a które do tego olbrzymiego morza tak się stósują, jak karli ród myszy do gór Karpackich. I stare i młode z zachwytem patrzyły na ten widok, chociaż on w jedne serca wlewał gorące żądze przyszłości, na drugie spuszczał tęskne kropelki żalu za przeszłością.

— Prawda Anusiu, jak tu ślicznie i jakże pięknie dziękować winniśmy panu Janowi, że nam wybrał takie mieszkanie.

— Zapewne, on taki dobry — rumieniec więcej powie-

dział, jak słowo, ale o tem, co on taił, wolno było jak chcieć się domyślać.

— Bo już żeby nasze mamy były się spuściły na Władysława, nie wiem, czybyśmy nawet miały jakie mieszkanie.

— Kostusiu, ty zawsze na niego powstajesz — odezwała się Marya Karszyńska.

— Bo też taki roztargniony, myśli, nic nie gada, ani chwilki z nami nie zabawi, jakby już doprawdy został poetą albo filozofem.

— Moja duszko, tyś niesprawiedliwa; on zwiedził tyle pięknych krajów, żył z poezyą ludzi i natury, jeszcze jest pod jej urokiem.

— Nie wiedzieć, co też ty gadasz; wszak widziałaś pana Ignacego Orańskiego? Jak on przyjechał z Rzymu, o iluż to nam pięknych rzeczach nie nagadał — a to brat, po tylu miesiącach niewidzenia się zapytać go o co, to odpowie jednem słówkiem, albo niczem; takim mrukiem być się nie godzi.

— Poczekaj trochę, on wszystko nam kiedyś opowie, teraz mamy na co patrzeć, a potem w domu będziemy słuchały.

— Ja tak nie lubię; chcę zaraz, albo nigdy.

— Dopiero czwarty dzień, jak jesteśmy z sobą.

— A on do nas ledwie trzy słowa wyrzekł; a wiesz, że jak się rodzina zjedzie po długiem rozłączeniu się, to w kilku godzinach więcej rzeczy powiedzą, jak gdyby powiedzieli przez cały rok, siedząc w domu.

— Przytem jego zatrudnienia... wiesz dobrze, że pan Szwarcwald chory, a to cudzoziemiec i przyjaciel Władysława.

— Ten pan ślicznie chory! Wczoraj Joachim, jak chodził po Władysława, widział pana Szwarcwalda całkiem ubranego, jak się wściekał ze złości i bił pięściami o stół, a Władysław go uspokajał i gadał do niego.

— To też widzisz, on był zatrudniony uhamowaniem gniewu przyjaciela.

— Nie tłumacz go — a nie uważałaś wczoraj na operze włoskiej? nie słuchał śpiewu Moroziniego, tylko ciągle roz-

mawiał z temi paniami, co siedziały w loży obok pani deputatowej Żelowskiej.

— Przez grzeczność to zrobił.

— O! nie — żebyś ty widziała, jak się uśmiechał, jak słodko oczyma na te panie poglądał, jak pan Nowosiołkowski mówi: koperczaki ciął. W tem wszystkiem jest jakaś tajemnica.

— To też dla tego o niej milczy.

— A ja chcę koniecznie wiedzieć.

Przez cały czas rozmowy dwóch siostr Anna musiała o czem innem dumać, bo ani razu się do niej nie wmięszała, nawet musiała nie usłyszeć wymówionego imienia Szwarcwalda, a w końcu odezwała się:

— Pan Jan nie wraca, a miał zaraz przyjść.

Konstancya uśmiechnęła się, ale trochę złośliwie.

— Poszedł oglądać wronego konika Władysława, albo może gdzie indziej rozmawiać. Tych panów napadają spliny, jak gdyby byli Anglikami, a tu przecież nad miastem niemasz ciągłej mgły, a po ulicach nie latają machiny parowe. Pan Jan zacznie od nas tak uciekać, jak i Władysław.

— O! za to ręczę, że nie — odpowiedziała Marya — Anna wie, że ja prawdę mówię. Wszak prawda?

— Ja niespokojna jestem, czy co się nie stało panu Janowi; dziś miałam złowieszczy sen, śniły mi się perły, a to znaczą łzy, jak mówi Dorotka — pan Jan pomagał mi do ich wiązania; z rana w prawem uchu mi szumiało, a to dowiedzenie się o jakiejś nie dobrej rzeczy, jak mówi Dorotka.

— Widzę Anusiu, zaczynasz być przesądną, to dobry znak.

— Zapewnie — dodała Konstancya — pan Jan przyjdzie i rozpędzi smutne złowróżby.

— On taki dobry; to nasz prawdziwy przyjaciel.

— Twój Anusiu, nie nasz trzeba było dawniej tak mówić.

Anna nic nie odpowiedziała, ale łzy jej stanęły w oczach. Marya dobra, łagodna, to spostrzegła i wzięła Annę za rękę.

— Ta Kostusia nie mogąc ciekawości swojej zaspokoić, w niebytności Władysława na nas spędza swój gniew.

Zapewnie i Konstancyi te łzy Anny musiały zrobić przykrość, bo uściskała ją.

— Ty się na mnie nie gniewaj, ja ci życzę, czego zawsze życzyłam, żebyś kochała pana Jana, on ciebie tak kocha — nie płacz Anusiu — albo płacz, niech to będą łzy przepowiedziane twoim snem.

— Bógdaj to tak było — i nawzajem uściskała Konstancyą — o! ja się nie gniewam.

— Przecież i Jan powraca — czy mam mu wszystko powiedzieć?

— Jak zechcesz — i łzy ocierała, kiedy wszedł Starolacki blady, nie swój, w oczach smutek, na czole zmarszczki tęsknej myśli, a na twarzy zupełny brak uśmiechu. Pierwsza Anna przemówiła do niego:

— Co panu Janowi jest, czy nie przypadek jaki... — i na jej pięknem licu skrzyżowały się troskliwość i zalęknienie.

— Nic mi pani, żadnego przypadku nie masz, czas bardzo gorący, zapewnie zmęczyłem się — i na darmo silił się na uśmiech.

— O! niech pan powie prawdę — i spojrzała na niego tem wejrzeniem prośby, któremu trudno, bardzo trudno odmówić. Starolacki pocałował ją w rękę i zdało się, że tem pocałowaniem spędził smutek ze swojego oblicza — Anny oko było słońcem na czarne mgły jego duszy.

— Dziękuję... stokroć dziękuję — z cicha szepnął — niech się pani uspokoi, nie masz nic złego. — Odszedł od Anny, jakby gwałtem od niej się oderwał; zaczął mówić z panią marszałkową dość głośno o sprzedaży pszenicy i prosił ją do drugiego pokoju, pod pozorem, iż chce z nią pomówić o jakimś handlowym interesie; a nawet prosił tam i pani Karszyńskiej, zapewnie dla porady.

Annie na twarzy zawitała niezwykła od dawna lubość; ale niepokój ją przywarzył trochę, jak wiosenny mróz pączek rozwijającego się kwiatu. To wyjście do osobnego pokoju, dla pomówienia o zwyczajnej gospodarskiej sprzedaży, rzuciło ziarno podejrzenia w jej myśl. Obiedwie Karszyńskie spostrzegłszy to zwierciadlenie się jej uczucia, powiedziały razem:

— Anno, ty go kochasz.

Westchnęła: — Ale jego być nie mogę, nie powinnam — i odwróciła się twarzą ku oknu.

— Anusiu, nie mów tego — wy się kochacie, dla czegoż byś nie miała być jego, a on twoim?

Ktoś w jakiejś książce powiedział: raz tylko w życiu kochać się można — i wierzono temu zdaniu, choć go nie wykonywano, a to wielka nieprawda. Jedno z tych zdań brzmiących w słowach, pustych w czynie — serce kocha, póki nie zamrze, kocha rzeczywistość albo urojenie, kocha to, co widzi, albo kocha pamiątkę wspomnienia, zawsze kocha; jeźli na chwilkę przestanie, to znowu wraca do kochania, bo czemżeby ono było bez niego? Jeźli ten raz kochania tak długi, jak życie ludzkie, na to zgoda, bo kochać jedno i zawsze, to można. Ale jeźli ten raz jest chwilą w życiu, a potem serce mu zostaje pustynią, opuszczonym a niezamieszkałym gmachem na wieki — to nie. W kochaniu jest złoto miłości i szych miłości: pierwsze można kochać długo, albo i zawsze, choć w pamiątkach; na drugiem jak się tylko serce pozna, odtrąca go, czuje gorycz, że się dało ułudzić, ale prawdziwej miłości potrzebuje, żeby nią zagoić bolesną ranę; do niej wzdycha i jeźli ją znajdzie, kochać może i umie.

Anna poznała w całej prawdzie kochanka swojej pierwszej miłości, kochanka nie serca, ale wyobraźni rozognionej słodką, lubą a upajającą trucizną czarodziejskich słów pani Sand i innemi utworami tych pisarzy szalonej szkoły, jak ją zowie surowy krytyk polski. Było to opium dla młodej dziewczyny; ona kochała, śmierć ojca cios okropny zadała temu kochaniu: objawienie się prawdy i odjazd Adalberta, głuche milczenie z jego strony w namiętnem sercu zachwiały namiętność, ale jeszcze kochała. Pieszczoty matki, współczucie przyjaciółek, poświęcenie się i szczera miłość Jana, nieusłyszenie ani jednej wymówki, ani skargi, ani nauki z niczyich ust, pomaleńku dźwigały z upadku i duszę i serce Anny — a ta podróż do Odessy, widywanie Jana co dzień, co chwila, i to wśród osób, które jego pojmować i cenić umiały — zaczęły bardziej jak dawniej kłonić ku niemu jej dobrą wolę. Anna już żywiła w sercu wdzięczność dla Starolackiego, a teraz poczęła z lubością słuchać jego rozmowy; w jego słowach,

w jego spojrzeniach widziała tę poezyę szlachetnej duszy, kochającego serca. Nieraz sobie pomyślała: — Ja go nie poznałam, ile on wart kochania — a kto tak myśli, to może już i kochać.

Po chwili weszły obiedwie matki i Jan; Jan gdzieś znowu wychodził, a Anna powiedziała przy pożegnaniu:

— Tylko proszę prędko powrócić.

— O! powrócę natychmiast.

Marszałkowa pieściła córkę, gładząc ręką po twarzy, a Konstancya widząc, że jej matka ani poweselała, ani się zasmuciła, rzekła do Maryi, ale cicho:

— Nie chodzi tu rzecz o Władysława, ale jego jak nie ma, tak nie ma.

— A ty z ciekawości umierasz.

— I o niego, i o to, co tu się dzieje.

— A nic się nie dowiesz.

— Zobaczymy — pokręciła główką i wyszła z komnaty.

XXXVII.

Kiedy ta tajemniczość zawitała w dom pani marszałkowej i do tylu innych przyjemności dorzuciła nową zabawkę dla panny Konstancyi — w zajezdnej kamienicy niedaleko jenerał-gubernatorskiego domu, u jenerałowej Morozowej, zebrało się kilka osób: była tam pani deputatowa z swoim ukochanym siostrzeńcem, grafini Tiumen, kilku oficerów z żonami i bezżennych, i młody Władysław Karszyński.

Władysław po owym ostatnim liście, który napisał do Jana, chciał opuścić w Kierczu swojego towarzysza, którego posądzał być sprawcą wszystkich swoich cierpień, prześladowcą Amelii, a może niegdyś jej kochankiem, chciał jechać i szukać ukochanej osoby, nie wiedząc gdzie. Ale ledwie trochę polepszony stan zdrowia Szwarcwalda, nieme prośby tego przyjaciela niegdyś przemówiły do dobrego serca Władysława, pozostał z nim i z nim razem przyjechał do Odessy. O Amelii Szwarcwald ani razu nie wspomniał i Władysław milczał. Dawna przyjaźń zobojętniała, ale pozostała pomiędzy nimi ta grzeczność, ta zobopólna chęć nie robienia sobie przykrości, co pozwala sobie rokować powrót odbiegającej przyjaźni i kładzie jeszcze jeden stopień do przebycia, aby zstąpić do obojętności, albo i do nienawiści. Jakaż była roskosz Władysława, kiedy od jednego ze znajomych swoich ekateryndarskich dowiedział się o pobycie jenerałowej Moro-

zowej, a z nią grafini Tiumen w Odessie. Słówka o tem Ferdynandowi nie powiedział, ale pobiegł do Amelii: wymówki, półzwierzenia się, słowa miłości i przysięgi, łzy nawet barwiły to powitanie; odtąd Władysław był bezustannym gościem u jenerałowej. Czy Ferdynand wiedział o pobycie Amelii w Odessie, o tem nie było wiadomo; on brał kąpiele, prawie nigdzie nie wychodził i widywał ledwie kilku swoich rodaków, bawiących się przemysłem w pięknem mieście Ukrainy. Z Władysławem, choć w jednym domu mieszkali, rzadko się widywał, rzadko sobie mówili dobry dzień, a jeszcze rzadziej dobra noc, bo Władysław bardzo rano wychodził do matki, a bardzo późno przychodził nie od matki. Jednak ile razy służący pani chorążynej przychodził prosić panicza do Jejmości, Ferdynand odpowiadał: — Dopieroco wyszedł, jak przyjdzie, to mu powiem. — Pani chorążyna przyzwoliła, aby jej syn mieszkał ze Szwarcwaldem, mówiąc: — On cudzoziemiec, trzeba mu przecie umilić pobyt w naszym kraju — a kiedy siostry wyrzucały bratu, że tak na krótko do nich przychodzi, matka broniła go: — Dajcież mu przecie pokój, biedny Władyś, on pilnuje przyjaciela chorego. — Szwarcwald zaś nie bywał u pani marszałkowej, już to przez obawę, aby jego zjawienie się nie robiło bolesnego wrażenia na Annie, już to może z własnego widzimisię zakochanego w samotności.

Pani Żelowska zasiadłszy na pięknej sofie z poręczami, zwanej causeuse, jakby natchniona tem zwaniem swojego siedzenia, trzepała pół po polsku, pół po francuzku; jenerałowa i inne panie odpowiadały jej tym samym językiem, albo czystą francuzczyzną, i rozmowa była polotna.

Oficerowie rosyjscy otoczyli Groźnickiego, bo ten miał we fraku wstążkę legii honorowej, a to niczem nieporównana zaleta u tych wojennych ludzi, zwłaszcza, jeźli ona była dana przez cesarza Napoleona, bo co późniejsze, to i w ich oczach straciło zupełną wartość. Kapitan prawił dziwne baje o swoich hiszpańskich i niemieckich wojnach; słuchali słów jego, jak prawowierni chrześcianie słów ewangelii. Bronisław był bardzo rad z siebie.

Grafini Tiumen haftowała w krosienkach, a Władysław

siedząc przy niej, dopomagał do roboty, bo plątał włoczki, łamał igły i słówkami z cicha mówionemi zmuszał piękne oczy do odrywania się od haftu. Przecież takiego pomocnika nie odpędzano, owszem na każde powiedzenie: — Może ja pani przeszkadzam — słodko uśmiechającemi ustami mówiono: — O! nie! — a oczy domawiały: — niech pan nie odchodzi.

Dworecki czyli marszałek dworu pani jenerałowej przerwał rozmowę panu kapitanowi właśnie w chwili, kiedy zwycięzko wbiegał do Valadolid, oświadczając, że jakiś człowiek chce z nim koniecznie mówić. Kapitan z dziesięć razy mruknął swoje ulubione hem! potem rzekł: — Jak wrócę, to dokończę — i wyszedł. Niebawem powrócił, ale nie skończył już opowiadania, bo zbliżywszy się do cioci, szepnął jej w ucho jakieś słowo i nie żegnając nikogo, jak to moda przykazała, wyszedł poraz drugi, tylko któremuś z oficerów, obok niego przechodząc, rzekł:

— Nie mogę skończyć, muszę iść do chorego przyjaciela.

Pani Żelowska zasznurowała usta:

— Mon bon Bronislas musi iść — le comte Adalbert bardzo chory, a oni z sobą są jak bracia. Vraiment zmartwiona jestem; miałam go dziś prezentować pani jenerałowej — un charmant gentilhomme.

Nikt jakoś wiele baczenia nie dał na pierwsze słowa o hrabim Adalbercie i pani deputatowa już zabierała się wypalić długi apolog o hrabim, kiedy się drzwi otworzyły, Dworecki wykrzyknął jakieś imię chropawe, świszczące, a nie wiedzieć po jakiemu, i wszedł Ferdynand.

Włos jego był rozrzucony, jak gdyby wicher tamtędy długo przewijał, w oczach boleść, usta mu drżały i ręce drżały, ale udawał spokojność. Skłonił się jenerałowej, nawet kilka słów zimnych, rozrzuconych odpowiedział na jej zapytanie. Amelia zalękła się, o mało nie krzyknęła i nie śmiała głowy podnieść, oczów oderwać od krosienek. Władysław wstał z miejsca, twarz mu porumieniała i ogień gniewu błysnął z oczów, a tak się postawą napanoszył, jak gdyby już miał bronić kochanki swojego serca. Ferdynand nie zważał na tę gniewną twarz, na tę groźną postawę, bo

zbliżył się do Amelii, powitał Władysława i do niej rzekł po niemiecku:

— Że trzeba, aby z nią mówił zaraz, natychmiast, a w głosie jego był cierpki dźwięk rozkazu, nie słodkie brzmienie prośby o rozmowę sam na sam z piękną niewiastą.

Amelia wstała od krosienek, rumieńcem choroby spłonęła, pobladła bladością śmierci, spojrzała na Władysława okiem przestrachu i prośby, i jakby go chciała uspokoić, rzuciła mu na pociechę, a może na zatrzymanie, słowami:

— Przepraszam, zaraz powrócę — chociaż żadnej rozmowy z nim nie zaczęła, za nic go więc nie potrzebowała przepraszać. Wyszła do drugiego pokoju, a Ferdynand za nią.

Wszystko to się stało tak prędko, tak nagle, że nikt z przytomnych nie mógł wszystkiego schwycić okiem, oprócz Władysława i jenerałowej. Jenerałowa powiedziała kilka słów na wytłómaczenie swoim gościom, kto jest Ferdynand i jakie jego stosunki z Amelią, ale Władysław tego nie słyszał i nie słuchał.

On stał jakby na zarzewiu węgla, ogień zazdrości go palił, w oczach mu się ćmiło, myśl zbłąkała, palce wciskał w dłonie — ona mu nie dała iść za sobą, ona niewierna, naigrawa się z niego.

— O! nie, ona tak boleśnie spojrzała, nieszczęśliwa, musi słuchać rozkazów tego szatana w ludzkiem ciele — może ona pomocy potrzebuje.

Nie mógł dłużej wytrzymać — snadniej mu było śmierć sobie zadać, wszystkich nawet pozabijać, jak tak czekać. Wyszedł do drugiego pokoju, i nikogo to nie dziwiło — tam były dzienniki i nowe książki, a Władysław lubił czytywać.

Tam nie było nikogo; szedł dalej, dwoje drzwi przed nim, wszedł na prawo: to pokój sypialny jenerałowej, w nim ni żywej duszy; wrócił i wszedł na lewo: korytarz, dalej drzwi otwarte do małego salonu, ale i tam nikogo nie było. Stanął, słucha — niby brzmienie słów i płacz do jego ucha dolatuje. Zbliżył się do drzwi, wziął ręką za klamkę

a siły mu zabrakło do pokręcenia jej — słucha i wyraźnie słyszy:

— Ferdynandzie, litości.

— Nie ma rady, zaraz trzeba — jedna minuta, wszystko stracone.

— Pozwól.

— Na nic nie pozwolę — zaraz — zaraz.

— Ja nie zrobię.

— A sława, a cześć naszego rodu, a bojaźń Boża!

— Ja umrę.

— Umrzyj — a zrób.

— Zabij mnie — litości!

Władysław pokręcił klamkę i wpadł do pokoju. Amelia na klęczkach, łzami myła stopy Ferdynanda, a on gniewem zakamieniały, bez litości stał nad nią. Oboje krzyknęli:

— Władysławie!

Ona z klęczek powstała.

— Ha! okrutniku — zabójco! — i chciał porwać Ferdynanda za piersi.

Amelia schwyciła go za rękę.

— Władysławie, to mój...

— Amelio! — podchwycił szybko Ferdynand. — Ty jego być nie możesz, poco łudzić. — Tak Władysławie, ona twoją być nie może — nigdy.

— Ale twoje życie mojem być może — wyrwał rękę z ręki Amelii i dodał — albo moje twojem.

Amelia chciała go znowu schwycić za rękę, ale on ją odtrącił, tylko spojrzeniem rzucił wyrzut zdrady, a słowa do niej nie powiedział.

— Panie Szwarwald, musimy się rozprawić.

— Zgoda — kiedy?

— Zaraz.

— Zaraz nie mogę — jutro z rana.

— Do jutra.

Amelia załamała ręce — Władysławie! Władysławie!

Ale on już poszedł jak szalony, jak wściekły. Padła na łoże.

— Ja nieszczęśliwa — śmierci! śmierci!

Ferdynand surowej twarzy nie zmienił, ale oko mu się załzawiło.

— Amelio! trzeba zaraz — teraz już ci nic więcej nie pozostaje.

— Tak — tak — nic mi nie pozostaje — powstała i oddała mu w rękę papier wzięty z kantorka — zgoda Ferdynandzie — zaraz — zaraz.

XXXVIII.

W pokoju hrabiego Adalberta cicho, chory leży, nie śpi, ale milczy. Wierny Teodor sprowadził pana kapitana Groźnickiego, według jego mniemania, jedynego przyjaciela młodego pana. Lekarz Juliusz zakazał choremu mówić, a prosił Groźnickiego, aby się nie zbliżał do łóżka, i zadość się stało jego woli. Tylko zegar dygotał ciągle, jednostajnie i czasami mucha zabrzęczała, polatując po szybie okna.

Wtem wszczął się jakiś szmer w przedpokoju, słychać było głosy sporu. Już pan Juliusz wstawał z miejsca, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Starolacki.

Kapitan i Juliusz powstali z miejsca, a hrabia podniósł się i usiadł na łożu bez najmniejszego wysilenia się; był to hołd mimowolnie oddany prawości. Starolacki wszystkich grzecznym ukłonem powitał i obrócił się do hrabiego.

— Przepraszam, że przerywam panu spoczynek, ale potrzeba konieczna do tego mnie znagliła; życzyłbym z panem pomówić malutką chwilkę.

— Proszę pana siadać — kapitanie, panie Juliuszu, raczcie zostawić nas samych.

Obydwaj panowie wyszli, ale kapitan siadł w drugim pokoju na stołku tuż przy drzwiach, a pan Juliusz żywo skoczył do gabineciku przyległego sypialnemu pokojowi hrabiego, i tam, oddzielony przepierzeniem tylko, słuchał.

— Słowo honoru daję, że nie przyjechałem tu w innym celu, tylko żeby co prędzej wyjechać za granicę.

— Wierzę, ale trzeba dopełnić, coś pan przyrzekł.

— Za piętnaście dni wyjadę.

— Nie, trzeba zaraz.

— Ależ okręt nie wypływa prędzej.

— Jedź pan do Konstantynopola statkiem parowym, a tam czekaj na okręt.

— Nie mogę — słabiej wymówił hrabia.

— Nie możesz pan?

Hrabia milczał i Juliuszowi zdawało się, że coś szeptano, ale po chwili usłyszał głos Starolackiego.

— Słuchaj: mógłbym cię zgubić, bezcześcią okryć. Czyż to ja nie domyślam się, czyj to był zamach na życie Szwarcwalda? komu trzeba przypisać śmierć Abramka? Ale niech Bóg za to karze, jeźli nie ukarze sprawiedliwość ludzka. Cofasz panie swoje słowo i ja swoje cofam: dziś zaraz musimy się bić; teraz wiem, jaki to powód słabości.

Starolacki wszystkie słowa wymawiał dobitnie, wolno — widać, że nie chciał gniewowi dać nad sobą zapanować.

Lekarz zadrżał ze strachu i pomyślał: — On wszystkim wszystko wygada — i słuchał dalej.

— Panie podkomorzycu, na honor się zaklinam, że ja nie tyle winienem, ile ludziom się zdaje, ale słowa danego łamać nie chcę. Jutro, pojutrze pojadę.

I znowu nastąpiła chwila milczenia.

— Dobrze — i słychać było ruszenie krzesła. Lekarz cicho wyszedł ze swojego schronienia i kiedy wracał do kapitana, Teodor oddał mu jakąś karteczkę.

Otworzył i przeczytał:

— Jutro rano wychodzi sardyński okręt «Veni Creator»; jest na nim jedno miejsce.

— O! prawdziwy Veni Creator! — wsunął karteczkę do kieszeni, a w jego twarzy było coś szatańskiego.

We drzwiach zdybał się z wychodzącym podkomorzycem. Hrabia chciał wstać z łóżka i włożyć na siebie szlafrok, ale Juliusz wziął go za puls.

— Gorączka, niech pan hrabia spocznie trochę.

— Ale dajże mi pokój z tym spoczynkiem, ja jutro albo pojutrze muszę koniecznie jechać.

— To dobrze, panie hrabio, właśnie jest jedno miejsce na sardyńskim okręcie, który jutro wychodzi; pan z Teodorem pojedziesz, a ja w Liwornie pana hrabiego dogonię.

— Dziękuję ci, Juliuszu; poślij zamówić to miejsce.

— Dobrze panie, ale niech pan spokojnie leży, ja zaraz powrócę i zażyjemy miksturkę.

Kapitan chciał odchodzić, ale hrabia go prosił:

— Bronisławie, zostań — wiesz, coś mi tak straszno, tak smutno... oto zapewne, że kraj, że was opuszczam i kto wie, kiedy powrócę i czy powrócę.

— Ot wiesz co Adalbercie, nie jedź.

— Nie mogę, trzeba jechać, muszę jechać — i głowę do poduszki odwrócił.

— Mój Adalbercie, wszak wszystko od twojej woli zależy.

Nim hrabia odpowiedział, wszedł lekarz z flaszeczką mikstury w jednej ręce, a kubkiem w drugiej.

— Niech pan hrabia zażyje miksturki, a potem zaśnie — jutro będzie zdrów jak ryba.

— Daj mi pokój, ja nie taki chory, żebym potrzebował lekarstw.

— Panie kapitanie dobrodzieju, wszak pan widział, w jakim był stanie przed przyjściem podkomorzyca Starolackiego; nagłe wzruszenie zrobiło gorączkę, a panu hrabiemu zdaje się, że to zdrowie.

— Zażyj Adalbercie.

— Niech pan hrabia zażyje, to nic złego, migdały z laudanum liquidum, smaczne — nalał i kosztował — kiedy pan hrabia każe, to ja wypiję dla kompanii.

— Oj! daj, już wypiję, a nie nudź mnie — i duszkiem pełny kubek wypił.

Juliusz zatarł ręce. — Tak to zawsze bywało jeszcze za życia nieboszczyka.

— Jakież to nie dobre.

— Niech się pan uspokoi i zaśnie trochę, my z panem kapitanem wyjdziemy do drugiego pokoju na herbatę.

— Zostańcie tu, niech Teodor przyniesie herbatę, jak mi się będzie chciało, przy was będę spał.

Jakoś ot tak sobie rozmowa wszczęła się między kapitanem a lekarzem; lekarz gadał wiele, jakby był w roztargnieniu — chciał pokazać, że całkiem zajęty jest opowiadaniem, a kapitanowi jednosłowem odpowiadał.

Albert czuł jakąś nadzwyczajną lekkość na piersiach, w głowie mu się mroczyło, a krew żywiej grać poczynała po żyłach; jakieś senne mary nawijały się mu przed oczy; przewracał się w łóżku i zawołał:

— Anno! Anno! — i doszeptał kilka niezrozumiałych wyrazów.

— Co mu jest takiego? — zapytał kapitan.

— Zaczyna się maligna.

Zbliżył się do łóżka.

— Precz, precz!... ha, Abramko! — i podniósł się — precz!

— Maligna zaczęła, trzeba go spokojnie zostawić.

Kapitan zabierał się do wychodu, kiedy jak duch jaki zjawił się Szwarcwald.

Hrabia miał otwarte oczy.

— Ferdynandzie! Ferdynandzie! i ty tu? i Amelia? o Boże! cała zemsta na mnie.

— Nie zemsta, ale sprawiedliwość; patrz, czytaj — i przed oczy mu przytknął jakiś papier.

— Tak, tak... to mój podpis, ona moja żona.

— A tyś ją zdradził, opuścił.

— Ja chciałem powrócić.

— Nieprawda, nieprawda! stokroć nieprawda!

— Ferdynandzie, zmiłuj się!... Oj, oj! jak mnie boli!

— Gdzie? — zapytał lekarz.

— Tu, pod piersiami, w brzuchu.

— Trzeba się uspokoić, zaraz ja dam pigułki — i skoczył do szkatułki hrabiego.

— Tam nie masz.

— Prawda, ja myślałem, że to moja... roztargnienie, zaraz przyniosę — i wyszedł.

Ferdynand widział, jak widocznie zmieniała się twarz

hrabiego i wziął to za nowy wybieg nikczemnego oszukaństwa albo strachu.

— No, i cóż teraz będzie? W Żytomierzu przysiągłeś, a potem brałeś nowy ślub — gdzie przysięga? gdzie wiara?

— Ferdynandzie! przebacz — gdzie ona? O! jak mnie boli!... wody, wody!

Pił wodę, jak gdyby mu wnętrzności palił ogień; usiadł, pot zimny wystąpił na czoło i porwały go wymioty. Szukają lekarza — jego nie masz; posłali po innych.

Hrabia w konwulsyjnem szamotaniu się wołał:

— On mnie otruł! — Abramko! precz! daruj, Ferdynandzie!... Amelio!... ona...

Szwarcwald już ani słowa nie mówił, w ręku miał papier, poglądał okiem litości, ale surowa twarz nie rozrzewniła się i z ust nie uchodził wyraz pogardy.

Lekarze przyszli i oglądają chorego. Kapitan, który pilnem okiem śledził ruchy Juliusza, widział, że przed wychodnem wsunął w kąt flaszkę z miksturą; podał ją lekarzom. Ci kosztowali, przypatrywali się i każdy z nich poruszył głową: — Trucizna, opium i nux vomica; powinna była sprawić wprzódy sen, potem dopiero wymioty. — Jeden powiada, że jest nadzieja, drugi utrzymuje, nie masz ratunku, a piszą recepty i znoszą lekarstwa, przy łożu chorego targują się o jego śmierć lub życie, a on czy tego nie słyszy, czy nie śmie swojego słówka wmięszać do tego targu.

Ulżyło mu trochę. On nie miał tego hartu duszy, żeby cierpieć i pasować się wolą i mocą zbrodniarza, żeby umierać w kale grzechu z szatańskiemi bluźnierstwy w ustach, albo żeby natchnieniem jawnogrzesznika silnego ducha uderzyć się w piersi i zawołać: Moja wina! moja wina! Boże przebacz, ludzie patrzcie — i ludziom ryczałtem sypnąć w oczy przeszłe życie, a przed Bogiem ukorzyć się jawną skruchą, szczerym żalem.

On w bezsile ciała, nie miał czem pokrzepić niemocy ducha, ręką i oczyma prosił Ferdynanda, aby się zbliżył do niego.

— Mówmy cicho, żeby ludzie nie słyszeli.

— Niech słyszą.

— O! nie, zrobię wszystko.

— Patrz, to twój podpis, twoja przysięga.

— Moja, moja — zrobię wszystko, co chcesz.

— Potwierdzisz ją, wrócisz z nią do Niemiec.

— Potwierdzę — wrócę — cały majątek zapiszę.

— Po co — na co?

— Jeźli...

— Jeźli umrzesz.

— O Boże!

— Wtenczas nie potrzeba nic — sumienie twoje.

— O! boli mnie, boli — księdza — i na nowo porwały go wymioty i konwulsyjne bóle. I tym razem lekarze powiedzieli, nie ma ratunku; musiał ten wyrok usłyszeć, bo boleśnie zajęczał, a rzewne łzy z oczów się puściły.

Przyszedł ksiądz, spowiadał, a kiedy ręką nad głową chorego przeżegnał krzyżem świętym i wymówił: «Ego te absolvo», chory jęknął, nastąpiło uroczyste milczenie — on umarł.

Było to zaraz po północy.

Już białym dniem z odeskiej przystani wzdłuż bulwaru dziesiętnicy policyjni prowadzili jakiegoś więźnia porządnie przybranego. Lud ciekawy zewsząd wybiegał i przypatrywał się i wypytywał się, a ze wszystkich ust było słychać powtarzane słowa: to zabójca polskiego grafa.

XXXIX.

Władysław całą noc oka nie zmrużył, ani się rozbierał nawet; jak upiór, jak nieszczęśliwy kochanek wałęsał się ponad brzegami morza.

Pogwarem szumią morskie wały, jakby drzemiące morze budziło się ze snu; od południa, od wschodu wiatr poświstuje, jakby wołał na morze: wstawaj ze snu, hulaj! hulaj! W przystani ze statków sotkami złote światła migają; tam nie śpią, z dzień dobrym czekają na biały dzień; i żona kochanka od morza się wznosi, srebrnem oczkiem mruga niby dziewica w bieli, uczerpawszy morskiej wody, biegnie z nią do domu, w niebiosa, do Boga Ojca.

Władysław na to wszystko nie zważa: on, co niegdyś tak kochał, tak podziwiał te dziwy Boże — teraz ziemskiemi, pokalanemi dumkami myśl brudzi. — Oni się zemnie naigrawali, oni mnie zdradzali; o ja chcę zemsty, zemsty! — I tą myślą zemsty tak się pocieszał, jak grzesznik pokutujący nadzieją zmiłowania Bożego.

Biały dzień zastał go nad brzegiem morza; biały dzień niósł ludziom otuchę a pracy życie — Władysław spieszył do Jana oddawać mu w opiekę swoją zemstę.

Na bulwarze spotkał gromadę ludzi przeprowadzającą zabójcę; gwałtem został zatrzymanym, a to powtarzanie: zabójca! zabójca! wywiodło go z zadumania na chwilkę. Po-

myślał: — Jam jeszcze nie zabójca — i kilku słowami zapytał o zbrodnię tego człowieka. Ludzie ciekawi, kiedy już sami cokolwiek wiedzą, radzi takim zapytaniom, obstąpili go dokoła i na prześcigi odpowiadali, a każdy innym tokiem. Z tego wszystkiego tej tylko prawdy dowiedział się, że hrabia Adalbert zabity, a to prowadzą jego zabójcę; ledwie mógł się odczepić od gadatliwej gawiedzi.

Wszedłszy do podkomorzyca, zastał go jeszcze w łóżku, ale już nie śpiącego.

— Janie, a wiesz ten Barowicz...

— Co! pojechał?

— Na tamten świat.

— Jakto?

— Zabity.

— Przez kogo?

— Ot tam przez jakiegoś — nie wiem; ale mniejsza o to — przyszedłem cię prosić na przyjaciela, dziś mam mieć pojedynek.

— Z kim?

— Ze Szwarcwaldem.

— Za co?

— Wiesz, o Amelii, wiesz o wszystkiem. Otóż on jest jej kochankiem, a zemnie się naigrawano.

Tu opowiedział Starolackiemu swoje zdarzenie u jenerałowej. Starolacki musiał słuchać, ale przez ten czas prędko się ubrał.

— Dobrze, Władysławie; ale coś ty mówił o Barowiczu? i na jego twarzy nie było nawet przelotnego zadowolnienia; po słowach Władysława dodał:

— Biedny człowiek.

W swojem mieszkaniu Władysław zastał list od Szwarcwalda.

Kochany Władysławie!

Amelia jest moją siostrą.

Tym człowiekiem, który w oczach Boga i ludzi przysiągł jej wiarę i miłość, a tak haniebnie potem ją zdradził, jest Adalbert Barowicz. Ja przysięgłem moim starym rodzicom,

że wyrwę siostrę z nieszczęścia i wrócę jej sławę; dla tego wyjechałem z mojej ojczyzny. W Wiedniu dowiedziałem się o całej prawości postępowania hrabiego Tiumen. Pisałem do rodziców; oni mi pod błogosławieństwem kazali jechać i wyrwać siostrę z występku. Według nich był to wielki występek, przysiągłszy wiarę jednemu, przysięgać ją później drugiemu, gubić duszę dla zachowania próżnej wziętości u świata. Jechałem rozranić to biedne serce nieszczęśliwej siostry. W Żytomierzu spotkałem Barowicza; nie wiedziałem jeszcze, jak mi wypadnie postąpić — zawiesiłem na czas zemstę, bo nie chciałem kalać sławy i mącić szczęścia siostry, jeżli to ostatnie miała. Jednak nie wierzyłem słowom człowieka, co już raz zbrodniczo przysięgi swojej się zaparł; z błaganiem, z zaklęciem o tajemnicę pisałem do marszałka o wszystkiej prawdzie. On pojmował, co to sława rodziny; tajemnicy dochował i śmiercią swoją tego przypłacił. Później w Odessie mówiłem Starolackiemu o wszystkiem. Przed tobą, najlepszym moim przyjacielem, milczałem; tybyś temu ani poradził, ani przeszkodził — tajemnica powierzona niepotrzebnie, jest ciężarem dla tego, komu się zdaje. W Ekateryndarze jużbym ci o niej nie powiedział, tyś kochał Amelię — przyszłość bogata w zdarzenia. Tu dowiedziałem się o Barowiczu. Wiedziałem dobrze, chociaż ty o tem nie wiedział, o pobycie Amelii; chciałem mieć jej akt ślubny z hrabią, podpisany przez świadków w Wenecyi. Amelia się wzbraniała, jam nastawał — tyś nadszedł. Bodajby tego nie było; Amelia byłaby dla ciebie tylko hrabiną Tiumen, ja jej bratem; tybyś był moim przyjacielem, kochałbyś może Amelię — a teraz... bądź zdrów...

Ferdynand.

— A teraz tyś moim przyjacielem, bratem, a ona kochanką, żoną — i wybiegł na miasto, Starolackiemu ani słowa nie rzekłszy.

Starolacki takoż poszedł.

Przed domem jenerałowej Morozowej do kocza pakowano rozmaite rzeczy i już zwoszczyki przyprowadzali sześć pocztowych koni.

Amelia w podróżnym stroju stała w oknie swojego po-

koju, piękne oczy myła łzami żalu, łzami za wspomnieniem, a boleść obłoczyła się na twarzy, boleść rozranionego serca z teraźniejszości. Ferdynand stał obok niej smutny, zamyślony; krótkim, ucinkowym podźwiękiem pocztarski dzwonek z nadworu dolatywał do ich ucha.

Na samym wyjeździe, wtenczas kiedy ostatnie rzeczy pakują do powozu, kiedy ostatni postronek uprzęży uwięzują i woźnica ma siadać na kozioł, wtenczas kochające serce, co na wieki opuszcza to, co poczęło kochać, najboleśniej cierpi. Amelia gorzko westchnęła.

— Wolę nieszczęście, jak wstyd — jedźmy.

— Jedźmy — powtórzył Ferdynand, a to powtórzenie tak grobowo zagrało uchu Amelii, iż jej słabo się zrobiło i sparła się na ramię brata.

Wtem nagle i niespodzianie wbiegł Władysław.

— Amelio! Ferdynandzie! — i schwycił ich za ręce.

Oni mu uściskiem i wzrokiem odpowiedzieli.

Amelii oczy mówiły: — Kocham.

Władysława: — Dziękuję ci za nią.

Po chwili odprowadzono luźne konie na pocztę.

W tymże samym czasie pani marszałkowa mówiła o odebranym liście od Nowosiołkowskiego, w którym donosi, że bardzo trudno mu przychodzi zakończenie sprawy w konsystorzu, ale nadziei nie traci.

Anny twarzyczka trochę się zdąsała. — Tylko nadzieja i nadzieja.

A Marya jej szepnęła do ucha: — A chcesz udawać, że pana Jana nie kochasz?

Wtem w drugim pokoju Konstancya głośno krzyknęła:

— Hrabia Adalbert!

Anna zadrżała. — On tu!

Konstancya wpadła do pokoju. — Hrabia Adalbert zabity.

— Zabity! — krzyknęła Anna i jak śnieg zwiany wiatrem osunęła się na sofę — omdlała.

A kiedy ją otrzeźwiono, matka opowiedziała jej nieszczęsny wypadek, i ona rzewnie płakała.

Jeszcze płakała, kiedy wszedł Starolacki. Na ten widok sposępniała twarz jego i tak już posępna; on jej za złe nie

miał, ale mówił sobie w myśli: — Ona go kochała i kocha. — Nie miał siły odpowiadać na zapytania; oparł się o ścianę i dłoń przyłożył do czoła.

Anna przez łzy to spostrzegła; otarła chustką oczy, wstała, zbliżyła się do niego i poraz pierwszy bez tego przeklętego w ustach kochanki «panie», powiedziała cichym, ale z serca brzmiącym głosem:

— Janie, daruj!

XL.

Jeszcze i rok nie upłynął, a już w kodeńskim kościele ksiądz proboszcz związał ślubem świętym małżeństwa dwie piękne i kochające się pary: Annę z Janem Starolackim i Amelię z Władysławem Karszyńskim.

Na tę uroczystość zjechało się całe sąsiedztwo: i pan Nowosiołkowski z tabakierą pełną przedziwnej Albanki, a z głową pełną miłych gawędek — i panowie Krasnopolscy z nowinami, po nowiny — i pani deputatowa z mężowską siostrzenicą; pani deputatowa w kościele modliła się na ołtarzyku złotym, a panna Aniela nie robiła krygów — i pan kapitan Groźnicki, rad z siebie, bo to za jego staraniem schwytano Juliusza na sardyńskim okręcie «Veni Creator» i wskazano na pręgierz, na kaźń i śmierć.

I wierna służba panów młodych i owi dworscy z Syngur pofrancuzieni, a dziś imieniem i strojem znowu wróceni Polsce.

Dorotka w pięknym szalu, Dmytro w kozaczej barwie i pan Strzemecki w nowej taratacie.

Marya śliczna, jak aniołek nieba, czystą, bogobojną myślą gotowała serce na niebo miłości.

Konstancya nie gniewała się już na brata, a ze zdobytą tajemnicą bawiła się jak dziecko z cackiem.

Obiedwie matki były rade: jedna szczęśliwa i druga szczęśliwa w tej chwili.

Tej uroczystości brakło nieboszczyka Ostrożalskiego, a byłoby zupełne szczęście.

Myśl o nim lała się gorącą prośbą w modły do Boga — lubą tęsknotą w szczęście kochania.

XLI.

W pół roku później, w owym pięknym buduarze Anny, Jan czytał Annie polską książkę, i na mahoniowych półkach nie było widać tylko polskie książki.

Anna patrzyła na niego wzrokiem kochania i kiedy skończył czytanie, ona mu słodkim pocałunkiem dziękczyniła; on za pocałunek oddał pocałunek i oboje powtarzali: Bez czarodziejstwa pani Sand można być szczęśliwym, można kochać i być kochanym.

Marszałkowa otoczona błogością, Bogu dzięki za to składała i powtarzała nieraz: Bez naśladownictwa obcej mody można być szczęśliwą.

A stary Wojciech sobie tylko mówił najczęściej w myśli:
— I czemuż to nieboszczyk pan tych czasów nie dożył?

KONIEC.

PISMA ULOTNE
LUDWIKI ZE ŚNIADECKICH,

CÓRKI JĘDRZEJA, SYNOWICY JANA,
ŻONY CZAYKOWSKIEGO, MEHMED PASZY,
JENERAŁA, DOWÓDZCY KOZAKÓW W PAŃSTWIE OTOMAŃSKIEM,

ZMARŁEJ W STAMBULE

DNIA 23. STYCZNIA 1866 ROKU.

WSTĘP.

Często się dziwię, dla czego ci, którzy już dość żyli, nie uczą tych, którzy żyć zaczynają. Byłożby to dla tego, że się łudzeniami karmią aż do ostatniej chwili, albo że się starają tym, którzy używają, zbrzydzić to wszystko, czego sami już używać nie mogą. Ponieważ dzieciom i młodzieży mówią wszystko oprócz prawdy, nie mogąc ich zniechęcić, albo ich przestraszają, albo im odejmują odwagę, albo na to wszystko, co ich nęci, zachwyca, pochwyca, mówią: to próżność.

Dusza w życiu jest jak nieszczęśliwy więzień na dnie okrętu: trzeba rozbicia, żeby mu wrócić wolność i światło.

Mówią: kara śmierci. O! jeszcze okrutniejszą jest dla wielu istot kara życia.

Czy człowiek ma wszystko, czy nie ma nic, to prawie jedno, ponieważ nigdy nie ma dość i zawsze żąda co innego, jak to, co posiada. Dowód najpewniejszy, że to, co usiłuje, to co robi, do czego innego dąży. Że tama dla niego ostatecznego celu nie jest jego końcem.

Społeczeństwo uciskiem rozburzyło namiętności, tak jak królowie uciskiem i niesprawiedliwością rozburzają narody. Wszystko to czemu nie dają iść spadem zwyczajnym, musi bieżyć w górę i rozrywać groble.

Ktoś powiedział: zemsta jest roskoszą Bogów. Smutna roskosz nikczemnego motłochu! Boską roskoszą, roskoszą Boga jest kochać, stwarzać i rozdawać. Roskosz prawdziwa nie może być tylko w dobrem.

Trzeba miłości i cierpienia, żeby wykończyć kobietę, inaczej jest ona tylko szkicem. Kobieta bez miłości jest kwiatem bez liści, coś takiego, co razi oko, po wprowadzeniu go w urok.

Żeby się bardzo podobać, daleko mniej potrzeba zalet i dowcipu, niż się zdaje — wystarcza, żeby je wynachodzić i wykazywać w drugich.

Miłość jest życzeniem nienasyconem; jak się życzenie nasyci, miłość ustaje.

Serce moje jest jak ta urna starożytnych, w którą skrywano łzy i popioły.

Serce, które kocha, zawsze jest przepełnionem i szuka wylania się uczucia.

Uczucia bardzo mało lubią się przechwalać, pewne siebie samych; mają wiarę w wewnętrzne uczucia innych. Uczucia prawdziwe są głębokie i dla tego nie mogą się bezustannie okazywać; żeby się okazały, trzeba wielkiego wzruszenia. Czują się one i objawiają bez gadania. Wynurzanie się w słowach, właściwe uczuciom ślizgającym po powierzchni serca

śmiem powiedzieć, że będąc powierzchownemi, widzą się i pokazują się bezprzestannie.

Po francuzku mówią: choroba za krajem — po polsku: tęsknota, po rusku: toska — oznacza chorobę za niebem.

Dusza jest jak mitologiczna beczka Danaid: wszystkie potoki szczęścia w nią się wlewają, żaden w niej nie zostaje.

Mówią, że największem szczęściem jest być kochanym. Nie. Pierwszą potrzebą i żywiołem duszy jest kochać, i to jest największem szczęściem. Być kochanym, nie ma wartości, tylko wtenczas, kiedy się kocha. Czemże jest miłość obojętnych? — unudzeniem.

Myśl, którą on odbijał, zachowywała jego postać.

Wolę wyraz pamiątka, jak wspomnienie, bo myślę, że to wszystko, co oznacza trwałość uczuć i cierpień, powinno być rodzaju żeńskiego.

Polacy bardzo właściwie oznaczają jednym i tymże samym wyrazem próżność — i próżnią rzeczy i próżnią uczuć.

Był on jak światło, oświecał wszystko. Ktokolwiek się zbliżył do niego, tylko jego samego widział. Ktokolwiek go usłyszał, tylko jego samego słuchał. Wszyscy ci, którzy go znali, nie porównywali go do nikogo innego. Można było być piękniejszym, ale nie można było się podobać, jak on podobał; nikt nie był tak dobrze, jak on. To co było w nim pociągającego i czarującego, dawało się uczuć tym,

którzy go nienawidzili, którzy raczej chcieli go nienawidzieć a nie mogli.

Wszystko blednie, traci barwę, niknie, on jeden błyszczy i oświeca wszystko. On jak słońce wszystko przenika, wszystko rozgrzewa, oświeca wszystko i nie może być przez nic ani startym, ani skalanym.

Nie mam wiary w miłość z pierwszego wejrzenia. Żeby wiele kochać kogo, trzeba go wiele znać, trzeba go często widzieć, żeby go chcieć widzieć coraz więcej, żeby się nie można obejść bez widzenia go zawsze.

Nigdy się nie poświęca dla tego, kogo się kocha, bo wszystko co się robi dla niego, robi się dla swojego własnego zadowolnienia, dla swojej własnej roskoszy; bo najwyższą roskoszą jest oddać się zupełnie istocie, którą się kocha. Poświęca się tylko dla tych, których się nie kocha, i natenczas poświęcenie się jest samobójstwem.

DZIEŃ ZADUSZNY.

I.

Zachmurzyło się niebo wschodu i płacze nad cierpieniami ziemi; pod temi łzami, kwiatami pozielenieją groby. Chmurne, piękne niebo, i ziemia smutna, ale jasno w mojej duszy, bo spotykam w niej wejrzenia tych, których kocham, i pod ich gorącą światłością ścierają się cienie smutku.

II.

Pomarli — nie są zmarłymi ci, którzy są kochani, żyją

oni zawsze; zmarłemi są ci, którzy nie są kochanemi; ci nigdy nie żyli.

III.

On umarł — nie — on żyje, póki moja dusza żyje; żyje w każdem biciu mojego serca, w każdej myśli mojego ducha, w każdym polocie mojego jestestwa. On jest moją wiecznością, bo w nim samym w każdej chwili jego bytu dusza moja łączy z teraźniejszością, przeszłość i przyszłość. Żyje on zawsze.

IV.

Pomarli ci, którzy nie kochali i których nie kochano — ci żyć nie mogą, bo nie żyli.

Nigdy nie trzeba się wbrew przeciwić pociągom, upodobaniom, woli dziecinnego i młodzieńczego wieku, bo się przez to naprzekorę druzgocze jestestwa słabe i robi się chwiejącemi i niewykończonemi na całe ich życie. W istotach silnych przekora te chwilowe pociągi przeobraża w namiętności uparte i nieubłagane. Gdyby im nie stawiano szorstki opór, gdyby umiano, możnaby odwracać te zachcenia i kierować niemi, nawet okazując, że się im ustępuje, że się im potakuje. Są dusze gorące, które bez przeszkód i przeciwności zniechęcają się do wszystkiego i szukają czegoś lepszego, i przeciwności je utrzymują. Przeszkody rodzą ich postanowienia i krępują do rzeczy przez nie zachcianych, bo każda walka potrzebuje także duszy silnej. Niepodobieństwem jest je przełamać, bo dusze te mają siły oporu i wytrwania daleko więcej rozwinięte, jak siłę zachcenia. Żeby działać na nie, trzeba im wskazać cele trudne do osiągnięcia; to je daleko zaprowadzi.

Może to czytałam w Bajronie, a może i sama marzyłam — nie pamiętam.

Być samą, z naturą tylko, jest to mięszać duszę swoją z duszą stworzenia, jest to żyć pięknościami rozmaitemi i nieskończonemi; jest to żyć zdolnościami obdarzonemi od Boga, i tem wszystkiem, do czego jest zdolne jestestwo przepełnione człowieka.

Być samą między ludźmi, ze swoją myślą, ze swojem sercem, jest to zgryźć wędzidło.

Powietrzem mojem było to, którem on oddychał.

Ojczyzna tam, gdzie on żył.

DZIEŃ DOBRY.

Mówią dobry dzień, jak tysiące innych pustych gadań, któremi się wylewa zwyczajnie życie naszego społeczeństwa, nie myśląc o tem, że może serce tego, któremu rzucają ten dobry dzień, cierpi i rozdziera się pod nieszczęściem — że dla niego zły dzień — że dla drugiego ten dzień dobry jest dniem ostatnim, dla największej części ludzi przeklętym dniem, a prawie dla wszystkich dniem ciężkim.

PODZWONNE WALECZNYM.

I.

Był to wieczór zimowy, cichy, słodki, ale smutny; smutne słońce skrywało się za kopułę smutnego kościoła. Sie-

dząc w oknie, patrzałam na mroczne obłoki i na lekko złocącą się kopułę gmachu Bożego, pod ostatnim promieniem zachodu słońca Bożego. Suknia balowa, biała, lekka i lśniąca słoniła się na mej kibici; małe trzewiki z białego atłasu leżały na mym stoliku; sploty świeżych i czarodziejskich kwiatów były już gotowe. Towarzyszka mojej młodości i moich uciech układała w warkocze swoje włosy i uśmiechała się — ja byłam zamyśloną.

II.

W tej chwili z kopuły smutnego kościoła, z której już się ścierała pozłota słoneczna, zabrzmiał głos podzwonny, długi i ponury, i niósł się w świat stłumionym rozgłosem a jednak on był pełnym nieznanego zachwytu dla duszy — niezrozumiały. Zdaje się, że wołał moją duszę po imieniu, a imię mojej duszy było Waldemar. Zadrżałam. Moja towarzyszka obróciła się do mnie i rzekła z półuśmiechem: «To podzwonne po walecznych, poległych na polu bitwy — módl się za nimi.»

III.

Lodem przeszło całe moje jestestwo, stałam nieruchoma. Ona muskała jasne włosy, a w moje serce uderzył rozgłos grobowy, niezrozumiany a dolegliwy. Waleczni pomarli na polu sławy, tak i on miał umrzeć — a jednak tego wieczora miałam go widzieć, podziwiać go, tańczyć z nim, zdybywać się z jego oczyma, które dla mnie były najpiękniejszem niebem, słyszeć jego głos — i żyć szczęściem, znanem tylko tym, którzy kochają.

IV.

Długo to podzwonne rozbijało się w mojej myśli i w mojem sercu.

Uczeni szukają miejsca pobytu duszy. Sądząc nauką serca, zdaje się, że dusza jest w ciele, jak Bóg w świecie, wszędzie i nigdzie wyłącznie. To życie.

Bajron powiedział o kościele ś. Piotra w Rzymie: Jedyna świątynia godna Boga. Jeźli jest jaka świątynia Boga, godniejszą od tej, jaką on sam sobie wzniósł w nieskończonności swoich utworów. Czy każdy z tych utworów, najmniejszy kwiatek nie jest czarowniejszym od tego wszystkiego, co wzniosła ręka ludzka? Myśl ludzka pochodząca od Boga, tworzy czasami dzieła godne Twórcy, ale wykonanie odejmuje im doskonałość. Mistrzem samoistnym i doskonałym jest tylko sam Bóg Twórca.

Ksiądz fanatyk, który mnie spowiadał w Odessie, kazał mi się wyrzec miłości, którą uważał bez powodu i bez celu, od chwili, jak śmierć zabrała ukochaną istotę; jak gdyby to, co się kocha, mogło umierać bez śmierci własnej duszy. Napisałam do owego księdza wiersze po francuzku, z których przypominam sobie tylko te zwroty:

«Sądzisz siebie być wiernym tłumaczem Boga — odwróćże wrzące bałwany przepaści od prądu, który nim ciska w górę; tym pomrukom żałosnym, temu cudotwornemu głosowi, powiedz mu, niech się uciszy, powiedz mu, niech się pohamuje.

Przeszkódź sklepieniu niebios odbijać się w wodzie przezroczystej; być jak one, lśniące lub chmurne, nie powtarzać, nie oddawać jego obrazu — powiedz mu, niech się zwycięży — powiedz mu, niech się pohamuje!

POEZYA I MIŁOŚĆ.

I.

Powiedziano: świat rzeczywisty zdepoetyzował się bez powrotu, szukając użytku ze wszystkiego i we wszystkiem — i miłość ze swojemi marzeniami i urojeniami zginęła także; żyje się tak szybko i tak czynnie, że nie ma nawet czasu do kochania. Ale nie; miłość jest nieśmiertelną i poezya z nią razem — i jakże poezya miałażby zniknąć, nie byłożby miłości. Nie maszże już na świecie ani młodości, ani piękności? czy już czynność pożarła serce i imaginacyę? Ludzie staliż się machinami niezmordowanemi, których bodźcem pieniądz? Nie — żeby to było, trzeba, żeby Bóg zdjął z nad naszych głów ten dach niebieski, którym się objawia nieskończoność — żeby zgasił słońce dnia i nocy, i gwiazdy, które pozierają na nas z wysokości niebios i czuwają nad naszemi duszami — żeby wysuszył morza i pogrążył w milczeniu wszystkie głosy natury — żeby zniszczył myśl i żądzę nieskończoności, któreby jeszcze i wtenczas dusza znalazła sama w sobie. Ta myśl, to natchnienie, stanowią poezyę niezniszczoną, wieczną. Poezya żyje w rzeczywistości i w dziele Boga; nie jest ona utworem ludzkim. Poezya dla poety jest wszędzie i we wszystkiem, bo on ją nosi w sobie i ma jej zmysł. Nie jest ona nigdzie dla człowieka ścisłej rzeczywistości, dla człowieka ściśle cielesnego albo lekkomyślnego, który nie ma w sobie zmysłu poezyi, albo go zatłumił.

Miłość, która uchodzi za uczucie najnaturalniejsze, za namiętność najbardziej upajającą, we właściwem jednak znaczeniu tego wyrazu jest uczuciem tak rzadkiem, jak geniusz w poezyi.

Poezya nie jest urojeniem — jest ona prawdą, jak myśl, której ona jest kwiatem i zapachem. Miłość jest myślą i imaginacyą serca.

II.

Miłość prawdziwa jest uczuciem Bożem na tej żiemi, bo jest najmniej osobistem, najwięcej poświęcającem się, najwznioślejszem i najwięcej mającem natchnienia w sobie; nie może być uczutem i poczutem to uczucie, tylko przez dusze dane przez Boga. Te dusze, które przyniosły z sobą z nieba siłę myśli bez miary, siłę uczuć i cierpień, które noszą w sobie natchnienie wzruszenia i boleści, które same w sobie noszą wieczność, zbierając i mięszając w jedną myśl obrazu i uczucia: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Posiadają one doskonałą całość.

Miłość jest wyznaniem wiary, potrzebuje Bóstwa. Miłość jest wiarą, w obec której nigdy nie stanęło powątpiewanie.

Lecz żeby ta miłość była sama sobą, żeby została tem uczuciem wzniosłem i Bożem, które nad wszystko, co ziemskie, nad wszystkie dolegliwości świata podnosi i łączy dwie dusze w jedno jestestwo, odłączając je od wszystkiego, bo one wystarczają sobie samym i tracą uczucie tego wszystkiego, co jest obcem ich miłości — taka miłość potrzebuje się usunąć węzłom małżeństwa, nie dla tego, żeby potrzebywała zostawać w urojeniach, bo jest prawdą, bo nie może być natchnioną i uczutą, tylko przez istoty nie ulegające zwątpieniu i stracie uroku, ale że nie powinna być natchniętą rzeczywistością, poniewierającą ten świat. Przedstawia mi się porównanie zuchwałe, czuję to dobrze, ale prawdziwe: miłość jest jak śnieg niepokalany, polatujący w powietrzu, błyszczącym pod promieniami słońca — jak tylko spadnie na ziemię, przemienia się w błoto. Tak to uczucie Boże przed wszystkiemi powinno zostać w niebie; jak tylko padnie na ziemię, przestaje być sobą samem.

Miłość jest najmniej osobistem i najczystszem uczuciem, jak tylko zostaje sobą samym. Mniej jest takiem miłość matki do dziecka, bo w tem dziecku ona sama odżywa, ona sama w sobie się kocha, albo w mężu, którego wybrała: to dziecko sprawia jej roskosz, jej dumę. Miłość jest mniej

osobistą, gdyż ten, który ją czuje, zatraca siebie w istocie ukochanej.

Matka w swojem dziecku chce znaleźć swój obraz albo obraz ukochanej osoby. Miłość wielbi Boga w Jego dziele i istota cała upojona rozpamiętywaniem i uwielbieniem, przeistacza się w uczucie, które wszystko w sobie chłonie. Śmiało to powiedzieć mogę, bo czułam i czuję taką miłość, miłość prawdziwą, miłość kobiety. Nie śmiem utrzymywać, czy taką jest miłość mężczyzny, co być może; ale miłość taka jest najbardziej duchową, ze wszystkich namiętności świata jedyna z nienależących do ziemi a spadająca z nieba.

Miłość uwielbia dzieło Boże, dla którego często w zapale zapomina o samym Twórcy, ale nigdy go nie traci z duszy, gdyż każda miłość czysta jest najbliżej Boga i zawsze przyprowadza do Niego.

III.

Miłość zaprzecza zniszczeniu, gdyż nosi w sobie nieśmiertelność. Miłość nie może stracić przedmiotu swej miłości, nic go wyrwać nie może z duszy, która go w siebie wcieliła, duszy, która jest jego obrazem, duszy, która go nosi w sobie samej — nic, nieobecność, ani nawet śmierć.

Dla miłości nie masz ani przestrzeni, ani czasu; dusza, która ją w sobie nosi, nie może jej stracić; dla niej nieobecności nie masz, zawsze jest obecność, zawsze posiada to, co kocha; nie może go stracić, chyba przestaje być, czem jest. Jak promień słoneczny jest światłem, tak serce jest miłością.

Gdyby myśl mogła ustać i skończyć się, gdyby ta myśl, która kocha i czuje, którą nazwano sercem, mogła przerwać się, wtenczas miłość przestaje być, traci swój przedmiot i już się nie znachodzi.

IV.

Miłość jest przeznaczoną: dwie istoty, które się nigdy nie widziały, spotykają się, poznają, więcej powiem, jakby się dawno znały. Nie potrzebują mówić, aby się zrozumieć:

znają siebie, zgadują siebie, jedna przeczuciem drugiej. Żadna przeszkoda nie może stanąć na zaporę zrozumienia się dwóch dusz, i to się nie da dojrzeć wzrokowi życia przez obszary świata, przez tłumy świata; w świecie miłość usamotnia dwie istoty od tego wszystkiego, co ich otacza. Życie walczy przeciw temu pociągowi niepowściągnionemu a przeznaczonemu duszy, gdyż życie czuje, że dusza mu się wymyka bez powrotu do niebios, bo ziemia nie jest ojczyzną tej miłości.

Jakkolwiek są rozdzielone dwie istoty, niekiedy urodzone, wypielęgnowane i wychowane wśród żywiołów zupełnie sobie przeciwnych, wśród wyobrażeń i uczuć wstecznych, ale jak się zdybią, wszystko jest powiedzianem i już są z sobą złączone na zawsze. Cóż to jest, co z ich oczów, jak tylko się spostrzegą i złączą, błyska jak błyskawica i łączy w jedną myśl, żeni w jedno uczucie? Trudno to wytłómaczyć; kto to uczuł, sam tylko może pojąć. Jakiż to język, którym dwie dusze mówią do siebie oczyma? i jakiż to język mógłby oddać, co one mówią do siebie.

Miłość i każde uczucie jest darem Bożym, niepodległym naszej woli; nie można go sobie samemu dać, nie można się oddać miłości, albo się nie kochać; miłość przychodzi tak jak życie, tak jak śmierć.

Cechą niezaprzeczoną prawdziwej miłości jest oddanie się, poświęcenie się, zatrata siebie samego; jestestwo przenosi się w jestestwo ukochanej istoty, dla tego też poświęcenia się miłości są roskoszą; zagładzić siebie dla tego, co się kocha, nie jest ofiarą, ale szczęściem.

Nie wiem, jaką przynosić może roskosz życie tym, którzy nie kochają; nie mogę zrozumieć, jak mogą istnieć. Zdaje mi się, że wszystko jest próżnią, nicością w tych życiach, w tych duszach, gdyż miłość sama napełnia i życie i duszę i świat i nieskończoność.

Poezya jest prawdą. Cóż to jest wyobraźnia ludzi? jestże to wynalazek ludzki? Jest to dzieło Boże, najbliższe swego źródła. Jakiż poeta, jakiż mistrz wynalazł albo stworzył piękniejsze dzieło od dzieła Bożego, mistrza wieku tego i niewyczerpanego? Któż stworzył co piękniejszego jak kobieta, młodość, te róże życia? co wonniejszego od tych kwiatów? bardziej przezroczystego nad błękit nieba? bardziej namiętnego i wzruszającego, jak morze, jak to ostatnie? Jakiż obraz jest prawdziwszym do duszy nurtującej życie i szukającej napróżno to, co nigdy nie znachodzi, podobne do bałwanów szumiących łkaniem, rozbijających się o skały, która je odrzuca napowrót? Jaki śpiew natchnionego poety mógł wyrównać tym szumom wałów morskich, albo tym poświstom śpiewanym przez wiatry w szczelinach gór, w borach, albo na obszarach stepu? Człowiek rozprzęga poezyę dzieł Bożych, nawet wtenczas, kiedy je przybiera w barwy wyobraźni. Po prostu dojść je, rozumieć, aby mieć prawdziwą poezyę.

Pospolitość nie istnieje w dziełach Bożych; pospolitość jest utworem ludzkim, mimo rozmaitości nieskończoną. Natura jest wielką i szlachetną, nawet w swoich potworach. Człowiek sam najbardziej się przyda i najbardziej potrzebuje podniesienia wyobraźnią. Człowiek stworzony przez człowieka, na obraz człowieka, a nie na obraz Boga.

Nie masz celu w życiu bez miłości i poświęcenia się.

WSPOMNIENIE ŻYCIA ODOSOBNIONEGO.

Człowiek się porusza, a Bóg go prowadzi.
Bossuet.

Nie wypada, aby taki człowiek przeszedł,
Nie zostawiwszy po sobie wzmianki.
Cyceron.

I.

Z jakich krańców nieskończoności, w pościgach za twoim duchem, przybył ten duch niespokojny, który był twoją miłością i który znachodził cenę i szczęście, przeistaczając się na twój obraz? Zresztą na co mu jego pochodzenie? Jego istnienie poczyna się od chwili, w której pod jego wzrokiem porodziło się serce, które stało się jego początkiem. Jak i kiedy oboje porodziliśmy się na łonie Boga? On sam to powie; ale czy nam to powie? Jak potrzeba — powie.

II.

Jeźli stwarzając ciebie, myśl Jego osłodziła Jego dzieło i rozczuliła się aż do pokochania go, z tej myśli uwielbienia i miłości odrodzi moją duszę, powróci jak promień do swojego ogniska.

ZWĄTPIENIE.

Nie umiem wytłumaczyć sobie, czy zwątpienie pochodzi ze zbyt wysokiego wydoskonalenia umysłu, czy też z braku rozwinięcia się serca. Uczucie nie wątpi; serce istnieć nie może bez zaufania, bez wiary. Bóg, który jest w nas, objawia się miłością, natchnioną Jego dziełem. On to nam

daje uczuć nieśmiertelność, potęgę naszej duszy, chcenia, kochania i cierpienia.

Nigdy nie znałam zwątpienia; może nie wolno mi o niem sądzić, jak o tym wieku nieznanym — bo we mnie duch i zdolność i myśl rozwinęły się przez serce i z sercem. Nimem zaczęła kochać, nic nie wiedziałam, a zanadto wcześnie kochałam, abym się co mogła nauczyć przedtem.

Wątpić i jakże mogłam? Wątpić o Bogu, byłoby to wątpić o nim, wątpić o duszy, byłoby to go zniszczyć, byłoby to przestać być sobą. Niebo w istocie ukochanej tak dobrze się objawia duszy, przepełnionej tą istotą. I nieskończoność rozwija się tak niezaprzeczenie przez miłość, pewną siebie, że przestać nie może.

Niegdyś miałam, a raczej chciałam mieć wiarę, kiedy moje wszystko było na tym świecie, wiarę w doskonałość ludzką, w postęp we wszystkiem, w urojenia przyszłości złotym wieku, w panowanie sprawiedliwości, pokoju, prawdy i wszystkich cnót; żyłam jak ludzie żyją i ich dzieła — i nie wierzę więcej.

Świat taki, jaki jest, jest zrobionym przez ludzi, ale też dla ludzi takich, jakiemi są, odpowiadają sobie — i takim zostanie. Ludzkość postępować będzie na drodze wynalazków, nauki, sztuk, odkryć przemysłu i dobrego bytu, i nie dojdzie nigdy do doskonałości, szukając jej zawsze; gdyż losy ludzkie nie skończą się na tym świecie, gdyż człowiek, którego dusza przelewa się nad życie, nie może się w niem zamknąć, bo dusza zawsze go wyprzedza; gdyż człowiek tak jak ptak siadłszy na gałązce drzewa, zawsze trzepie skrzydłami, bo on nie stworzony dla drzewa, ale dla wolnej przestrzeni. Człowiek ogranicza się nadarmo — i on jest dla nieskończoności.

Na tym świecie, w tem życiu wszystko jest skończonem, wszystko jest błędem i wszystko się kala; wszystko to, co jest wielkie, co jest czyste, co jest piękne, kruszy się każdego dnia na nizkości, ohydzie i próżności tego świata. Nijakość zraża — ciasne przestworza przyduszają umysły myślące

i wzniosłe; poniżenie, że tak powiem rodzime rodu ludzkiego przebija serca czujące. Połysk lodowaty tego świata metalicznego stokroć gorszym od całunu grobowego.

Wojują o doskonałość i postęp. I jakież są od Jezusa Chrystusa nowe myśli i nowe uczucia, odkryte przez ludzkość? Para, drogi żelazne, telegrafy elektryczne. Na drodze wydoskonaleń materyalnych człowiek postępuje olbrzymim krokiem. Ale w krainie udoskonalenia się umysłowego, sztuk, a nadewszystko miłości i zachwycenia się trwałego tem, co jest wzniosłe, co jest piękne, opóźnił się bardzo. Zdaje się, że stara się, aby zapomnieć o swej duszy, pozbyć się jej, bo ona go utrudza w tym świecie materyalnym, w tym świecie rachunkowym, w tym świecie interesu.

Nie jest samotnym ten, który kocha, ten, który opuszczając istotę ukochaną, zabiera w swoją duszę obraz, myśl, słowo, wejrzenie ukochane; wszystko dla niego się ożywia tem życiem tajemnem, tem życiem serca, tem rozmarzeniem duszy, któreby ożywiły kamienie nawet.

Wszystko przemawia w istocie kochającej o istocie, którą kocha, wszystko mu odbija jej obraz i wszystko mu o niej odpowiada. Nie jest istotnie i nieszczęsnie samotnym, tylko ten, który nie kocha, bo jego serce nic nie mówi i nic mu nie odpowiada.

Stracić to, co się kocha. Nigdy nie można stracić zupełnie to, co się kocha, jak przestając go kochać, jak tylko się go kocha, zawsze się go posiada. Prędzej się traci żyjących: rozmarzenie, zawód zrywają węzły źle związane; bez powrotu traci się wówczas żyjących prędzej, jak tych, których śmierć dotknęła, ale z którymi zostają nasze uczucia. Rozmarzenie jest stokroć śmiertelniejsze dla uczucia, jak śmierć i nieobecność istot ukochanych... bo nieobecność i śmierć dodają nowego uroku i w miejsce wyziębienia dają nowe siły miłości, które są z nami aż do grobu.

Często znachodzą nad brzegami baltyckiego morza kawały bursztynu białego i żółtego, zamykającego w swojem łonie

przezroczystem kwiaty, albo owady, doskonale zachowane. Trzeba stłuc i zdruzgotać bursztyn, żeby mu wyrwać ten skarb, i niepodobieństwem jest mu wyrwać bez zniszczenia go razem ze skarbem. Tak się dzieje z sercami, które się skrystalizują w obrazie ukochanym, który zachowuje je czyste, nietknięte i niezniszczone, który go obraca w swoje jestestwo, albo w serce się przeistacza, które nie mają innego istnienia, tylko obraz, myśl i miłość w nich zamknięte.

Na południu spadają liście migdałowych drzew bez żółknięcia, nie tak świeże jak przy rozwinięciu, ale zielone: tak znikły moje nadzieje ziemskie, zmiecione nieszczęściem, a nic jednak nie zwiędło w mojej duszy — wszystko się przeistoczyło.

Twoja dusza ze stali nie zna słodyczy straty i odszukania swojego serca w sercu drugiem. Żyć w drugiem i nie mieć innego życia za nadzieję, za ojczyznę, za szczęście. Zima na południu podobna do choroby młodości: nie ma ona bezwładnego całuna śmierci, którym się odznacza na północy. Jak w młodości siła życia walcząc z chorobą, zachowuje do walki i w walce piękność i urok, tak lekkie i wiotkie pokrycie śniegu, rozścielając się chwilowo po krajobrazie południa, nie osłania go — tylko cieniem zadumania. Zielone zioła, które wystają i błyszczą z pod tej białej zasłony, nie mającej ciężaru całuna północy — róże, które kwitną pod tym zimnym pyłem, natrącają myśli żyjące rojenia młodości, które doświadczenie, dojrzały rozsądek, nadarmo usiłują skalać. Rosną one zawsze, jak te zioła, jak te kwiaty, bo życie ludzi i żywotność roślin nie mogły ustać.

W lecie natura południowa przybiera pozór smutny zniszczenia i pustyni, i natrąca myśli, że młodość i piękność w swojem rozwinięciu niepokalane, kalają się namiętnością.

Morze jest namiętnością natury: ono jest dla dusz, które rozumieją, dla myśli, które zawodzi w dumanie, dla oczów, które pociąga i utkwi w siebie, jak istota ukochana, która wystarcza wszystkiemu i nie może być niczem zastąpioną.

KONSTANTYNOPOL PIĘKNY.

Nie widziałeś Konstantynopola pięknego, nie oddychałeś jego powietrzem.

Kiedy powieje świeżym powiewem południa nad jego wodami, nad jego brzegami, jak oblicze czarodzieja urokiem ciśnie się do oczów. Przezrocze powietrza, na tle którego wznoszą się te wzgórza błękitnawe, powiewają zielone cyprysy, odcienia lśniące się i pełne miękkiego a czarownego uroku, którym ten powiew świeży wszystko ożywia, nocną barwą wyobraźni piękni i tak już piękną naturę. Ale na tę piękność jest plaga, której może nie jeden złorzeczy, jak ja: statki parowe, para, dym od chwili do chwili wielkiemi kłębami zakrywa i unosi piękność Stambułu i jego wybrzeży zielonych.

Plaga ta podobna do tej rzeczywistości i użyteczności, które zakrywają i zaciemniają polot poety. Tak człowiek psuje i brzydzi dzieło Boże, gdzie tylko swoje wmięsza.

DO A. M.

Poeta, opiewając historyę poetów, zapomniał ci otworzyć swoją świątynię — przecząc istnienie kraju nieznanego, gdzie się ty urodziłeś, poeto, aby opiewać sławę Słowian niezna-

nych; a jednak te ludy młode pełne życia i siły wzniosą się, jak się ty wzniosłeś, poeto!

I.

MYŚL KOBIETY.

Było to w roku 182... Rosyanin młody jeszcze, ale już syt życia, przybył do Neapolu miasta swojego upodobania To dziecię północy z bałwochwalstwem uwielbiło niebo i krajobraz południa. Mówią, że Greczynka dała mu życie — dar, który on znosił jak przekleństwo. A jednak cóż brakło temu człowiekowi?... nic! Pod względem duszy, rozumu i serca wszystkie miał uroki powierzchowne, a jednakże mu brakło tego wszystkiego, co trzeba do szczęścia.

II.

DO WALDEMARA.

Jest w twoim kraju pobożności słodki obyczaj, że zawsze u stóp każdego obrazu Świętych Pańskich zapalają ogień ofiarny, który nigdy nie gaśnie i swojem bladem światłem uciekając po twarzy obrazu, drży przed wejrzeniem Świętego.

To drżące światło jest nieśmiałe; kadzidło ofiarne dodaje mu zapachu czystego i zawsze trwałego. Zdaje się, że jest na to, aby zawsze świeciło i zawsze zachwycało, zawsze okazywało rysy twarzy obrazu ulubionego. Wykrywało to oblicze świętej piękności i bało się, aby nie umrzeć.

17*

Zatrzymuje się, chwieje się, jak oddech drżący, ale płonie dzień i noc w swojem sercu świętem i czuwa jak miłość nad istotą ukochaną. Zawsze za nim się słania, nigdy go nie opuszcza, zawsze święty jest oświeconym.

Błyszczy tylko jedynie na rysach tego jedynego obrazu, jak miłość wyłączna, której ona zdaje się być rękojmią. Zawsze jego promień dościga obraz; płomień płonąc, wznosi się, polatuje, albo się słania; czy się ślizga po obrazie, czy zatrzymuje niepewny, zawsze spotyka się ze Świętym.

Trzeba światłu woni i oliwy. Pobożnej lampie pobożna ręka dostarcza pokarmu. Dusza się odnawia sama w sobie, kochając; serce ją owiewa wonią, oświeca, błyszczy.

Tak jak ta lampa zawieszona u stóp obrazu, która nie wznosi się, tylko ku niemu, nie oświeca, tylko jednolice, drżąca świeci dzień i noc i nie przestaje świecić, jak miłość, wieniec twego czoła, promień drżący, ale czysty, którym Bóg zapalił moją duszę — tak dusza moja w swojej wieczności będzie zawsze odbijała lśniącą i jaśniejącą piękność twojej twarzy. Spłonie twoje serce, kadzidło świętości i cienie światłem twoich myśli, szukając twego ducha w jego siedzibie — szczęśliwa w swej nieśmiertelności, nie będąc tylko twoją miłością.

Inne pisma wierszem i prozą Ludwiki Sadyk spłonęły ogniem w roku 1853, w czasie pożaru w Orta-Kiej, kiedy zgorzał dom, w którym mieszkała Ludwika Sadyk ze swoim mężem. Żadnej rzeczy nie można było uratować. Ludwika Sadyk, spuszczona na powiązanych prześcieradłach z drugiego piętra, mogła tylko uchwycić książkę do nabożeństwa, która się znajduje u jej męża, jenerała kozaków otomańskich, Sadyk paszy. Jest to zbiór modlitw po polsku i po francuzku, pisanych własnoręcznie przez Jana i Jędrzeja

Sniadeckich, przez matkę Ludwiki, jej siostrę i przez nią samą. Załączamy tu jedną z tych modlitw Ludwiki Sadyk.

MODLITWA ZA KATARZYNĘ S.....

Pisana 9. października 1841 r., w chwili odjazdu z rodzinnej ziemi.

Bądź pochwalony, o Boże, za przyjaciółkę, którą mi dałeś. Wola Twoja rozdziela nas na tej tu ziemi, ale połączy nas w lepszem życiu, kiedy złączyłeś tak ściśle nasze dusze, które stworzyłeś podobnemi do siebie, dając im te same popędy i te same cele. Niech się staje wedle Twojej woli, Panie. Błogosław ją, utrzymaj w próbach, które na nią będziesz zsyłał. O Panie, bądź jej siłą — daj zdrowie jej ciału, spokój i uciechę jej duszy. O Panie, obdarz ją pokojem serca i uciechą myśli i prowadź ją po Twoich drogach. O Boże, zrób, aby nasze dusze zawsze były złączone z sobą, mimo nieobecności; i niech się zawsze znachodzą w Tobie, żeby nasze serca i nasze myśli zawsze się znachodziły w Twojej myśli i w Twojej miłości. O Boże, ofiaruję Ci z nią i za nią boleść naszego pożegnania i tęsknotę po naszem rozłączeniu się. Boże! rzuciłeś ją na drogę mojego życia znękanego, jak wonny kwiat na pustynię. Odbierasz mi ją, dajże jej inne uciechy duszy. O Panie, przez zasługi Jezusa Chrystusa, którego prawo i nauka tak głęboko wyryły się w tej duszy czystej i czującej, będziesz ją błogosławił Boże, i wybawisz ją Panie, osładzając jej życie; a jeśli będzie musiała wychylić je do dna kielicha, będziesz jej wsparciem i pocieszycielem. Boże, niech się tak stanie. Amen.

Część pism pozostałych na Litwie u hrabiego Stanisława Kossakowskiego w depozycie, ostatnią wolą Ludwiki Sadyk pan Władysław Mickiewicz, najstarszy syn Adama, jest upoważnionym do odebrania i do wydania.

Dnia 18. kwietnia 1866 roku na przedmieściu
Orta-kiej, w Konstantynopolu.

Autor „Anny".

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.